



moondrive

JESSE ANDREWS

**EARL**  
*i* **JA,**  
*i umierająca*  
**DZIEWCZYNA**

tłumaczenie Mateusz Borowski

moondrive

Kraków 2016

*Dla szkoły Schenley,  
która w niczym nie przypomina  
szkoły Benson*

# SŁOWO WSTĘPNE GREGA GAINESA, AUTORA TEJ KSIĄŻKI

Nie mam zielonego pojęcia, jak napisać tę głupią książkę.

Możemy przez chwilę być szczerzy? Chcę wyznać najprawdziwszą prawdę. Gdy siadłem do pracy, próbowałem zacząć od zdania: „To była najlepsza i najgorsza z epok”. Naprawdę wydawało mi się, że mogę rozpocząć w ten sposób. Przecież to klasyczny początek książki. Ale potem uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, co napisać dalej. Przez godzinę gapiłem się w ekran komputera i czułem, że wielkimi krokami zbliża się atak paniki. W desperacji próbowałem do tego zdania wprowadzić kilka znaków interpunkcyjnych i rozstrzelenie:

To była najlepsza, a zarazem najgorsza z epok!?

Co to, do cholery, w ogóle znaczy? Kto mógłby napisać coś takiego? Chyba tylko ktoś, kto nabawił się grzybicy mózgu, co najprawdopodobniej przydarzyło się właśnie mnie.

Cały problem polega na tym, że nie mam pojęcia, jak zabrać się do pisania. W końcu nie jestem pisarzem, tylko filmowcem. Dlatego teraz pewnie zadajecie sobie następujące pytania:

1. Dlaczego ten koleś pisze książkę, zamiast nakręcić film?
2. Czy to kolejny objaw grzybicy mózgu?

Odpowiedzi:

1. Piszę książkę, zamiast nakręcić film, bo na zawsze porzuciłem reżyserię filmową. A konkretnie: porzuciłem ją po nakręceniu Najgorszego Filmu Wszech Czasów. Zazwyczaj decyzję o porzuceniu reżyserii filmowej podejmuje się po nakręceniu najlepszego ze swoich filmów – można też, ewentualnie, umrzeć – ale ja postąpiłem inaczej. Moją karierę można najkrócej streścić w następujący sposób:

- i. mnóstwo złych filmów
- ii. średni film

- iii. kilka niezłych filmów
- iv. przyzwoity film
- v. dwa, no może trzy dobre filmy
- vi. kilka naprawdę świetnych filmów
- vii. Najgorszy Film Wszech Czasów

*Fin.* Jak bardzo skopałem ten film? Doprowadził kogoś do śmierci. Taki był zły. Naprawdę kogoś zabił. Zresztą sami się przekonacie.

2. Powiedzmy, że na grzybicę mózgu mógłbym zrzucić wiele swoich wpadek. Choć wtedy należałoby przyjąć, że grzyb zżerał mi mózg od urodzenia. Teraz pewnie grzybica już się mną znudziła i gdzieś sobie poszła albo zdechła z głodu.

Chciałbym dodać jeszcze jedno, nim zaczniemy tę przerażająco niedorzeczną książkę. Może już się domyśliliście, że jej główną bohaterką jest dziewczyna chora na raka. Zapewne pomyśleliście sobie: „Super! To będzie mądra i głęboka opowieść o miłości, śmierci i dorastaniu. Pewnie w trakcie czytania będę zalewać się łzami. Wprost nie mogę się doczekać!”. Jeśli dobrze odgaduję wasze oczekiwania, to powinniście czym prędzej wywalić tę książkę do śmietnika i uciec, gdzie pieprz rośnie. Musicie bowiem wiedzieć jedno: białaczka Rachel niczego mnie nie nauczyła. Tak naprawdę wydaje mi się, że za sprawą tej historii wiem o życiu jeszcze mniej niż wcześniej.

Chyba nie wyrażam się dość jasno. Chodzi mi o to, że w mojej książce nie znajdziecie żadnych Ważnych Życiowych Lekcji ani Mądrych Sentencji o Miłości, ani łzawych, rozdzierających serce Chwil, w których Uświadomiliśmy Sobie, że Bezpowrotnie Skończyło się Dzieciństwo. Nic z tych rzeczy. W przeciwieństwie do większości książek z bohaterką chorującą na raka nie ma tu żadnych cukierkowych akapitów składających się z jednego zdania, które należy uznać za niezwykle głębokie, bo ktoś zapisał je w osobnym akapicie. Wiecie, o co mi chodzi? O zdania takie jak to:

Rak zabrał jej gałki oczne, ale ona widziała świat jeszcze wyraźniej niż wcześniej.

Rzygać się chce. Nie ma mowy. Moje życie nie nabrało głębszego sensu dlatego, że poznałem Rachel jakiś czas przed jej śmiercią. Tak naprawdę dziś rozumiem znacznie mniej. Wszystko jasne?

No to możemy zaczynać.

(Właśnie sobie uświadomiłem, że pewnie nie wiecie, co znaczy słowo „*fin*”. To termin z dziedziny reżyserii filmowej. A dokładniej to francuskie słowo, które oznacza: „Film się skończył, i bardzo dobrze, bo był produkcji francuskiej i pewnie nieźle zrył wam mózg”).

Tym razem to naprawdę *fin*.

# ROZDZIAŁ 1

# CZY W TAK BEZNADZIEJNYM MIEJSCU DA SIĘ W OGÓLE ŻYĆ?

Żeby zrozumieć wydarzenia przedstawione w tej książce, trzeba przyjąć na samym początku założenie, że szkoła jest do dupy. Przyjmujecie to założenie? Oczywiście, że tak. Przecież to prawda uniwersalna. W liceum po raz pierwszy stajemy przed podstawowym egzystencjalnym pytaniem: czy w tak beznadziejnym miejscu da się w ogóle żyć?

W gimnazjum też jest do dupy, ale to tak żałosne miejsce, że nawet nie chce mi się o nim pisać, skupmy się więc na liceum.

No dobra. Najpierw się przedstawię: Greg S. Gaines, lat siedemnaście. Gdy rozgrywały się wydarzenia opowiedziane w tej książce, chodziłem do ostatniej klasy w Liceum Benson, mieszczącym się w uroczej, centralnej części Pittsburgha w stanie Pensylwania. Zanim przejdziemy dalej, muszę wam powiedzieć więcej o szkole Benson i wyjaśnić, dlaczego to takie beznadziejne miejsce.

Benson zbudowano na granicy między bogatym Squirrel Hill i ubogim Homewood. Do tego liceum chodzą uczniowie z obu dzielnic. W serialach całą szkołą zazwyczaj rządzą ci, którzy pochodzą z najzamożniejszych rodzin. Tymczasem większość dzieciaków z naprawdę bogatych domów ze Squirrel Hill zapisuje się do pobliskiej prywatnej szkoły Shadyside Academy. Do Benson chodzi ich za mało, by mogli narzucić swoją wolę pozostałym. Czasem próbują, ale ich wysiłki w najlepszym razie kończą się politowania godną porażką. Tak jak wtedy, gdy jedna z nich, Olivia Ryan, wpada w szal z powodu kałuży moczu, która pojawia się przy schodach prawie codziennie między 10.30 a 11.00. Wydziera się jak wariatka na przechodzących obok niej ludzi, jakby nie zdawała sobie sprawy, że w ten sposób na pewno nie dowie się, czyja to sprawka. Wtedy należałoby powiedzieć: „Liv! Sprawca z pewnością jest już daleko od miejsca zbrodni. Jude Law się złał i zwiął”. Zresztą to i tak nie uspokoiłoby Olivii. Z jej ataków szału nic nie wynikało. Olivia przypomina małego kotka, który próbuje zagryźć coś większego od siebie. Zapewne nawet w małym kotku, jak w każdym drapieżniku, czai się instynkt zimnokrwistego mordercy, ale ostatecznie to tylko małe puchate zwierzątko, które można włożyć do pudełka po butach i nagrać z nim filmik, żeby babcie mogły go sobie obejrzeć na YouTube.

W naszym liceum dzianym dzieciakom nie udało się uformować grupy trzymającej władzę.

Następna grupa demograficzna, która aż rwie się do rządzenia, to oazowicze. Ich akurat są całe zastępy i na pewno chcieliby się znaleźć na szczycie hierarchii. Ale żądza władzy, choć napędza do działania, stanowi ich słaby punkt. Wydaje im się, że zaproszenie kogoś do kościoła wystarczy, by chciał spędzać z nimi wolny czas. Mówią wtedy: „Mamy ciasteczka i gry planszowe”. Albo: „Właśnie zainstalowaliśmy internet bezprzewodowy!”. Nic dziwnego, że budzą w ludziach taki niepokój. Przecież dokładnie w ten sam sposób pedofile kuszą swoje ofiary.

Dlatego oazowicze nigdy, przenigdy nie zostaną grupą trzymającą władzę, bo ich taktyka za bardzo ludzi niepokoi. W wielu szkołach niepodzielnie rządzą sportowcy, ale w Benson sport uprawiają głównie czarnoskórzy, a większość białych uczniów się ich boi. Kto więc ma szansę stanąć na czele mas? Kujony? Chyba żartujecie. Ich nie interesuje polityka. Zależy im tylko na tym, żeby do końca liceum idealnie wtapiać się w tłum. Potem uciekają na uniwersytet, gdzie nikt ich nie wyśmiewa, że potrafią poprawnie używać przysłówków. Ludzie z kółka teatralnego? O Boże, doszłoby wtedy do krwawej masakry. Zostaliby zabici własnymi poplamionymi i wymiętoszonymi śpiewnikami z piosenkami z musicali. Ćpuny? Brak im inicjatywy. Członkowie gangów? Za rzadko chodzą do szkoły. Kolesie z zespołów rockowych? Czekaliby ich taki sam los jak tych z kółka teatralnego albo jeszcze gorszy. Goci? To niemożliwe nawet jako eksperyment myślowy.

Dlatego w Benson nie ma grupy trzymającej władzę. Rezultat to chaos.

(Muszę zaznaczyć, że posługuję się tutaj dalece uproszczonymi pojęciami. Czy rzeczywiście istnieją oddzielne grupy, takie jak kujony, dziani, sportowcy? Tak. Czy istnieją też kliki, które trudno opatrzyć jakąś etykietką, bo to po prostu kilkoro przyjaciół, których nie łączy żadna charakterystyczna, definiująca cecha? Tak. Gdybyście chcieli, mógłbym rozrysować dla was mapę całej szkoły, posługując się bardzo szczegółowymi kategoriami, na przykład „Podgrupa 4c: trzecioklasiści, Afroamerykanie z bogatych domów”. Ale z pewnością nikt z was tego nie chce. Nie chcą tego nawet członkowie podgrupy 4c, trzecioklasiści, Afroamerykanie z bogatych domów, czyli Jonathan Williams, Dajuan Williams, Donté Young i Darnell Reynolds, zanim w połowie trzeciej klasy na poważnie zabrał się do gry na puzonie).

Istnieje zatem wiele klik, a każda walczy z pozostałymi o dominację, dlatego najchętniej by się nawzajem wymordowały. Problem polega więc na tym, że jeśli należy się do którejś z nich, to wszyscy do niej nienależący chcą cię zabić.

Jednak można ten problem rozwiązać następująco: trzeba zyskać dostęp do wszystkich grup.

Wiem, wiem. To brzmi jak totalna brednia. Ale mnie się to udało. Podkreślam, że nie przyłączyłem się do żadnej z grup, ale do wszystkich zyskałem dostęp. Do kujonów, dzianych, sportowców i ćpunów. Rockmanów, aktorów, oazowiczów i gotów. Mogłem podejść do każdego z nich, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Każdy z nich patrzył na mnie i mógł sobie pomyśleć: „Greg! Swój człowiek”. Albo: „Ten koleś stoi po naszej stronie”. Albo przynajmniej: „Greg to facet,



którego nie oblałabym keczupem”. Dokonałem piekielnie trudnej rzeczy, jeśli weźmie się pod uwagę kilka głównych trudności:

**1. Infiltracja jednej z grup musi pozostać tajemnicą dla większości, jeśli nie dla wszystkich pozostałych grup.** Na pewno wylecisz z elitarnej grupy dzianych, jeśli zauważą, że uczynisz sobie miłą pogawędkę z gotami. Jeśli w obecności oazowiczów wytoczysz się z samochodu ópunów otoczony dymem z marihuany niczym parą z sauny, jesteś spalony i już więcej nie będziesz musiał z całych sił nad sobą panować, kiedy w przykościelnej świetlicy będzie ci się cisnęło na usta słowo na „k”. Jeśli, uchochaj Boże, sportowiec przyuważy, jak pijesz drinka w towarzystwie aktorów, natychmiast uzna cię za geja, a nie ma we wszechświecie siły potężniejszej niż strach sportowca przed homoseksualistami. Nie ma. To jak strach Żydów przez nazistami, tylko że w tym przypadku to ci, którzy się boją, biją tych drugich. Chyba więc należałoby ten lęk porównać do strachu nazistów przed Żydami.

**2. Nie wolno za mocno związać się z żadną z grup.** To wynika z poprzedniego punktu. Należy przez cały czas pozostawać na peryferiach. Zaprzyjaźnij się z gotami, ale pod żadnym pozorem nie ubieraj się tak jak oni. Spotykaj się z rockmanami, ale nie przyjmuj zaproszeń na wielogodzinne wspólne granie po lekcjach w szkolnej sali prób. Wpadaj od czasu do czasu do odpustowo udekorowanej świetlicy przykościelnej, ale jak ognia unikaj wszelkich sytuacji, gdy ktoś otwarcie przywołuje imię Jezusa.

**3. Podczas lunchu, przed szkołą i w miejscach publicznych wtapiaj się w tłum.** Najlepiej w ogóle zapomnij o lunchu. Wszyscy uważają, że w trakcie posiłku należy zmanifestować swoją przynależność. Będziesz musiał usiąść z całą grupą przy jednym stole i wszyscy to zobaczą. Nie daj Boże, przyjdzie ci usiąść z jakąś ofiarą losu, która nie jest w żadnej z grup. Oczywiście nie mam nic przeciwko samotnikom. Z całego serca dobrze życzę tym żalonym frajerom. W rządzonej przez szympany dżungli Benson samotnik to kaleka pełzająca w leśnym poszyciu i bezbronna wobec ataków stale przypuszczanych przez drapieżniki. Tak, żal mi samotników. Ale nigdy bym się z nimi nie zaprzyjaźnił. Wtedy bez wątpienia podzieliłbym ich los. Oni natomiast próbują mnie zwabić, mówiąc na przykład: „Greg, może chcesz ze mną usiąść?”. A tak naprawdę myślą sobie: „Proszę, nie ruszaj się przez chwilę, żebym mógł zranić cię w nogę, wtedy nie będziesz mógł uciec przed drapieżnikami”.

Najważniejsze, żeby zawsze, gdy znajdziecie się w jednym pomieszczeniu z reprezentantami kilku grup, trzymać się z dala od wszystkich równocześnie. W klasie, podczas lunchu, wszędzie.

Teraz pewnie zadajecie sobie pytanie: „A co z twoimi przyjaciółmi? Nie da się ignorować przyjaciół, którzy siedzą z tobą w tej samej sali”. Odpowiem tak: najwyraźniej nie słuchaliście uważnie. Ta metoda zakłada, że nie można z nikim się przyjaźnić. Cóż, na tym polega całe piękno i tragizm strategii przetrwania, którą tu skrótowo opisałem. Z pewnością nie pozwala ona prowadzić

życia typowego licealisty.

Zapamiętajcie moje słowa: życie typowego licealisty to jedno wielkie pasmo nieszczęść.

Zapewne pytacie również: „Greg, dlaczego gardzisz samotnikami, skoro sam nie należysz do żadnej grupy?”. W pewnym sensie to uzasadnione pytanie. Ale ja nie jestem w żadnej grupie, choć jednocześnie należę do wszystkich. Więc zasadniczo nie można mnie nazwać samotnikiem.

Tak naprawdę trudno jednym słowem opisać to, co robię. Przez chwilę wyobrażałem sobie, że specjalizuję się w licealnym szpiegostwie, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że to określenie mogłoby was wprowadzić w błąd, bo sugeruje, że czaję się w zakamarkach i łączą mnie pozamałżeńskie relacje seksualne ze zmysłowymi Włoszkami. Przede wszystkim w Benson nie ma zmysłowych Włoszek. Włoskie korzenie ma chyba tylko nasza sekretarka pani Giordano, ale ona jest trochę grubawa i ma twarz jak papuga. Czasem, jak wiele kobiet, zupełnie goli brwi i rysuje sobie nowe w innym miejscu, prawdopodobnie pisakiem. Im dłużej myślę o tym goleniu i rysowaniu, tym bardziej mnie mdli i mam ochotę rozorać sobie twarz paznokciami.

Przysięgam, że pani Giordano pojawia się w mojej książce tylko ten jeden jedyny raz.

Dobra, idźmy dalej.

## ROZDZIAŁ 2

# PIERWSZY DZIEŃ CZWARTEJ KLASY W ZWIĘZŁEJ FORMIE SCENARIUSZA

Chyba powinniśmy zacząć od pierwszego dnia czwartej klasy. Zresztą to był fantastyczny dzień, póki nie wmieszała się moja mama.

Słowo „fantastyczny” to bardzo względne określenie. Nie oczekiwałem za wiele, więc może „fantastyczny” to za mocne słowo. Należałoby raczej napisać: „Byłem pozytywnie zaskoczony tym, że pod koniec pierwszego dnia nie miałem ochoty w panice schować się do szafy i udawać martwego”.

Szkoła jest nieustającym źródłem stresu, a pierwszy dzień roku szkolnego to prawdziwe piekło, bo wtedy każda z grup wybiera sobie nowe miejsce spotkań. W poprzednim rozdziale zapomniałem wspomnieć, że ogólne grupy takie jak dziani, sportowcy, kujony, aktorzy dzielą się jeszcze na roczniki. Goci z drugiej klasy żyją w ciągłym strachu przed gotami z czwartej klasy, kujony z trzeciej klasy okazują kujonom z pierwszej klasy pogardę, nie ufają im i tak dalej. A zatem gdy jeden rocznik kończy szkołę, pozostawia po sobie wiele pustych miejsc spotkań, które pozostali próbują zagospodarować i z tego powodu dochodzi do serii nieoczekiwanych wydarzeń.

Dla mnie oznacza to niezwykle pracowity poranek. Przyszedłem bardzo wcześnie, żeby zobaczyć, jak sprawy się potoczą, a na terenie całej szkoły już czaiło się kilka osób i obserwowało strategiczne miejscówki. W większości byli to reprezentanci grup najbardziej nękanych w naszej szkole.

*Wnętrze. Korytarz przed biblioteką. Poranek.*

*JUSTIN HOWELL nerwowo kręci się pod drzwiami do biblioteki w nadziei, że uda mu się zająć tę miejscówkę dla kolegów z kółka teatralnego. Chodzi tam i z powrotem, nucąc główny temat muzyczny z jakiegoś musicalu, może z Rent albo z Kotów. Z wyraźną ulgą zauważa nadchodzącego Grega.*

*JUSTIN HOWELL*

*ucieszony, że nie nadchodzi sportowiec, gangster albo ktoś, kto go zwyzywa od ciot*

Och, cześć, Greg.

*GREG GAINES*

Justin, miło cię widzieć.

*JUSTIN HOWELL*

Ciebie też. Jak spędziłeś wakacje?

*GREG*

Było gorąco i nudno. Nie mogę uwierzyć, że to już koniec.

*JUSTIN HOWELL*

Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha. Och, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha.

*Ten pozornie niewinny żart sprawił, że Justinowi kompletnie odbiło. Może powrót do szkoły wywołał u niego taki niepokój, że zlasowało mu mózg.*

*Nie takiej reakcji spodziewał się GREG. Chciał powiedzieć coś bezsensownego, co nie zapadłoby JUSTINOWI w pamięć. Teraz wzrusza ramionami i rozgląda się z zażenowaniem, próbując unikać kontaktu wzrokowego, co zazwyczaj robi, kiedy inni śmieją się z tego, co powiedział.*

*JUSTIN HOWELL (KONTYNUUJE)*

*unoszą brwi, które jakoś tak dziwnie się układają*

Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha.

*Nadchodzi PANI WALTER, bibliotekarka. Groźnie mierzy wzrokiem obu chłopaków. Prawie na pewno jest alkoholiczką.*

*JUSTIN HOWELL*

Dzień dobry, pani Walterrrr.

*PANI WALTER*

*z niechęcią*

Hhngh.

JUSTIN HOWELL

Ha, ha, słyszałeś, Greg?

GREG

No dobra, Justin, do zobaczenia później.

To chyba oczywiste, że z wcześniej wymienionych powodów nie zamierzałem wchodzić do biblioteki, żeby kontynuować pogawędkę z Justinem Howellem. Musiałem iść dalej.

*Wnętrze. Korytarz przed salą prób muzycznych. Ranek.*

*LAQUAYAH THOMAS i BRENDAN GROSSMAN jeszcze nie weszli do sali prób. Nie mają instrumentów, ale uważnie czytają jakieś nuty. Widać z daleka, że robią to tylko po to, by pokazać wszystkim wokół, że tak świetnie znają się na muzyce i mogą sobie od niechcienia czytać zapis nutowy.*

BRENDAN GROSSMAN

Gaines, zapisałeś się w tym roku do orkiestry?

GREG

*ze skruchą*

Nie mam na to czasu.

BRENDAN GROSSMAN

Cooo?

LAQUAYAH THOMAS

*z niedowierzaniem*

Ale w tym roku przydzieliliby ci kotły! Kto teraz zagra na kotłach?

BRENDAN GROSSMAN

*grobowym głosem*

Został nam już tylko Joe DiMeola.

GREG

O właśnie, Joe. I tak jest lepszym bębniarzem ode mnie.

*LAQUAYAH THOMAS*

Kiedy gra, pałeczki są całe mokre od jego potu.

*GREG*

Bo tak bardzo się koncentruje.

*Wnętrze. Aula. Ranek.*

*Dwaj gości z czwartej klasy, SCOTT MAYHEW i ALLAN McCORMICK, siedzą skuleni na krzesłach w ostatnim rzędzie, zajęci jakąś kolekcjonerską grą karcianą. Aula to chyba najcenniejsza miejscówka w całej szkole. Mało prawdopodobne, by ta mała kolonia gotów przetrwała najazdy sportowców, aktorów i gangsterów, którzy bez wątpienia zjawią się tu już dziś po południu.*

*GREG*

Czołem, panowie.

*SCOTT MAYHEW*

Miłego dnia.

*ALLAN McCORMICK*

*mrużąc szybko i gwałtownie bez żadnego powodu*

Tak, miłego dnia.

Goci zajmują bardzo niską pozycję w hierarchii społecznej, ale jednocześnie najtrudniej wniknąć w ich szeregi. Może właśnie dlatego, że stoją tak nisko w hierarchii. Są chorobliwie podejrzliwi w stosunku do każdego, kto próbuje do nich zagadać. Właściwie wszystkie ich cechy charakterystyczne stanowią przedmiot drwin: ich uwielbienie dla elfów i smoków, ich trencze, ich długo nieczesane, a może właśnie zbyt pieczołowicie czesane włosy, ich zwyczaj chodzenia szybkim krokiem i oddychania głośno przez nos. Trudno zaskarbić sobie ich sympatię, jeśli nie stajesz się jednym z nich.

Właściwie to mam do nich słabość, bo całkowicie rozumiem ich stanowisko. Nienawidzą szkoły tak bardzo jak ja. Stale próbują z niej uciec, by zamieszkać w świecie fantazji, w którym można wędrować po górach i walczyć na miecze w melancholijnym świetle ośmiu księżyców. Niekiedy

wydaje mi się, że w alternatywnym świecie mógłbym być jednym z nich. Jestem błądy, pulchny i między ludźmi zachowuję się jak dzikus. Szczerze powiedziawszy, atakowanie innych z mieczem w rękę wydaje mi się świetnym pomysłem.

Nad tym właśnie rozmyślałem, siedząc z nimi w kucki w auli. Ale nagle przyszła mi pewna myśl.

*SCOTT MAYHEW po chwili zastanowienia zagrywa kartą zatytułowaną „Horda nieumarłych”.*

*ALLAN McCORMICK*

Rzucam klątwę.

*GREG*

Scott, ale super ta horda nieumarłych.

W tym momencie dotarło do mnie, że jednak nie mógłbym żyć w ten sposób, ciągle wygadywać takie głupoty i na przykład zachwycać się należącą do kolegi hordą nieumarłych. Ta myśl trochę podniosła mnie na duchu. Dlatego bardzo szybko i z całym szacunkiem się stamtąd zwinąłem.

*Wnętrze. Przed schodami w południowym skrzydle. Ranek.*

*Wszyscy czterej członkowie podgrupy 4c, czyli afroamerykańscy trzecioklasiści z bogatych domów, zajęli pozycje tuż przy drzwiach. W tym samym czasie samotny kościółkowy drugoklasista IAN POSTHUMA przyczaił się nieco dalej w korytarzu i z posępną miną czeka na wsparcie.*

To klasyczna sytuacja, w której należy unikać jak ognia kontaktu z ludźmi, bo jeśli będziesz wyglądał tak, jakbyś należał do jednej z grup, druga na pewno to zauważy i będziesz spalony. Oczywiście jeśli jesteś spalony u oazowiczów z drugiej klasy, to nie jest jeszcze najgorsza rzecz, jaka może cię spotkać, mój cel życiowy polega jednak na tym, bym dla nikogo nie był spalony. Czy istniały czasy, kiedy taki cel mógł sobie postawić tylko kompletny idiota? Tak. Ale, szczerze mówiąc, wymieńcie choć jeden cel życiowy, który nie jest z pewnego punktu widzenia zupełnie idiotyczny. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to okaże się, że nawet ubieganie się o fotel prezydencki to totalna bzdura.

*GREG wita się z IANEM POSTHUMĄ ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Nagle kauczukowa piłeczka, którą JONATHAN WILLIAMS odbijał na chybił trafił od różnych powierzchni, uderza rykoszetem w ząb GREGA.*

Jako uczeń młodszych klas nie wiedziałbym, jak wyjść z twarzy z takiej sytuacji. Grupa koleśka,



który rzucił we mnie piłeczką, wybuchłaby gromkim śmiechem, a ja czym prędzej bym stamtąd zwiął, żeby nie dostać jeszcze raz. Ale tym razem bardzo szybko okazało się, że w tym roku sprawy wyglądają zupełnie inaczej.

*Kiedy JONATHAN WILLIAMS uderza piłeczką w ząb GREGA, wcale nie jest z tego dumny, tylko z zażenowaniem wbija wzrok w podłogę.*

*DARNELL REYNOLDS*

*wyraźnie zirytowany*

A nie mówiłem, że kogoś uderzysz?

*DONTÉ YOUNG*

To maturzysta.

*JONATHAN WILLIAMS*

*mamrocze pod nosem*

Przepraszam.

*GREG*

Nic się nie stało.

*DAJUAN WILLIAMS popycha JONATHANA WILLIAMSA.*

*DONTÉ YOUNG*

*czyszcząc paznokcie*

W maturzystów się nie rzuca.

Jak widać, uczeń ostatniej klasy może dostać w zęby tylko przez przypadek. Innymi słowy, w ostatniej klasie jest zajebicie.

W ten sposób przebiegł cały ranek przed rozpoczęciem lekcji, a potem cały dzień. Pod tym względem był to idealny początek roku szkolnego. Spędziłem kilka minut na parkingu z bandą rozwydrzonych obcokrajowców pod przywództwem Nizara, Straszego Syryjczyka, a potem przywitałem się z drużyną piłkarską, która w tym roku nie próbowała mnie złapać i powyrywać mi sutków. Dave Smeggars, powszechnie znany wielbiciel zioła, długo i niemożliwie rozwlekle opowiadał mi o swoich wakacjach, ale w pewnym momencie jego uwagę przykuły przelatujące nad

nami ptaki i wtedy udało mi się od niego uciec. Vonta King próbował mnie nakłonić, żebym z nim usiadł naprzeciwko sali 318, więc udawałem, że spieszę się na spotkanie z nauczycielem, a on bez sprzeciwów przyjął to do wiadomości. I tak dalej, i tym podobnie.

W pewnym momencie nieomal wszedłem między piersi Madison Hartner. Jej piersi znajdują się dokładnie na wysokości moich oczu.

## ROZDZIAŁ 3

# ŻENUJĄCY ROZDZIAŁ, KTÓRY JAK NAJSZYBCIEJ CHCĘ MIEĆ Z GŁOWY

Na potrzeby tej bezdennie głupiej książki muszę pokrótce omówić temat dziewczyn, zobaczymy więc, czy uda mi się tego dokonać bez walenia się pięściami po głowie.

Zacznijmy od początku. Po pierwsze dziewczyny lubią przystojnych facetów, a ja bynajmniej do przystojnych nie należę. Właściwie wyglądam trochę jak budyń. Jestem straszliwie błądy i za dużo ważę. Mam nieco szczurzą twarz i z powodu słabego wzroku często mrużę oczy. Poza tym zdiagnozowano u mnie chroniczny nieżyt błony śluzowej zatok, co brzmi dość interesująco, ale zasadniczo oznacza, że mam ciągle zatkany nos. Trudności z oddychaniem powodują, że prawie cały czas mam półotwarte usta, co nadaje mojej twarzy głupawy wyraz.

Po drugie dziewczyny lubią chłopaków, którzy są pewni siebie. Mając to na uwadze, przeczytajcie jeszcze raz poprzedni akapit. Trudno o pewność siebie, gdy wygląda się jak pulchna, mrużąca oczy, umysłowo upośledzona krzyżówka człowieka z gryzoniem, która bez przerwy dłubie w nosie.

Po trzecie muszę popracować nad taktyką podrywu.

**Nieudany podryw numer 1: Ona się nie zabujała.** W czwartej klasie podstawówki uświadomiłem sobie, że chciałbym mieć dziewczynę. Oczywiście nie miałem pojęcia po co. Chciałem mieć dziewczynę jak wiele innych rzeczy, i już. Spośród wszystkich czwartoklasistek zdecydowanie najbardziej seksowna była Cammie Marshall. Poprosiłem Earla, żeby podszedł do niej na placu zabaw i powiedział: „Greg wcale się w tobie nie kocha. Ale martwi się, że ty się w nim kochasz”.

Kiedy Earl to mówił, stałem jakieś pięć metrów od nich i miałem nadzieję, że Cammie powie: „Tak naprawdę zabujałam się w Gregu po uszy i chcę być jego dziewczyną”. Tymczasem ona zapytała:

– Jaki Greg?

– Greg Gaines – odparł Earl. – Tam stoi.

Oboje się odwrócili i na mnie spojrzeli. Wyjąłem palec z nosa, żeby pomachać Cammie.

Dokładnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że dłubałem w nosie.

– Nie – powiedziała Cammie.

Następne podrywy wcale nie szły mi lepiej.

**Nieudany podryw numer 2: Bombardowanie wyzwiskami.** Cammie dała mi do zrozumienia, że nie dorastam jej do pięt. Ale jej najlepsza przyjaciółka Madison Hartner też mi się podobała. W piątej klasie wydawało mi się, że Madison chciałaby wzbudzać takie zainteresowanie jak jej seksowna koleżanka Cammie. (Uwaga: dzisiaj, gdy jako siedemnastolatek spoglądam wstecz, nie mieści mi się w głowie, że dziesięciolatka może komukolwiek wydawać się seksowna. Wtedy jednak byłem o tym święcie przekonany).

W przypadku Madison zastosowałem taktykę, która zawsze sprawdzała się u innych piątoklasistów: wyzwiska. Stek złośliwych wyzwisk. Wyzwiska, które zresztą nie miały żadnego sensu. Wołałem na nią Madison Avenue Hartner, nie wiedząc nawet, co to jest Madison Avenue. Patison. Grubiszon. Po jakimś czasie wpadłem na Małpiszon”. Kilka dzieciaków się śmiało, więc przezywałem ją tak przez cały czas.

Nie dawałem za wygraną. Posunąłem się o wiele za daleko. Powiedziałem jej, że ma maleńki mózdzek jak dinozaur, a drugi w tyłku. Opowiadałem, że Hartnerowie nie jadają kolacji, tylko siedzą i popluwają sobie w talerze, bo to taka banda przygłupów, że nawet nie wiedzą, do czego służy jedzenie. Kiedyś nawet zadzwoniłem do niej i powiedziałem jej, że myje włosy w rzygach.

No dobra, zachowywałem się jak idiota. Nie chciałem, żeby ktoś sobie pomyślał, że się w niej podkochuję, dlatego postanowiłem przekonać wszystkich, że naprawdę i szczerze nienawidzę Madison Hartner. Bez powodu. Na samą myśl o tym mam ochotę walnąć się pięścią w oko.

Wreszcie po tygodniu nadszedł dzień, w którym udało mi się doprowadzić ją do łez. O ile dobrze pamiętam, śmiałem się z tego, że używa błyszczyku do ust zrobionego ze smarków. Dostałem naganę od nauczyciela i oficjalny zakaz zbliżania się do Madison, jakbym był prawdziwym przestępcą. Posłusznie przyjąłem karę i nie odzywałem się do niej chyba przez kolejne pięć lat. Po dziś dzień zagadką pozostaje dla mnie tamten Tydzień, w którym Grega Przepęłniała Niewyjaśniona Nienawiść do Madison.

O rany.

**Nieudany podryw numer 3: Dywersja.** Mama upierała się, żebym aż do bar micwy chodził do żydowskiej szkółki niedzielnej. Było tam nie do zniesienia i nie chcę o tym opowiadać. Na rzecz żydowskiej szkółki niedzielnej przemawiało jedno: bardzo korzystny stosunek liczby chłopaków do dziewczyn. Oprócz mnie do mojej klasy chodził tylko jeden koleś, Josh Metzger, i sześć dziewczyn. Problem polegał na tym, że tylko jedna z nich, Leah Katzenberg, była seksowna. Drugi problem polegał na tym, że Josh Metzger był naprawdę niezłym przystojniakiem. Miał długie kręcone włosy,

wypłowiąła od chlorowanej wody, ponieważ trenował pływanie. Był ponury i nietowarzyski, dlatego ja się go bałem, a dziewczyny uważały za niesłychanie atrakcyjnego. Nawet nauczycielki go podrywały. Zajęcia w żydowskich szkółkach niedzielnych prowadzą wyłącznie kobiety, w większości niezamężne.

W szóstej klasie postanowiłem, że najwyższy czas ruszyć na podryw Leah Katzenberg. Żeby ją zdobyć – przygotujcie się teraz na zderzenie z głupotą w rekordowym stężeniu – postanowiłem wzbudzić w niej zazdrość. A chciałem osiągnąć ten cel, flirtując z Rachel Kushner, przeciętną dziewczyną o wielkich zębach i włosach jeszcze bardziej kręconych niż rozjaśnione loki Josha Metzgera. Rozmawiało mi się z nią raczej marnie, bo mówiła bardzo powoli i właściwie nie miała nic ciekawego do powiedzenia.

Odznaczała się jedną pozytywną cechą: uważała mnie za najzabawniejszego faceta pod słońcem. Śmiała się z moich wszystkich, nawet najbardziej dennych żartów, gdy przedrzeźniałem nauczycieli, robiłem zeza albo udawałem postacie z kreskówek. Zdecydowanie poprawiła moją samoocenę. Niestety nie poprawiła moich notowań u Leah Katzenberg, która szybko uznała Rachel i mnie za przeuroczą parę, a nawet pewnego dnia po zajęciach powiedziała nam to wprost.

Nagle dorobiłem się dziewczyny. I to takiej, z którą wcale nie chciałem chodzić. Wypadałoby w tym momencie zacytować Nizara, najgroźniejszego i najslabiej znającego gramatykę ucznia, należącego do grupy rozwyrzonych obcokrajowców w Benson: „Szlag cholera kurwa mać”.

Następnego dnia poinformowałem Rachel przez telefon, że chcę się z nią tylko przyjaźnić.

– Dobra – odparła.

– To świetnie – powiedziałem.

– Chcesz do mnie przyjść? – zapytała.

– Mhm. – Zawahałem się. – Stopa utkwiała mi w tosterze. – To była idiotyczna wymówka, ale nie muszę chyba dodawać, że wywołała u Rachel salwę śmiechu.

– A tak serio, chcesz do mnie przyjść? – zapytała jeszcze raz po trzydziestu sekundach nieopanowanego chichotu.

– Muszę najpierw wyciągnąć stopę z tosterza – powiedziałem.

Już wtedy wiedziałem, że ta rozmowa zaprowadzi mnie w ślepą uliczkę, więc się rozłączyłem. Takimi żartami częstowałem ją jeszcze przez kilka dni, a potem tygodni. Czasem, gdy dzwoniła, opowiadałem, że przykleiłem się do lodówki. Innym razem, że przypadkowo przyspawałem się do samochodu policyjnego. Potem do repertuaru wymówek włączyłem zwierzęta. „Muszę walczyć z rozwścieczonymi tygrysami” albo „Teraz trawię całego wombata”. Co żart, to gorszy. Wreszcie moje wykręty przestały Rachel śmieszyć.

– Greg, jeśli nie chcesz się ze mną spotykać, to po prostu powiedz – zaczęła powtarzać.

Z jakiegoś powodu nie potrafiłem się do tego przyznać. Czułbym się jak świnia. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, że kłamiąc jej w żywe oczy, również postępowałem jak świnia.

Sam się wpakowałem w tarapaty.

Atmosfera w szkółce niedzielnej zrobiła się nie do zniesienia. Rachel już nie chciała ze mną rozmawiać, ale to wcale nie spowodowało, że Leah zaczęła się mną interesować. To chyba oczywiste. Uznała mnie za palanta. Chyba nawet uświadomiłem jej, że wszyscy faceci to palanty, bo wkrótce po moim rozstaniu z Rachel została lesbijką.

**Nieudany podryw numer 4: Komplementowanie piersi.** W pierwszej klasie gimnazjum Marze LaBastille urosły imponujące piersi. Komplementowanie obfitego biustu to najgłupsza taktyka podrywu. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Z niewiadomego powodu facet robi jeszcze gorsze wrażenie, kiedy podkreśla, że podobają mu się obie piersi. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest. „Masz fajne piersi”. Źle. „Masz dwie fajne piersi”. Jeszcze gorzej. „Dwie piersi? Idealnie”. Niedostateczny minus.

**Nieudany podryw numer 5: Na dżentelmena.** Kiedy Mariah Epps zdała do drugiej klasy gimnazjum, jej rodzina przeniosła się do Pittsburgha. Przedstawiła się całej klasie pierwszego dnia szkoły, a ja zwariowałem na jej punkcie. Była ładna, wydawała się mądra, a co najważniejsze, nie wiedziała, że w przeszłości zachowywałem się w stosunku do dziewczyn jak kompletny dupek. Uznałem, że muszę niezwłocznie działać. Tamtej nocy w desperacji zapytałem mamę, czego naprawdę chcą dziewczyny.

– Dziewczynom podobają się dżentelmeni – odparła mama. Powiedziała to troszeczkę za głośno. – Lubią często dostawać kwiaty. – Zmierzyła tatę wzrokiem. Chyba dzień wcześniej zapomniał o jej urodzinach.

Dlatego następnego dnia ubrałem się do szkoły w garnitur i jeszcze przed pierwszą lekcją dałem Mariah różę.

– Byłbym zachwycony i zaszczycony, gdybym mógł w ten weekend zabrać cię do lodziarni – powiedziałem z brytyjskim akcentem.

– Naprawdę? – zapytała Mariah.

– Greg, wyglądasz jak ciota – powiedział stojący obok sportowiec Will Carruthers.

Ale mój plan wypalił. Nie mogłem w to uwierzyć! Poszedłem na randkę. Umówiliśmy się w centrum, kupiłem nam lody, usiedliśmy i pomyślałem, że od teraz moje życie będzie właśnie tak wyglądało i że będzie super.

I wtedy zaczęła się Rozmowa.

O Boże, ależ ta dziewczyna miała gadane! Mogła przejść całe kilometry, nie zamykając ust. Wciąż trajkotała o swoich przyjaciółach z Minnesoty, których przecież nie znałem. Jakby nie było innych tematów. Zmarnowałem setki godzin, słuchając opowieści o tych ludziach, ale jako dżentelmen nie mogłem jej przerwać, mówiąc: „Ale nudy” albo: „Już to mówiłaś”.

Cały problem polegał na tym, że taktyka „na dżentelmena” okazała się zbyt skuteczna.

Rozbudziłem w Mariah wręcz niedorzeczne oczekiwania. Musiałem codziennie wkładać do szkoły najlepsze ubranie, wciąż za coś płacić, a wieczorem godzinami wisieć z nią na telefonie i tak dalej. I po co to wszystko? Bo na pewno nie po to, żeby zaliczyć. Dżentelmeni nie zaliczają. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co znaczy sformułowanie „bawić się kimś”. Poza tym musiałem mówić z tym kretyńskim brytyjskim akcentem i wszystkim się wydawało, że jestem upośledzony.

Musiałem skończyć tę zabawę. Ale jak? Nie mogłem pozwolić sobie na szczerłość i powiedzieć: „Mariah, jeśli bycie twoim chłopakiem oznacza, że muszę wydawać kupę kasy i słuchać twojego trajkotania, to naprawdę mi się to nie opłaca”. Wpadłem nawet na straceńczy pomysł, że zniechęcę do siebie Mariah, jeśli będę nawijał cały czas o dinozaurach, a może nawet zacznę udawać dinozaura, ale na to również nie starczyło mi odwagi. Patowa sytuacja.

Zupełnie niespodziewanie Aaron Winer uratował mi tyłek. Zabrał Mariah do kina i całował się z nią w ostatnim rzędzie. Następnego dnia w szkole już byli parą. Bach! Problem z głowy. Udawałem, że Mariah bardzo mnie zraniła, ale w głębi duszy poczułem taką ulgę, że na lekcji historii dostałem ataku histerycznego śmiechu i zapytałem nauczycielkę, czy mogę iść do higienistki.

To tyle. W liceum dałem sobie spokój z dziewczynami i z wymyślaniem taktyk podrywu. Szczerze mówiąc, problemy z Mariah zupełnie wyleczyły mnie z chęci posiadania dziewczyny. Jeśli tak to miało wyglądać, postanowiłem mieć to w dupie.



## ROZDZIAŁ 4

# CO ONE TERAZ PORABIAJĄ?

**Cameron „Cammie” Marshall** jest kapitanem Ligi Matematycznej. Wciąż chodzi z plecakiem z Hello Kitty i raczej nie robi tego ironicznie. Z pewnością nie jest już najseksowniejszą dziewczyną w klasie, ale chyba jej na tym nie zależy.

**Madison Hartner** jest seksowna jak cholera i pewnie spotyka się teraz z jakimś futbolistą z drużyny Pittsburgh Steelers.

**Leah Katzenberg** ogoliła głowę, powbiła sobie w różne części twarzy kolczyki o łącznej wadze kilku kilogramów i chyba już czterech albo pięciu nauczycieli literatury z naszego liceum zrezygnowało z prób nakłonienia jej do czytania książek napisanych przez mężczyzn.

**Mara LaBastille** razem ze swoimi dwiema jednakowo cudownymi piersiami przeniosła się do innego liceum.

**Mariah Epps** zapisała się do kółka teatralnego. Otacza się tylko stuprocentowymi gejami pokroju Justina Howella i wszyscy razem gadają jak nakręceny.

**Rachel Kushner** w ostatniej klasie liceum zachorowała na ostrą białaczkę szpikową.

## ROZDZIAŁ 5

# UMIERAJĄCA DZIEWCZYNA

O białaczce Rachel dowiedziałem się zaraz po powrocie do domu.

Powtórzę, że nawet jeśli pierwszy dzień w czwartej klasie nie był wspaniały, to przynajmniej nie okazał się totalną katastrofą. Wszyscy – od bogaczy takich jak Olivia Ryan, wystrojonych w ciuchy od znanych projektantów, po Straszego Syryjczyka Nizara – zachowywali się wobec mnie w porządku i nikt nie próbował knuć za moimi plecami, żeby mnie pograżyć. Pierwszy raz w życiu mi się coś takiego przytrafiło. Poza tym jako uczeń ostatniej klasy nie musiałem się już stresować, że jakiś starszy kolega poleje mi głowę albo plecak musztardą. Czwartoklasiście należą się w końcu pewne przywileje. Nauczyciele wygadywali jakieś bzdury, strasząc ogromem czekających nas obowiązków, ale w czwartej klasie każdy już wie, że powtarzają to co roku i zawsze kłamią.

Moje życie osiągnęło punkt kulminacyjny. Nawet nie przypuszczałem, że kiedy tylko zobaczę mamę, najpiękniejszy moment mojego życia gwałtownie się skończy. Trwał jakieś osiem godzin.

*Wnętrze. Moja sypialnia. Dzień.*

*GREG siedzi na łóżku. Właśnie wrócił ze szkoły i próbuje czytać Opowieść o dwóch miastach, pozycję z listy lektur obowiązkowych, ale nie może się skupić, bo czuje w spodniach, że nie wiadomo czemu mu stanął. Napięcia nie rozładowuje bynajmniej zdjęcie piersi widoczne na stojącym tuż obok laptopie. Ktoś puka.*

*MAMA*

*spoza kadru*

Greg? Kochanie? Mogę wejść? Chciałam z tobą porozmawiać.

*GREG*

*pod nosem*

Kurwa, kurwa, kurwa.

*MAMA*

*wchodzi do pokoju w chwili, gdy GREG niepostrzeżenie zamyka laptop*

Kochanie, jak się masz?

*MAMA kuca przy łóżku z założonymi rękami. Ma zmarszczone brwi i głęboką bruzdę na czole. Patrzy na GREGA szeroko otwartymi oczami. Te znaki jednoznacznie wskazują, że za chwilę MAMA wkurzy GREGA, prosząc go o przysługę.*

*Erekcja GREGA znika równie niespodziewanie, jak się pojawiła.*

*MAMA*

*powtarza*

Greg? Wszystko w porządku?

*GREG*

Co?

*MAMA*

*po długiej chwili ciszy*

Mam dla ciebie bardzo złą wiadomość. Tak mi przykro.

*Zbliżenie na zdezorientowaną twarz GREGA, który zastanawia się, co to za fatalna wiadomość. Taty nie ma w domu. Może zwolnili go z uczelni? W końcu jest dziwakiem. Można za coś takiego wylecieć z pracy? A może tata od zawsze prowadził podwójne życie i tak naprawdę jest geniuszem zbrodni? A teraz wpadł w ręce policji, a jego rodzina musi uciekać na jakąś karaibską wyspę, której jeszcze nie oznaczono na mapie? Tam zamieszkają w chatce z pordzewiałym dachem i będą hodować kozę. Czy przywitają ich dziewczyny w połówkach kokosa zamiast staników i spódnicach z trawy? A może tak wyglądają mieszkanki Hawajów? GREG pomylił Karaiby z Hawajami.*

*GREG*

Okej.

*MAMA*

Przed chwilą dzwoniła Denise Kushner, mama Rachel. Znasz Denise?

*GREG*

Właściwie to nie.

MAMA

Ale przyjaźnisz się z Rachel.

GREG

Tak jakby.

MAMA

Coś was łączyło, prawda? Chodziliście ze sobą?

GREG

*trochę zażenowany*

To było sześć lat temu.

MAMA

Kochanie, u Rachel zdiagnozowano białaczkę. Denise właśnie się o tym dowiedziała.

GREG

Och.

*po chwili milczenia zadaje głupie pytanie*

To coś poważnego?

MAMA

*po jej twarzy płyną łzy*

Och, kochanie. Jeszcze nie wiadomo. Badają ją i wkrótce zaczną leczenie. Ale na razie nic nie wiadomo.

*nachyla się*

Kochanie, tak mi przykro. To takie niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

GREG

*jak totalny idiota*

Hmm... masakra.

MAMA

Masz rację. Masz zupełną rację. Masakra.

*jest bardzo poruszona, ale w jej ustach te słowa brzmią dziwnie, bo przecież rodzice nie mówią*

„masakra”

Masakra. Prawdziwa masakra.

*G R E G*

*gorączkowo, ale bezskutecznie próbuje wymyślić jakąś taktowną odpowiedź*

No, hmm, masakra... to fatalnie.

*myśli, że jeśli będzie cały czas mówił, to w końcu powie coś trochę mniej kretyńskiego*

Totalna masakra.

*Jezu*

Ojej.

*MAMA*

*całkiem się rozkleja*

Masakra. Masz rację. Totalna masakra. Greg. Kochanie. To naprawdę straszna masakra.

*G R E G* czuje się teraz potwornie zażenowany, wstaje z łóżka, siada na podłodze i próbuje objąć *MAMĘ*, która kołysze się na piętach i płacze. Przez chwilę obejmują się, siedząc w kucki na podłodze.

*Zbliżenie na nieco zdezorientowaną, tępą twarz G R E G A. Oczywiście jest mu przykro, ale tak naprawdę zaniepokoiło go to, że nie jest mu tak smutno jak MAMIE. Ta informacja prawie w ogóle go nie zmartwiła i czuje się z tego powodu winny i trochę wkurzony. Czy Mama zna Rachel aż tak dobrze? Nie. No to o co robi takie wielkie halo? Ale jednocześnie czemu Greg nie robi wielkiego halo? Czy jest złym człowiekiem, bo nie płacze? Greg obawia się, że w każdej chwili może wpaść w jakieś bagno i straci przez to mnóstwo czasu.*

*MAMA*

*wreszcie trochę się uspokaja*

Kochanie, teraz Rachel potrzebuje przyjaciół.

*G R E G*

Uchhh.

*MAMA*

*jeszcze raz, z naciskiem*

Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wiem, że ci ciężko, ale nie masz wyboru. To micwa.

„Micwa” po hebrajsku oznacza „potworny wrzód na dupie”.

*GREG*

Mmmm.

*MAMA*

Im więcej czasu z nią spędzisz, tym więcej dobra wniesiesz w jej życie.

*GREG*

Aha.

*MAMA*

Po prostu masakra. Bądź silny. Musisz się zachować jak dobry przyjaciel.

Trudno wyobrazić sobie gorszą masakrę. Co, do cholery, miałem zrobić? Czy rzeczywiście wniósłbym tyle dobra w życie Rachel, gdybym do niej zadzwonił z pytaniem, czy ma ochotę spędzić ze mną trochę czasu? Co niby miałem powiedzieć? „Hej, słyszałem, że masz białaczkę. Powinnaś wreszcie zrealizować receptę... na Greg-piryne”. Zaczniemy od tego, że nawet nie wiedziałem, co to jest białaczka. Otworzyłem laptop. Wtedy, na sekundę lub dwie, na ekranie pojawiło się zdjęcie piersi.

*MAMA*

*z obrzydzeniem*

Och, Greg.

*GREG*

Nie wiem, skąd to się tu wzięło.

*MAMA*

Muszę cię o to zapytać: naprawdę ci się podobają? Wyglądają tak sztucznie.

*GREG*

Już wiem skąd. Na Facebooku wprowadzili nowe pop-upy z reklamami. To właściwie porno. Po prostu czasem się pojawiają...

*MAMA*



Prawdziwe piersi nie wyglądają jak balony napełnione wodą.

*GREG*

To taka reklama.

*MAMA*

Greg, masz mnie za idiotkę?

Jak się okazuje, białaczka to rak krwi. To najczęstszy rodzaj nowotworu wśród nastolatków, choć ta odmiana, na którą zachorowała Rachel, czyli ostra białaczka szpikowa, zazwyczaj nie występuje u młodych osób. „Ostra” oznacza, że choroba pojawia się znikąd i rozwija się bardzo szybko, „szpikowa” oznacza, że ma coś wspólnego ze szpikiem kostnym. Mówiąc krótko, krew i szpik kostny Rachel zostały zaatakowane przez agresywne i szybko przemieszczające się komórki nowotworowe. Wyobraziłem sobie dziewczynę z wielkimi zębami i kręconymi włosami, zmuszoną odpierać atak tych niewidzialnych, mikroskopijnych paskudztw, które zaczęły krążyć w jej żyłach. Teraz zrobiło mi się naprawdę smutno. Ale nie chciało mi się płakać, tylko wymiotować.

*GREG*

Wszyscy już o tym wiedzą?

*MAMA*

Myślę, że rodzina Rachel chce to na razie zachować w tajemnicy.

*GREG*

*zaniepokojony*

Więc ja też nie powinienem o tym wiedzieć?

*MAMA*

*zachowuje się trochę dziwnie*

Nie, kochanie. Możesz o tym wiedzieć.

*GREG*

Ale czemu?

*MAMA*

Kiedy rozmawiałam z Denise, doszliśmy do wniosku, że możesz dodać Rachel otuchy.

*zaczyna być nachalna*

Rachel naprawdę przyda się przyjaciel.

*GREG*

Okej.

*MAMA*

Przyjaciel, z którym będzie się mogła pośmiać.

*GREG*

Okej, okej.

*MAMA*

Moim zdaniem, jeśli spędzisz z nią trochę czasu...

*GREG*

Okej, okej.

*Jezu Chryste*

*MAMA patrzy na GREGA smutno i wymownie.*

*MAMA*

Pamiętaj, w takiej sytuacji smutek to normalna reakcja.

## ROZDZIAŁ 6

# SEKSTELEFON

Siedziałem jak sparaliżowany i zastanawiałem się, jak to rozegrać. Co można powiedzieć umierającej osobie? Która być może nawet nie wie, że ty wiesz, że ona umiera? Spisałem listę zagajeń, ale wszystkie wydały mi się równie beznadziejne.

## *Zagajenie numer 1:*

Hej, mówi Greg. Chcesz gdzieś ze mną wyskoczyć?

## *Możliwa reakcja:*

Rachel: Czemu nagle chcesz ze mną gdzieś wyskakiwać?

Greg: Bo nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Rachel: Więc chcesz się ze mną spotkać tylko dlatego, że umieram.

Greg: Po prostu chcę spędzić z tobą trochę czasu. Póki jeszcze możemy.

Rachel: To najbardziej nietaktowna rozmowa w moim życiu.

Greg: Może zacznijmy ją jeszcze raz.

## *Zagajenie numer 2:*

Hej, tu Greg. Słyszałem, że masz białaczkę, i dzwonię, żeby dodać ci otuchy.

## *Możliwa reakcja:*

Rachel: Niby dlaczego rozmowa z tobą miałyby mi dodać otuchy?

Greg: No bo... No nie wiem!

Rachel: Tylko przypominasz mi o czasach, kiedy nie chciałeś się ze mną spotykać.

Greg: O cholera.

Rachel: A teraz postanowiłeś zepsuć ostatnie dni mojego życia. Gratuluję, udało ci się.

Greg:

Rachel: Zostało mi tylko kilka dni życia, a ty próbujesz mi je spartolić.

Greg: Kurde, spróbujmy jeszcze raz.

## *Zagajenie numer 3:*

Hej, tu Greg. Ty, ja i makaron to wspaniałe trio.

*Możliwa reakcja:*

Rachel: Co?

Greg: Zabieram cię na randkę. Autorski pomysł Grega Gainesa.

Rachel: Co?

Greg: Posłuchaj mnie. Zostało nam tylko kilka dni, dlatego liczy się każda chwila. Musimy nadrobić stracony czas. Bądźmy razem.

Rachel: O Boże. Jakie to romantyczne.

Greg:

Greg: Cholera.

To po prostu niewykonalne zadanie. Mama prosiła, bym odnowił przyjaźń zbudowaną na kłamstwie, która zakończyła swój żywot w bólach i wśród krzyków. Jak to zrobić? Nie da się.

– Halo? Kto mówi? – zapytała mama Rachel, kiedy podniosła słuchawkę. Mówiła trochę agresywnie, a właściwie szczekała jak wściekły pies. To było standardowe zachowanie Pani Kushner.

– Mmm, dzień dobry, mówi Greg – przywitałem się, a potem, z niewyjaśnionego powodu, zamiast poprosić o numer Rachel, zapytałem: – Jak się pani miewa?

– Gre-e-e-eg – zajęczała pani Kushner. – Dobrze-e-e-e.

Bum. W jednej chwili zupełnie zmieniła ton głosu. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś poznam ją od tej strony.

– To świetnie – powiedziałem.

– Greg, a jak ty się miewa-a-a-asz? – Teraz mówiła już głosem, który kobiety rezerwują wyłącznie dla kotów.

– A, w porządku – odparłem.

– A jak w szko-o-o-ole?

– Próbuję jakoś przeżyć – odpowiedziałem i natychmiast uświadomiłem sobie, że nie można palnąć większej głupoty w rozmowie z matką dziewczyny chorej na raka. Prawie się rozłączyłem.

Ale wtedy pani Kushner powiedziała:

– Greg, jesteś taki zabawny. Od dziecka taki byłeś.

Powiedziała to bez cienia ironii, ale się nie zaśmiała. Sytuacja zrobiła się jeszcze dziwniejsza, niż mogłem się spodziewać.

– Dzwonię, żeby poprosić o numer Rachel – powiedziałem.

– Bardzo. Się. Ucieszy. Jeśli do niej zadzwonisz.

– To dobrze – odparłem.

– Właśnie siedzi w pokoju i czeka.

Nie wiedziałem, jak rozumieć to zdanie. Siedzi w pokoju i czeka? Na mnie? Na śmierć? O Boże,

co za masakra. Próbowałem wprowadzić do naszej rozmowy jakiś pozytywny ton.

– Na pewno świetnie się bawi.

W ciągu trzydziestu sekund udało mi się popełnić drugi kolosalny nietakt, od którego aż mózg się lasuje. Znow zapragnąłem się rozłączyć i zjeść telefon.

Tymczasem...

– Greg, masz fantastyczne poczucie humoru – zachwycła się pani Kushner. – Nie pozwól, by ci je odebrali, dobra? Pielęgnuj je w sobie.

– Odebrali? Kto? – zapytałem zaniepokojony.

– Ludzie – wyjaśniła pani Kushner. – Świat.

– Aha – powiedziałem.

– Świat próbuje podciąć ci skrzydła, Greg – oświadczyła pani Kushner. – Wycisnąć z ciebie energię życiową.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Co ja wygaduję – dodała pani Kushner.

Zupełnie się pogubiła. Nadszedł czas, by popłynąć na tej fali lub utonąć w morzu szaleństwa.

– Alleluja – powiedziałem. – Chwalmy Pana.

– Chwalmy Pana – zapiała pani Kushner i zachichotała. – Greg!

– Tak, pani Kushner?!

– Możesz mi mówić po imieniu. Denise – oznajmiła ku mojemu przerażeniu.

– Super – bąknąłem.

– Podam ci numer do Rachel – powiedziała Denise i mi go podyktowała.

Dzięki Bogu, na tym skończyła się nasza rozmowa. Ulżyło mi na myśl, że teraz muszę tylko porozmawiać ze swoją niedoszłą byłą dziewczyną o jej zbliżającej się śmierci.

– Słucham, mówi Rachel.

– Cześć, tu Greg.

– Hej.

– Cześć.

– ...

– Dzwoniłem do twojego lekarza i wypisał ci receptę na Greg-pirynę.

– Co to takiego?

– To ja.

– Och.

– Mhm. W formie łatwej do przełknięcia żelowej tabletki.

– Och.

- Taaak.
- Więc pewnie już wiesz, że jestem chora.
- Taaak.
- Moja mama ci powiedziała?
- Nie, moja.
- Och.
- Aha.
- No i?
- No i?
- Co mi chciałeś powiedzieć?
- Mhmmm.
- Greg, co?
- No, dzwonię... żeby zapytać... czy chcesz się spotkać.
- Teraz?
- No pewnie.
- Nie, dzięki.
- Nie chcesz się ze mną spotkać?
- Nie. Ale dzięki.
- No to może kiedy indziej?
- Może kiedy indziej.
- Okej... no to cześć.
- Cześć.

Rozłączyłem się z poczuciem, że jestem największym frajerem na świecie. Oczywiście spodziewałem się takiego przebiegu tej rozmowy, ale i tak dałem się zaskoczyć. Tak na marginesie, za każdym razem, gdy mama próbowała organizować mi życie towarzyskie, kończyło się to właśnie takim żenującym fiaskiem. Nie mam nic przeciwko temu, by matki organizowały życie towarzyskie swoim dzieciom w przedszkolu. Ale moja matka próbowała mnie umawiać z innymi dziećmi jeszcze pod koniec podstawówki. A co najgorsze, pozostali dwunasto- i trzynastolatkwowie, którym matki szukały kolegów, cierpieli na lekkie lub poważne upośledzenie umysłowe. Nie chcę się wdawać w szczegóły, powiem tylko tyle, że po tym okresie zostało mi kilka emocjonalnych szram, które sprawiają, że do dziś często wpadam w panikę i udaję martwego.

No dobra. Zobaczyliście tylko niewielki fragment ogromnego obszaru zagadnień pod tytułem „Matka wtrąca się w sprawy Grega”. To ona była największą przeszkodą na mojej drodze do posiadania życia towarzyskiego, które można opisać następująco: życie towarzyskie bez przyjaciół,

wrogów i zażenowania.

Chyba powinienem teraz przedstawić swoją rodzinę. Przepraszam, jeśli uważacie, że to żenada.



## ROZDZIAŁ 7

# RODZINA GAINESÓW. SZKIC DO PORTRETU ZBIOROWEGO

Miejmy to jak najszybciej za sobą.

**Doktor Victor Gaines:** To mój ojciec, profesor literatury antycznej na Uniwersytecie Carnegie Mellon. Nikt na świecie nie jest większym dziwakiem niż doktor Victor Quincy Gaines. Mam taką teorię, że w latach osiemdziesiątych tata tak ostro imprezował, że alkohol i narkotyki zupełnie rozprostowały mu zwoje mózgowie. Jego ulubione zajęcie to siedzenie w fotelu na biegunach i kołysanie się ze wzrokiem wbitym w ścianę. Po domu chodzi zazwyczaj w hawajskiej szacie muumuu, która wygląda jak koc z dziurą na głowę, i rozmawia z kotem Catem Stevenssem jak z człowiekiem.

Trudno nie zazdrościć tacie. Prowadzi najwyżej dwa kursy w ciągu semestru, a zazwyczaj jeden, dlatego praca zajmuje mu bardzo mało czasu. Niekiedy dają mu wolne na cały rok, żeby mógł napisać książkę. Tata nie ma cierpliwości do większości profesorów, z którymi pracuje. Uważa, że za dużo narzekają. Spędza całe dni w centrum Pittsburgha w dzielnicy Strip w specjalistycznych sklepikach spożywczych, gawędząc z właścicielami i kupując dziwne produkty zwierzęce, których nikt w naszej rodzinie nie tknie, na przykład flaczki z jaka, kiełbasę ze strusia czy suszone mątwy.

Raz na dwa lata tata zapuszcza brodę i wtedy wygląda jak talib.

**Marla Gaines:** Moja mama Marla to była hipiska. Przed ślubem prowadziła bardzo ciekawe życie, choć dziś pilnie strzeże swoich tajemnic z tamtego okresu. Wiadomo, że kiedyś mieszkała w Izraelu, i podejrzewam, że miała chłopaka z saudyjskiej rodziny królewskiej. To byłoby coś, biorąc pod uwagę, że jest Żydówką. Tak naprawdę Marla Weissman Gaines jest Żydówką do szpiku kości. Jako dyrektor wykonawczy organizacji charytatywnej Ahavat Ha'Emet wysyła nastoletnich Żydów do Izraela, żeby popracowali w kibucu i stracili tam dziewictwo. Muszę podkreślić, że pomoc w utracie dziewictwa nie figuruje na liście statutowych celów organizacji. Ale chcę powiedzieć, że z Izraela się nie wyjeżdża, jeśli nie uprawiało się tam seksu. Nawet gdybyś przykręcił sobie do miednicy tytanową pieluchę grubości dwudziestu centymetrów, i tak udałoby ci się z kimś bzyknąć. Oficjalny slogan

turystyczny tego państwa powinien brzmieć: „Izrael. Tam, gdzie umiera dziewictwo™”.

Żydzi w Izraelu naprawdę lubią seks.

Mama to kochająca żona i pozwala tacie robić, co mu się żywnie podoba, ale ma też zdecydowane poglądy i silną wolę, szczególnie jeśli trzeba zawyrokować, czy coś jest Dobre, czy Złe. Kiedy uzna, że Coś Należy Zrobić, z pewnością dopnie swego. Nawet się nie zawaha. Ma być tak, jak ona sobie życzy. Czy się to komuś podoba, czy nie. Matka odznaczająca się taką cechą potrafi nieźle dać w kość. Udało jej się zniszczyć nie tylko moje dotychczasowe życie, ale także życie Earla. Dzięki, mamó.

**Gretchen Gaines:** Gretchen to starsza z moich dwóch młodszych sióstr. Ma czternaście lat, co oznacza, że wszelkie próby wejścia z nią w normalną interakcję kończą się niepowodzeniem. Kiedyś blisko się przyjaźniliśmy, ale czternastolatki to psychotyczki. Jej hobby to darcie się na mamę i odmawianie zjedzenia obiadu, bez względu na to, co podano na stół.

**Grace Gaines:** Grace to młodsza z moich dwóch młodszych sióstr. Ma sześć lat. Jesteśmy z Gretchen pewni, że rodzice nie planowali kolejnego dziecka, ale wpadli. Z pewnością zauważyliście, że wszyscy mamy imiona zaczynające się na „Gr”, do tego nie brzmia one jakoś szczególnie semicko. Pewnego wieczoru mama wypięła trochę za dużo wina do kolacji i wyznała, że kiedy przed naszym urodzeniem zdała sobie sprawę, że jej dzieci będą nosić zupełnie nieżydowskie nazwisko swojego ojca, postanowiła, że wszyscy będziemy „Żydami incognito”. Chodziło jej o to, że dla niepoznaki nada nam anglosaskie imiona. Wiem, to zupełnie bez sensu. I dowodzi, że skłonność do grzybicy mózgu to przypadłość dziedziczna.

Grace chce być pisarką i księżniczką i podobnie jak tata traktuje Cata Stevensa jak człowieka.

**Cat Stevens Gaines:** Kiedyś Cat Stevens był naprawdę fajny. Potrafił stawać na tylnych łapkach i syczeć, kiedy ktoś wchodził do pokoju. Czasem wybiegał na korytarz, obejmował łapkami mój goleń i zaczynał mnie gryźć. Ale się zestarzał i zdiadział. Gryzie dopiero wtedy, kiedy chwyci się go za brzuch i zacznie go tarosić. Zasadniczo to mój kot. To ja nadałem mu imię. Wymyśliłem je, kiedy miałem siedem lat. Chwilę wcześniej dowiedziałem się o istnieniu piosenkarza o nazwisku Cat Stevens, a wiedzy tej dostarczyła mi państwowa stacja radiowa, która jest słuchana w domu Gainesów. Wtedy wydawało mi się, że to doskonałe imię dla kota.

Dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie, że muzyka Cata Stevensa to totalna wiocha.

Podkreślmy jeszcze raz, że tata darzy Cata Stevensa (kota) niezwykłą sympatią. W jego towarzystwie oddaje się długim i rozwlekłym medytacjom filozoficznym, a czasem gra na nim jak na bębenku, co Cat Stevens wprost uwielbia. Nasz kot to także jedyny członek rodziny, który ze smakiem zjada mięsa przynoszone przez tatę do domu, choć niekiedy wyraża swój entuzjazm, puszczać pawia.

**Gamma-Gamma Gaines:** Mama mojego taty mieszka w Bostonie i czasami przyjeżdża do nas z wizytą. Jej przezwisko to także mój pomysł, choć z czasów, gdy jeszcze raczkowałem. Teraz nie mogę już tego zmienić i musimy z siostrami mówić do babci „Gamma-Gamma”. Totalna żenada. Cóż, błędy młodości.

## ROZDZIAŁ 8

## SEKSTELEFON II

O białaczce Rachel dowiedziałem się we wtorek. W środę mama tak długo wierciła mi dziurę w brzuchu, że wreszcie zadzwoniłem do Rachel jeszcze raz, ale ona znowu nie chciała się ze mną spotkać. W czwartek rozłączyła się, gdy tylko usłyszała w słuchawce moje imię.

Postanowiłem, że w piątek dam sobie z nią spokój. Kiedy wróciłem ze szkoły do domu, pomaszerowałem prosto do salonu, żeby puścić film, a konkretnie *Alphaville* (reż. Jean—Luc Godard, 1965). Potem zamierzałem go obejrzeć jeszcze raz z Earlem, żeby przeprowadzić dokładną analizę dzieła. Wiem, że nadal nie macie pojęcia, kim jest Earl, choć przeczytaliście już spory kawał tej piramidalnie głupiej książki. Wkrótce go przedstawię, ale najpierw spróbuję zmiażdżyć sobie głowę w drzwiach.

Leciały jeszcze napisy początkowe, gdy do salonu weszła mama i wycięła mi jeden ze swoich klasycznych numerów. Wyłączyła telewizor i otworzyła usta, z których popłynął nieprzerwany potok słów. Nic nie zdołałoby jej uciszyć. Jej się po prostu nie da zatrzymać.

*MAMA*

Nie masz wyboru, Gregory, nadarzyła ci się okazja, by naprawdę pomóc komuś, kto

*GREG*

Mamo, o co ci, do cholery, chodzi?

*MAMA*

możesz spełnić wspaniały i ważny uczynek, dlatego musisz wiedzieć, że

*GREG*

Chodzi o Rachel? Bo jeśli tak, to...

*MAMA*

a przecież widzę, że całymi dniami zbijasz bąki, podczas gdy twoja przyjaciółka

*GREG*

Mogę coś powiedzieć?

*MAMA*

zupełnie nie do przyjęcia, zupełnie, masz mnóstwo wolnego czasu, a Rachel naprawdę

*GREG*

Mamo, daj mi dość do głosu, mogę coś powiedzieć?

*MAMA*

wydaje ci się, że twoje wymówki są ważniejsze niż szczęście dziewczyny, która

*GREG*

Cholera. Błagam, przestań.

*MAMA*

dlatego w tej chwili masz wziąć telefon, zadzwonić do Rachel i się z nią umówić

*GREG*

Rachel nie dopuszcza mnie do słowa! Rozłącza się, mamo! OD RAZU SIĘ ROZŁĄCZA!

*MAMA*

zostało tak niewiele czasu na tym świecie, koniec i kropka, nauczysz się dzielić z innymi, bo sam dostałeś wszystko na tacy

*GREG*

Ooooooooochhhhhhhh!!!

*MAMA*

a jeśli ci się wydaje, że twoje wzdychania i jęki coś zmieniają, to lepiej znajdź sobie jakąś lepszą wymówkę, nie ma mowy, ty

Byłem w kropce. Musiałem zadzwonić do Rachel. Kiedy mama się rozpędzi, nic jej nie zatrzyma. Nie bez powodu została szefową organizacji charytatywnej. Takie instytucje nakłaniają ludzi do

działania za pomocą zagadywania na śmierć. W podobny sposób Will Carruthers perswaduje innym, żeby „jeden raz” podzielili się z nim chipsami, z tą tylko różnicą, że jeśli olejesz żądania organizacji charytatywnej, to nie musisz się potem martwić, że dopadnie cię w szatni i wychłoszcze ręcznikiem po gołym tyłku.

Więc oczywiście musiałem znowu zadzwonić do Rachel.

– Czego chcesz?

– Cześć. Proszę, nie rozłączaj się.

– Pytałam, czego chcesz.

– Chcę się z tobą umówić. Serio.

– ...

– Rachel?

– W szkole traktujesz mnie jak powietrze, a po szkole chcesz się ze mną umawiać?

No cóż, miała rację. Chodziliśmy razem na kilka lekcji, w tym na matematykę, i praktycznie siedzieliśmy obok siebie, a ja rzeczywiście nawet nie próbowałem się do niej odezwać. Ale przecież właśnie tak zachowuję się w szkole przez cały czas. Nikogo nie zagaduję. Żadnych przyjaciół, żadnych wrogów. Na tym polega moja strategia.

Jeśli się wam zdaje, że wiedziałem, jak jej to wyjaśnić przez telefon, to najwyraźniej do tej pory nie uważaliście. Moje zdolności komunikacyjne są na tym samym poziomie co zdolności Cata Stevensa, a prawdopodobieństwo, że ugryzę, jest tylko trochę mniejsze niż w jego przypadku.

– Nieprawda, nie traktuję cię jak powietrze.

– Owszem.

– Wydawało mi się, że to ty mnie ignorujesz.

– ...

– No dobra.

– Ale przecież zazwyczaj tak się wobec mnie zachowywałeś.

– Hmm.

– Zawsze mi się wydawało, że nie chcesz się ze mną przyjaźnić.

– Hmm.

– ...

– ...

– Greg?

– Bo złamałaś mi serce.



Pod wieloma względami jestem dość inteligentny, mam bogate słownictwo i nieźle mi idzie na matematyce, ale jestem najgłupszym z mądrych ludzi chodzących po tym świecie.

- Ja zламаłam ci serce?
- No, tak jakby.
- „Tak jakby” zламаłam ci serce.
- No... pamiętasz Josha?
- Josha Metzgera?
- Kiedy chodziliśmy do szkoły niedzielnej, myślałem, że się w nim kochasz.
- On miał przez cały czas depresję.
- Nie, był ponury i... hmm... rozmarzony.
- Greg, gadasz, jakbyś to ty się kochał w Joshu.
- No co ty!

Takiego obrotu spraw się nie spodziewałem. Nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie przydarzyło. Rachel mnie rozśmieszyła. Nie powiedziała niczego aż tak bardzo zabawnego, ale naprawdę tego nie oczekiwałem, dlatego zamiast normalnie się zaśmiać, wykrzyknąłem tylko: „No co ty!”. Już wtedy wiedziałem, że utknąłem w tym bagnie po pachy.

- Naprawdę myślałeś, że zakochałam się w Joshu?
- Tak.
- I zламаłam ci serce?
- No pewnie.
- Trzeba było coś powiedzieć.
- Wiem, głupio wyszło.

Jedną z moich najskuteczniejszych taktyk konwersacyjnych polega na tym, że wpycham poprzednią wersję siebie pod autobus. Twierdzisz, że dwunastoletni Greg zachował się wobec ciebie jak kretyn? Zachowywał się tak wobec wszystkich! Poza tym trzymał w pokoju trzydzieści wypchanych zwierząt! Ale frajer.

- Greg, przepraszam.
- Nie! Nie, nie, nie. To moja wina.
- Co teraz robisz?
- Nic – skłamałem.
- Jeśli chcesz, to możesz do mnie wpaść.

Zadanie wykonane. Musiałem jeszcze zadzwonić do Earla.

## ROZDZIAŁ 9

# MNIEJ WIĘCEJ TYPOWA ROZMOWA Z EARLEM

– Cześć, Earl.

– Co tam, stary?

To był dobry znak. Kiedy Earl mówi do kogoś „stary”, to znaczy, że ma dobry nastrój. A to zdarza się bardzo rzadko.

– Cześć, Earl. Nie mogę dziś z tobą obejrzeć *Alphaville*.

– Cholera, a to niby czemu?

– Przepraszam, stary, muszę iść do takiej jednej dziewczyny... dziewczyny z synagogi.

– Co-o-o?

– Ona...

– Wyliziesz jej pieroga?

Earl potrafi być dość wulgarny, choć, wierzcie mi, i tak trochę złagodniał od czasów gimnazjum. W gimnazjum zadałby to pytanie w znacznie brutalniejszy i ordynarniejszy sposób.

– Tak, Earl, wylizę jej pieroga.

– He, he.

– Tak.

– A ty w ogóle umiesz lizać pieroga?

– Hmm, nie bardzo.

– Tata nigdy nie odbył z tobą pogadanki pod tytułem „Synu, któregoś dnia będziesz musiał porządnie wylizać pieroga”?

– Nie. Ale nauczył mnie, jak wylizać dziurę w tyłku.

Gdy Earl wchodzi w Tryb Obrzydliwca, trzeba grać według jego zasad, inaczej człowiek wychodzi na mięczaka.

- Niech Bóg go błogosławi.
- Święte słowa.
- Mógłbym cię nauczyć techniki lizania, ale to trochę skomplikowane.
- Szkoda.
- Musiałbym przygotować diagramy i inne pomoce.
- Możesz je narysować dziś wieczorem.
- Synku, nie mam na to czasu. Mam tu jakieś dwadzieścia pierogów do wylizania.
- Naprawdę?
- Nie wyrobię się z terminem.
- Dwadzieścia wagin ustawiło się do ciebie w kolejce?
- Co to ma, do cholery, znaczyć? Kto używa słowa „wagina”? Greg, co się z tobą, do cholery, dzieje? Człowieku, uważaj na język.

Earl lubi czasem dla zabawy udawać, że to ty wygadujesz obrzydlistwa, a nie on, tymczasem tak naprawdę to jemu przekleństwa nie schodzą z ust. To jego klasyczne zagranie, które przez lata doprowadził do perfekcji.

- Och, przepraszam.
- Człowieku, jesteś chory. Ty zboczeńcu.
- Tak, naprawdę mnie poniosło.
- Przecież mówię o pierogach. Mam tu trochę śmietany, trochę roztopionego masła i mnóstwo pierogów do wylizania.
- Aha. To, co mówisz, nie jest obrzydliwe. Ale to, co ja powiedziałem, było obrzydliwe. To, co ty powiedziałaś, nie było.
- Mam jeszcze trochę smalcu ze skwarkami i majonez.

Earl wpada w Tryb Obrzydliwca na czas nieokreślony, dlatego jeśli chce się mu przekazać jakąś wiadomość, najlepiej niespodziewanie zmienić temat.

- Jeszcze raz przepraszam, że nie mogę dziś z tobą obejrzeć Godarda.
- Chcesz się umówić jutro?
- Tak, umówmy się jutro.
- Po szkole. Spróbuj wykombinować skądś steki.
- Spróbuję, ale mama nie robi dziś wieczorem steków.
- Mają być steki. Ucałuj ode mnie mamę i tatę, kolego.

Przyjaźnię się z Earlem. Tak jakby. Właściwie łączy nas taka relacja jak kumpli z pracy. Opowieść o Earlu Jacksonie trzeba zacząć od tego, że w jego obecności nie wolno mówić o jego wzroście, w przeciwnym razie można zaliczyć kopniaka w głowę z półobrotu. Niscy ludzie często są bardzo wysportowani. Choć Earl ma wzrost dziesięciolatka, to potrafi kopnąć przedmiot znajdujący się na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Poza tym z reguły jego dyżurny nastrój to „wkurw”, a zapasowy dyżurny nastrój to „megawkurw”.

Zachowuje się tak nie tylko dlatego, że jest niski. Earl wygląda jak dziecko. Ma duże okrągłe oczy jak mistrz Yoda i z tego powodu dziewczyny natychmiast zaczynają mu matkować i szczebiocą do niego jak do niemowlaka. Dorośli, szczególnie nauczyciele, w ogóle nie traktują go poważnie. Jakby nie potrafili rozmawiać z nim jak z normalną istotą ludzką. Za bardzo się do niego schylają i mówią z idiotycznym zaśpiewem: „Cze-eść, Eearl!”. Jakby emitował niewidzialne pole siłowe, w którego zasięgu wszyscy zamieniają się w przygłupów.

A co najgorsze, w jego rodzinie wszyscy są od niego wyżsi: jego bracia, przyrodni bracia, przyrodnie siostry, kuzyni, ciotki, wujkowie, ojczym, a nawet mama. To naprawdę nie w porządku. W czasie rodzinnych spotkań przy grillu średnio co półtorej minuty ktoś żartobliwie czochra mu włosy i nie zawsze jest to ktoś starszy od niego. Często ludzie spychają go ze swojej drogi, nawet nie wiedząc, że to robią. Earl nie może sobie swobodnie spacerować. Kiedy tylko próbuje, któryś z jego braci natychmiast do niego podbiega i nad nim przeskakuje. Na jego miejscu też bylibyście stale wściekli na świat.

Jednak z wielu punktów widzenia domowe życie Earla to raj na ziemi. Mieszka w wielkim domu kilka przecznic od Penn Avenue i właściwie nikt nie sprawuje kontroli nad nim ani nad jego dwoma braćmi, trzema przyrodnimi braćmi oraz psem. Przez cały czas grają w gry wideo i jedzą pizzę z Domino. Jego mama mieszka w tym samym domu, ale zazwyczaj nie opuszcza drugiego piętra. W obecności Earla lepiej nie pytać, czym się zajmuje jego mama. Mogę tylko powiedzieć, że jej działalność ma wiele wspólnego z mojito z bacardi silver i pokojami na czacie internetowym. Tymczasem na dole sześciu chłopaków bawi się w najlepsze. Nieustająca impreza! Jakie problemy mogą z tego wynikać?

**Problem 1:** No cóż, największy problem to domowy budżet. W domu nie ma ojców. Tata Earla jest chyba w Teksasie, a tata jego przyrodnych braci siedzi w więzieniu. Mama Earla właściwie nie zarabia. Jego dwaj przyrodni bracia, bliźniaki Maxwell i Felix, należą do Tha Frankstown Murda Cru, jednego z najlepiej prosperujących gangów w przestępczej dzielnicy Homewood, i utrzymują rodzinę z handlu narkotykami. Earl zdążył już spróbować wszystkich dostępnych na rynku substancji odurzających, choć teraz ograniczył się tylko do palenia papierosów. W domu Earla handluje się narkotykami i dochodzi do gangsterskich akcji, co zapewne należy uznać za problem.

**Problemy 2 i 3:** Należy również wspomnieć o tym, że w domu Jacksonów problemem są hałas z powodu puszcanych gier wideo, muzyki i krzyków, a także nieziemski odór. Na podłodze walają się odpadki, często w kałużach śmierdzącej cieczy, która wypłynęła z worka na śmieci. Chłopaki w zasadzie nie piorą. Gdy ktoś pijany puści pawia na podłogę, to wymiocin i walających się wśród nich psych kup nikt nie sprząta przez kilka dni. Wiem, że gadam jak „ostatnia ciota” (sformułowanie używane przez Feliksa), ale takie warunki mieszkaniowe zapewne odbiegają od ideału.

**Problem 4:** W takim otoczeniu niespecjalnie da się odrabiać lekcje. Earl to jedyny spośród wszystkich braci, który jeszcze chodzi regularnie do szkoły. Devin i Derrick nie przychodzą na lekcje całymi tygodniami. Ze szkoły wylecieli już wszyscy jego bracia, w tym trzynastoletni Brandon, chyba najbrutalniejszy i najbardziej agresywny z całego rodzeństwa. (Ma na karku wytatuowany wielki napis: „100% CZARNUCHA” i kilka pistoletów. To musiało strasznie boleć. Brandon ma pistolet i zdążył już zrobić dziecko jakiejś dziewczynie, choć jeszcze nie przeszedł do końca mutacji. Gdyby magistrat Pittsburgha przyznawał nagrodę dla Najgorzej Rokującego Obywatela, z pewnością znalazłby się wśród nominowanych). Wspomniany już problem z hałasem sprawia, że w domu Jacksonów właściwie nie da się czytać, odrabiać lekcji ani pracować. Poza tym jeśli ktoś zastanie cię samego w pokoju z książką, może uznać to za dostateczny powód, żeby spuścić ci wpierdol.

**Problemy 5–10:** Dom Jacksonów to jedna wielka ruina. Przed domem leżą rynny, które odpadły od murów, w niektórych pokojach z sufitu sypie się tynk, zawsze co najmniej jedna ubikacja jest zapchana i nikomu nie chce się jej odetkać. W zimie zazwyczaj psuje się ogrzewanie i wszyscy muszą spać w zimowych kurtkach. Kolejny problem to szczury i karaluchy. Picie wody z kranu może się skończyć spektakularnym zatruciem.

Jednak gry wideo rekompensują wszystkie te niedogodności.

Dlatego zazwyczaj spotykamy się z Earlem w moim domu. Teraz Earl stał się niemal członkiem mojej rodziny. Niewysokim, odpalającym jednego papierosa od drugiego synem, którego moi rodzice nigdy nie mieli. Są jedynymi dorosłymi poza panem McCarthym, którzy mają mgliste pojęcie o tym, jak z nim rozmawiać, żeby go nie wkurzyć. Z naciskiem na „mgliste”. Ich rozmowy zazwyczaj przebiegają dość surrealistycznie.

*Wnętrze. Salon w moim domu. Dzień.*

*TATA oddaje się swojej ulubionej rozrywce, czyli siedzi w fotelu bujanym ze wzrokiem wbitym w ścianę. CAT STEVENS śpi na kanapie. Wchodzi EARL, który kieruje się do drzwi frontowych i rytmicznie uderza o dłoń dopiero co otwartą paczką papierosów.*

*EARL*

Jak tam życie, panie Gaines?

*TATA*

*powtarza jak echo, dziwnym głosem*

Życie.

*EARL*

*cierpliwie*

Jak pańskie życie?

*TATA*

Życie! Tak, życie. Dobrze, o czym właśnie mówiłem Catowi Stevensowi. A co u ciebie?

*EARL*

Wszystko gra.

*TATA*

Widzę, że zrobiłeś sobie przerwę na papierosa.

*EARL*

Tak. Chce pan wyjść ze mną?

*TATA przez pięć sekund bez słowa gapi się w ścianę.*

*EARL*

No dobra.

*TATA*

Earl, czy zgodziłbyś się z tym, że cierpienie w życiu to bardzo relatywna kwestia? Że dla każdej formy życia gdzieś indziej leży granica, po której przekroczeniu dochodzi do zaburzenia równowagi określanego mianem cierpienia?

*EARL*

Chyba tak.

*TATA*



Należy zatem dojść do wniosku, że to, co komuś sprawia cierpienie, komuś innemu może sprawiać radość.

*EARL*

Brzmi nieźle, panie Gaines.

*TATA*

To bardzo dobrze.

*EARL*

To w takim razie idę na fajkę.

*TATA*

Leć, młody człowieku.

Okolo osiemdziesięciu procent rozmów taty z Earlem przebiega w ten sposób. Pozostałe odbywają się, kiedy tata zabiera Earla do sklepu z jedzeniem dla koneserów albo do supermarketu z żywnością organiczną. Kupują wtedy coś niewyobrażalnie ohydny i razem to jedzą. Wyglądają wtedy przedziwnie i już się nauczyłem, że w tych chwilach lepiej trzymać się od nich z daleka.

Mama rozmawia z Earlem trochę bardziej konwencjonalnie. Często mówi mu, że straszny z niego „jajcarz”, i już przyjęła do wiadomości, że nie ma sensu namawiać go, by rzucił palenie. Dopóki ja nie sięgam po papierosy, toleruje to. On natomiast, nawet wtedy, gdy jest potwornie wkurzony, w jej obecności trochę spuszcza z tonu i nie okazuje gniewu za pomocą swojego stałego repertuaru środków wyrazu, czyli nie tupie jak oszalały i nie cedzi przez zęby zbitki spółgłosek „ngh”. Nawet nikomu nie grozi, że kopnie go w głowę.

Oto Earl. Pewnie pominąłem wiele ważnych rzeczy i później będę musiał opisać go szczegółowiej, ale nic nie wskazuje na to, że dojrniecie do tego fragmentu, więc na razie powiem tylko: nie zaprzatajcie sobie nim głowy.

## ROZDZIAŁ 10

# MIAŁ BYĆ CASANOVA, A WYSZŁA KASZANA NOWA

W drodze do domu Rachel uświadomiłem sobie, jaki ze mnie kompletny idiota.

– Greg, ty idioto – pomyślałem, a może nawet powiedziałem to na głos. – Teraz ona myśli, że od czterech lat się w niej podkochujesz.

Ale ze mnie półgłówek. Już sobie wyobrażałem, jak do niej przychodzę, naciskam dzwonek, Rachel otwiera drzwi na oścież, obejmuje mnie, jej loczki się kołyszą, a jej wielkie zęby ocierają się o mój policzek. Potem się całujemy albo rozmawiamy o tym, jak bardzo się kochamy. Na samą myśl poczułem, że oblewa mnie zimny pot.

Poza tym ona przecież choruje na raka. A jeśli przyjdzie jej ochota na rozmowę o umieraniu? To byłaby katastrofa, prawda? Mam dość radykalne poglądy na śmierć: nie ma żadnego życia pozagrobowego, dusza nigdzie nie idzie, świadomość po prostu gaśnie na zawsze. Czy powinienem wciskać Rachel kit? Moje poglądy mogłyby ją dobić? Może lepiej byłoby ją pocieszyć i zmyślić jakąś historyjkę o zaświatach? Może wspomniałbym w niej też o tych upiornych gołych aniołkach, które czasem widnieją na obrazach?

A jeśli wpadnie na pomysł, że powinniśmy się pobrać? Żeby zdążyła wziąć ślub, zanim umrze? Nie mógłbym jej przecież wtedy odmówić. O Boże, a jeśli zachce się jej seksu? Chybaby mi nie stanął. W takich okolicznościach na pewno by mi nie stanął.

Te pytania kłębiły mi się w głowie, gdy z narastającą desperacją dowlokłem się wreszcie do drzwi jej domu. Otworzyła mi Denise.

– Gre-e-e-eg – zamruczała swoim kocim głosem. – Jak miło cię widzie-e-e-eć.

– Ciebie też, Denise – odparłem.

– Greg, można się od ciebie uzależnić.

– Dlatego jestem nielegalny w dwunastu stanach.

– Ha – zachichotała Denise. A potem jeszcze raz: – Ha.

– Naczelnny lekarz wojskowy wytatuował mi na pośladku notkę ostrzegawczą.

– Przestań. Przestań. Ha, ha, ha.

Dlaczego nie oddziałuję w ten sposób na fajne dziewczyny? Dlaczego reagują tak na mnie tylko matki i brzydule? Gdy z nimi rozmawiam, rozkręcam się na całego. Nie wiem, jak to się dzieje.

– Rachel jest na górze. Masz ochotę na colę light?

– Nie, dziękuję. – Chciałem zakończyć naszą rozmowę fajerwerkami, więc dodałem: – Po kofeinie robię się jeszcze bardziej niezdolny.

– Zaczekaj.

Powiedziała to zupełnie innym tonem. Wróciła dawna warcząca i jęcząca pani Kushner.

– Greg, kto powiedział, że jesteś niezdolny?

– Och. No wie pani. Ludzie.

– Posłuchaj mnie. Powiedz im, żeby się wypchali.

– Tak zrobię. Chciałem tylko powiedzieć, że...

– Zaraz. Nie, nie. Posłuchaj mnie uważnie. Powiedz im, żeby się wypchali.

– Tak, niech się wypchają.

– Świat potrzebuje więcej takich chłopaków jak ty. A nie mniej.

To mnie naprawdę zaniepokoiło. Czy ktoś rozpoczął kampanię przeciwko chłopakom takim jak ja? Bo jeśli tak, to mnie odstrzelą w pierwszej kolejności.

– Tak, proszę pani.

– Rachel jest na górze.

Poszedłem na górę.

Wbrew moim oczekiwaniom w pokoju Rachel nie było stojaków na kroplówki ani monitorów pokazujących akcję serca. Spodziewałem się, że zobaczę salę szpitalną, w której stale kręci się wynajęta na pełny etat pielęgniarka. Tymczasem pokój Rachel można krótko opisać dwoma słowami: poduszki i plakaty. Na jej łóżku leżało co najmniej piętnaście poduszek, a całe ściany były oblepione plakatami i wycinkami z gazet. Wiele przedstawiało Hugh Jackmana i Daniela Craiga, głównie z odsłoniętymi torsami. Gdyby ktoś pokazał mi ten pokój i kazał zgadywać, kto w nim mieszka, odpowiedziałbym: piętnastogłowy kosmita, który prześladowuje znanych aktorów.

Ale ten pokój nie należał do kosmity, tylko do Rachel, która trochę zakłopotana stała w drzwiach.

– Rachel-l-l-l – powiedziałem.

– Cześć.

Staliśmy jak skamieniali. Do cholery, jak mieliśmy się przywitać? Zrobiłem krok w jej kierunku, wyciągając ramiona, jakbym chciał ją przytulić, tymczasem chyba przypominałem atakującego zombie. Rachel zrobiła krok w tył z przerażoną miną. Teraz nie mogłem się już wycofać.

– Jestem Przytulakiem Zombie – powiedziałem, ruszając w jej stronę.

– Greg, boję się zombie.

- Nie powinnaś się bać Przytulaka Zombie. Przytulak Zombie nie zje ci mózgu.
  - Greg, przestań.
  - Okej.
  - Co robisz?
  - Chciałem przybić żółwika.
- Naprawdę już wyciągałem zaciśniętą pięść.
- Nie, dzięki.

Podsumujmy: wlałem do pokoju Rachel krokiem zombie, nastraszyłem ją, a potem próbowałem z nią przybić żółwika. Trudno o osobę mniej taktowną niż Greg S. Gaines.

- Fajny pokój.
  - Dzięki.
  - Ile masz poduszek?
  - Nie wiem.
  - Chciałbym tyle mieć.
  - Poproś rodziców, żeby ci kupili.
  - Ten pomysł by im się nie spodobał.
- Nie wiem, czemu to powiedziałem.
- Dlaczego?
  - Uch.
  - To tylko poduszki.
  - Tak, nabraliby podejrzeń.
  - Że będziesz cały czas spał?
  - Nie, że... Pewnie by pomyśleli, że będę się na nich masturbował.

Muszę powiedzieć, że tę rozmowę przeprowadziłem w stu procentach na autopilocie. Rachel zamilkła. Otworzyła usta i wybałuszyła oczy. Wreszcie powiedziała:

- Ohyda.

Ale zaczęła też cicho parskać. Przypomniałem sobie, że kiedy jeszcze chodziliśmy do żydowskiej szkółki niedzielnej, te ciche parsknięcia zapowiadały zbliżający się atak śmiechu.

- Tak, moi rodzice są zboczeni – powiedziałem.

– Nie chcą ci kupić poduszek [parsknięcie], bo się boją, że [parsknięcie, parsknięcie], bo się boją, że będziesz się masturb [parsknięcie, parsknięcie, parsknięcie].

- Tak, a to mnie uważają za zboczeńca.

Rachel nie potrafiła już wydobyć z siebie ani słowa. Zupełnie straciła nad sobą panowanie. Śmiała się i parskała tak głośno, jakby za chwilę miała pęknąć jej śledziona. Ale zawsze kiedy Rachel dostawała ataku megaśmiechu, ja dla zabawy próbowałem za wszelką cenę jak najdłużej utrzymać ją w tym stanie.

- „Przecież to ich wina, bo kupują mi takie seksowne poduszki”.
- „Kiedyś musieli spalić jedną poduszkę, tak strasznie mnie podniecała”.
- „To była tak seksowna poduszka, że... że chciałem się z nią kochać przez całą noc aż do świtu”.
- „Szeptalem jej na uszko same świństwa, na przykład: »Ty puchata zdziro, ty szmato, przestań się bawić moimi uczuciami«”.
- „Ta poduszka miała na imię Francesca”.
- „A któregoś dnia wróciłem ze szkoły do domu i przyłapałem tę poduszkę na seksie oralnym ze stołem z naprzeciwka i... okej, okej, przestanę”.

Rachel błagała mnie, żebym przestał. Zamknąłem się i pozwoliłem jej się uspokoić. Już zapomniałem, że potrafi się zanosić od śmiechu. Dopiero po chwili złapała oddech.

– Och... ochhhh... au... oochh.

### **Metoda trój etapowego podrywu Grega S. Gainesa:**

1. Wpadasz do pokoju dziewczyny, udając zombie.
2. Przybijasz z nią żółwika.
3. Twierdzisz, że uwielbiasz się masturbować na poduszkach.

– Czy powinnam chronić przed tobą swoje poduszki? – zapytała, wciąż bezwiednie parszcząc i chichocząc.

– Nie. Mówisz serio? Przecież twoje poduszki to sami faceci.

Dwa słowa: eksplozja smarków. Problem z atakiem śmiechu jest taki, że nie wiadomo, co robić, gdy się skończy. Wcześniej czy później śmiech ustaje i zapada głęboka cisza. I co wtedy?

– Pewnie lubisz oglądać filmy.

– Lubię.

– Bo masz tylu aktorów na ścianach.

– Co?

– Hugh Jackman, Hugh Jackman, Daniel Craig, Hugh Jackman, Ryan Reynolds, Daniel Craig, Brad Pitt.

– W ich przypadku nie chodzi mi o filmy.

– Och.

Siedziała przy biurku, a ja na jej łóżku. Było o wiele za miękkie jak na łóżko. Zapadłem się w nim i przybrałem bardzo niewygodną pozycję.

– Lubię filmy – powiedziała Rachel, a w jej głosie pojawił się przepraszający ton. – Ale film nie musi być dobry, jeśli gra w nim Hugh Jackman.

Stety lub niestety w tym momencie dostałem SMS od Earla.

heja tata gaines wziął mnie na organiczny shopping więc jak chcesz jakiś pikantny sosik do pieroga to daj znaaać

Earl napisał do mnie w świetnym momencie, bo dzięki jego wiadomości mogłem zmienić temat. Gdybym rozmawiał z Rachel o filmach, musiałbym wspomnieć o swojej karierze filmowej, o której z oczywistych powodów nie chciałem opowiadać. Niestety z moich ust wydobyły się śmiech i parsknięcie, a wtedy Rachel zapytała, co się stało.

– Od kogo ta wiadomość?

– Ymm, od Earla.

– Och.

– Znasz Earla? Earla Jacksona? Z naszego liceum?

– Nie sędzę.

Jak, do diabła, miałem jej pokrótce przedstawić Earla?

– Yyy, Earl i ja przysyłałyśmy sobie czasem obrzydliwe SMS-y.

– Och.

– Zasadniczo do tego sprowadza się nasza przyjaźń.

– A co tym razem napisał?

Zastanawiałem się, czy pokazać jej ten SMS. Doszedłem jednak do wniosku, że mógłbym wywołać małą apokalipsę.

– Nie powinnaś czytać takich świństw.

To był błąd taktyczny, bo nachalniejsza dziewczyna na pewno powiedziała by wtedy: „Greg, teraz musisz mi go pokazać”. A, bądźmy szczerzy, większość dziewczyn jest nachalna. To znaczy ludzie w ogóle są nachalni – to nie jest tak, że wyżywam się na dziewczynach. Zresztą „nachalna” to chyba nieodpowiednie słowo. Chciałem powiedzieć, że większość ludzi próbuje skopać moje plany. Ale Rachel z pewnością nie próbowała nikomu skopać planów.

– No dobra. Nie musisz mi go pokazywać.

– Naprawdę nie chcesz go przeczytać.

- Nie muszę.
- Wystarczy, jak się dowiesz, że dotyczy jednocześnie jedzenia i seksu. Czyli seksu oralnego.
- Greg, dlaczego mi o tym opowiadasz?
- Żebyś się upewniła, że nie chcesz go przeczytać.
- Czemu Earl łączy jedzenie z seksem oralnym?
- Bo jest psychopatą.
- Och.
- Jest kompletnie narwany. Gdybyś przez sekundę patrzyła na jego mózg, z pewnością byś oślepla.
- To jakiś dziwny kolega.
- Tak.
- Jak się zaprzyjaźniliście?

Nie istnieje dobra odpowiedź na to pozornie niewinne pytanie.

- No bo ja też jestem dość dziwny.

Słyszac te słowa, Rachel wydała z siebie jakieś szczątkowe parsknięcie.

- Twoja fascynacja poduszkami rzeczywiście jest dziwna.

Earl i ja jesteśmy dość dziwni. Może dlatego się przyjaźnimy. Ale pewnie powinienem to lepiej wytłumaczyć.

Zresztą co, do cholery, znaczy „dziwny”? Napisałem to słowo już chyba z pięć razy i nagle, kiedy znowu je czytam, nawet nie wiem, co ono znaczy. Właśnie zamordowałem słowo „dziwny”. Teraz to tylko zlepek liter. Jakby na stronie leżało kilka martwych ciał.

Chyba zaraz dostanę ataku paniki. Muszę wrzucić na ząb jakąś przekąskę albo resztki z obiadu.

No dobra, wróciłem.

Może zacznijmy nowy rozdział, bo ten jest już zupełnie spartolony i trochę się boję, co się stanie, jeśli na siłę będę próbował go dokończyć.



## ROZDZIAŁ 11

# JA, GNIEW BOŻY, POŚLUBIĘ WŁASNĄ CÓRKĘ I RAZEM ZAPOCZĄTKUJEMY DYNASTIĘ NAJCZYSTSZEJ KRWI, JAKIEJ ŚWIAT JESZCZE NIE WIDZIAŁ

Oczywiście ja i Earl pochodzimy z odmiennych światów. To, że się w ogóle zaprzyjaźniliśmy, zakrawa na czyste szaleństwo. Pod wieloma względami nasza przyjaźń nie ma najmniejszego sensu. Chyba po prostu przedstawię wam jej historię, a wy sami wyciągniecie wnioski. Potem triumfalnie wrócimy do Rakopoly.

Rakopoly nie jest tak popularną grą planszową jak Monopoly.

Niektórzy postronni obserwatorzy mogliby stwierdzić, że nasza przyjaźń to najlepszy dowód na triumf systemu państwowego szkolnictwa w Pittsburghu, ale ja bym raczej powiedział, że dowodzi ona przeogromnej siły gier wideo. Mama nie pozwoliła, by w naszym domu pojawiły się gry wideo, chyba że edukacyjne, takie jak *Mistrz matematyki*. Ale i one wcale nie miały nauczyć nas matematyki, tylko pokazać, że gry wideo to badziewie. Tymczasem moje pierwsze spotkanie z Earlem przekonało mnie, że gry wideo to genialna sprawa.

To był drugi lub trzeci tydzień przedszkola. Do tej pory udawało mi się unikać interakcji z pozostałymi przedszkolakami, co było moim podstawowym celem, bo wszyscy wokół wydawali mi się podli lub nudni albo jedno i drugie. Pewnego dnia pani Szczerbiak podzieliła nas na grupy i kazała nam dekorować kartonowe pudełka. Siedziałem przy stoliku z Earlem i dwiema dziewczynkami, których imion już nie pamiętam. Chciały obsypać całe pudełko brokatem, ale ja z Earlem uznaliśmy, że będzie to wyglądało paskudnie.

– Zróbmy z niego pistolet – zaproponował Earl.

Ten pomysł wydał mi się genialny.

– Laserowy pistolet jak z *GoldenEye* – dodał Earl.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– *GoldenEye* na Nintendo 64 – wyjaśnił. – Moi bracia mają Nintendo 64 i pozwalają mi grać, gdy tylko zechcę.

– Ja mam na swoim komputerze *Mistrza matematyki* – pochwaliłem się.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – odparł z pogardą Earl.

– Ten, kto rozwiąże zadanie matematyczne, może sobie postrzelać do worków ze śmieciami – oznajmiłem.

Kiedy wypowiedziałem te słowa na głos, uświadomiłem sobie, jakie to żałosne, więc się czym prędzej zamknąłem. Miałem nadzieję, że Earl tego nie usłyszał. Ale on usłyszał i spojrzał na mnie z politowaniem i pogardą.

– W *GoldenEye* nie trzeba rozwiązywać żadnych zadań i można postrzelać do ludzi – oznajmił triumfalnie, zamykając tym samym temat.

Dziewczyny pokryły pudełko brokatem i rozmawiały o skrzatach pomagających w pracach domowych lub o czymś równie ciekawym, a ja siedziałem po drugiej stronie stolika z Earlem, który trzy razy opowiedział mi fabułę *GoldenEye*. Umówiliśmy się, że po szkole pójdę do domu Earla. Los mi sprzyjał, bo tego dnia miał mnie odebrać tata – nie widział nic złego w tym, by jego dziecko pojechało do gangsterskiej dzielnicy z nowo poznanym kolegą i jego dwoma braćmi, z których jeden co chwila zapowiadał, że za moment wszystkich zastrzeli.

Earl skłamał przynajmniej raz. Jego bracia wcale nie pozwalali mu grać na Nintendo 64, gdy tylko chciał. W domu Jacksonów okazało się, że Devin (najstarszy) pozwoli nam zagrać dopiero wtedy, kiedy dokończy misję.

Siedzieliśmy na podłodze tuż przed jaśniejącym ekranem i muszę powiedzieć, że nigdy wcześniej nie oglądałem niczego równie wspaniałego. Mogliśmy się przyjrzeć, jak gra prawdziwy mistrz. W uniesieniu oglądaliśmy, jak Devin kieruje czołgiem, jadąc przez ulice Pittsburgha, miażdżąc wszystko, co stanie mu na drodze. Nie sprzeciwiliśmy się, kiedy oznajmił, że wykona jeszcze jedną misję. Z podziwem patrzyliśmy, jak zakrada się na okręt wojenny i po cichu morduje dziesiątki ludzi.

– Teraz możecie zagrać przeciwko mnie – powiedział Devin, włączając tryb wieloosobowy.

Wziąłem konsolę. Nie mogłem dosięgnąć palcami wszystkich przełączników i guzików, więc próbowałem sobie pomóc stopą. Bezskutecznie. Earl chciał mi wyjaśnić, jak działa konsola, ale po chwili odpuścił. Zorientowałem się, że on też nie jest jakimś supergraczem. Przez dwadzieścia minut biegaliśmy po zasypanej śniegiem bazie rakietowej na Syberii, rzucaliśmy na chybił trafił granaty do lasu, wpadaliśmy na ściany, bo nie potrafiliśmy skręcić, aż w końcu Devin nas zabił. Za każdym razem wybierał nową, fascynującą broń: karabin automatyczny, strzelbę, pistolet laserowy. Derrick, drugi brat Earla, zupełnie nas ignorował, samotnie walcząc z mistrzem gry. Ale jego wysiłki spełzły na niczym. Drwiąc z nas bezlitośnie i bez przerwy, Devin pomalował całą tundrę naszą krwią.

– Obaj gracie jak potłuczoni – oznajmił w końcu. – Spadajcie stąd.

Tak narodziła się przyjaźń. Earl dowodził, a ja byłem jego skrzydłowym. Okazywałem mu szacunek nawet wtedy, gdy nie graliśmy, bo wiedział o świecie znacznie więcej niż ja. Wiedział na przykład, gdzie w kuchni stoi alkohol. Bałem się, że będziemy musieli się napić, ale na szczęście nie miał tego w planach.

– Po alkoholu cholernie boli mnie łeb – wyjaśnił mi kiedyś.

Wtedy w domu Jacksonów panował nieco większy porządek. Ojczym Earla ciągle tam mieszkał, jego przyrodni bracia dopiero raczkowali, a jego mama nie została jeszcze skazana na wieczną banicję na drugim piętrze. Byłem naocznym świadkiem upadku domu Earla. Akurat tej historii nie chcę opowiadać, więc nie będę się wdawał w szczegóły. Wystarczy wspomnieć, że ojczym Earla się wyprowadził, a później trafił za kratki, mama Earla miała kilku facetów, a potem zaczęła dużo pić, a potem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy najmłodszy przyrodni bracia Earla poszli do przedszkola, zupełnie wycofała się z życia i spędzała całe dni i noce na czacie internetowym. Choć widziałem wiele z tych wydarzeń na własne oczy, ich sens zrozumiałem z niejakim opóźnieniem. Nawet teraz nie wszystko mieści mi się w głowie. W takim miejscu jak dom Jacksonów człowiek przestaje ogarniać.

Nieważne. W kolejnych latach dom Earla schodził na psy, dlatego spędzaliśmy tam coraz mniej czasu i wreszcie spotykaliśmy się już wyłącznie u mnie. Tylko że u mnie nie było co robić. Próbowaliśmy grać w gry planszowe, które okazały się totalnie badziewne. Wyciągnęliśmy karty G.I. Joe, ale tylko się wkurzyliśmy, bo nie wytrzymały porównania z grą wideo. Biegaliśmy wokół domu z pistoletami na wodę, goniąc Cata Stevensa, ale tata zabronił nam się tak bawić, bo narobiliśmy strasznych szkód. Wreszcie którejś niedzieli, desperacko poszukując w naszym domu choćby marnej namiastki gier wideo, Earl natrafił na kolekcję filmów na DVD należącą do mojego taty.

Z jakiegoś powodu filmy DVD taty nigdy mnie nie interesowały. Oglądałem wyłącznie filmy animowane lub dla młodzieży. Filmy nieanimowane uważałem za rozrywkę tylko dla dorosłych. Po prostu zakładałem, że mnie nie zainteresują. Pewnie gdybym obejrzał je sam, zanudziłbym się na śmierć.

Ale kiedy Earl je znalazł, zaczął svirować, wybałuszać oczy i powtarzać:

– Tak, właśnie tego nam trzeba.

Wtedy coś przestawiło mi się w głowie i spojrzałem na nie zupełnie inaczej. Earla szczególnie zainteresował *Aguirre, gniew boży*.

– Patrz, jaki świr! – zawołał, pokazując na Klausea Kinskiego, który w hełmie wikinga wygląda jak psychopata.

Za pozwoleniem taty włożyliśmy płytę do odtwarzacza i zaczęliśmy oglądać. Okazało się, że to było jedno z najważniejszych wydarzeń w naszym życiu.

To było niesamowite doświadczenie. Dezorientujące, przerażające i niesamowite. Kiedy pojawiały się napisy, musieliśmy kilka razy zatrzymać film i prosić tatę, żeby nam wytłumaczył to i owo, aż wreszcie przyszedł i obejrzał film razem z nami, i nawet wtedy było super.

Bardzo nam pomógł. Czytał na głos napisy i odpowiadał na nasze pytania dotyczące fabuły, bo w tym filmie wszyscy zachowywali się jak wariaci.

Powtarzam: to było niesamowite. Czegoś takiego żaden z nas nigdy wcześniej nie przeżył. Film był śmieszny i ponury jednocześnie. Pokazywał śmierć inaczej niż w grze wideo. Ludzie umierali rzadziej, ale za to powoli i w męczarniach. W *GoldenEye*, kiedy ktoś zostaje zastrzelony, pada do tyłu na ziemię. W filmie po prostu znajdowano ciała. Nie mieściło nam się w głowie, że można umrzeć tak mało spektakularnie. Kiedy ktoś konał, wołaliśmy: „O cholera!”. Napięcie było niewiarygodne. Klaus Kinski panował nad sobą przez pierwsze pół godziny i nikogo nie zabił. A potem zabijał bez ostrzeżenia, jak gdyby nigdy nic, i nie było wiadomo, kiedy zrobi to następnym razem. Miał nieprzewidywalny umysł psychopaty, którego nie sposób odczytać. Strasznie nas to zafascynowało.

Ależ nas ten film wciągnął. Wszystko działo się tak wolno i ciągnęło w nieskończoność, a my chcieliśmy, żeby się nie skończyło. Podobały nam się dżungla, tratwy, nedorzeczne zbroje i hełmy. Podobało nam się, że wyglądało to trochę jak *reality show*, jakby to się naprawdę wydarzyło i ktoś na tratwie przez przypadek miał kamerę. A najbardziej podobało nam się to, że ten film dla nikogo nie skończył się dobrze. Cały czas myśleliśmy, że ktoś przeżyje, bo przecież zawsze tak jest w opowieściach: nawet jeśli wszystko kończy się wielką katastrofą, ktoś musi przeżyć, żeby o niej opowiedzieć. Ale w tym filmie jest inaczej. Właśnie tak. Wszyscy umierają. Super.

Poza tym dzięki temu filmowi po raz pierwszy w życiu zobaczyłem piersi, choć nie tak je sobie wyobrażałem. Wyglądały jak krowie wymiona i jedna była większa od drugiej. (Kiedy dziś sobie to przypominam, wydaje mi się, że może z tego powodu nie rozwinąłem się w sferze seksualnej, o czym już wspominałem. Cóż, przynajmniej nie mówiłem dziewczynom takich rzeczy jak: „Ale masz fajne piersi i na dodatek obie tej samej wielkości”).

Po filmie zasypaliśmy tatę pytaniami, a on opowiedział nam o tym, jak wyglądały zdjęcia. Podobno to była jedna wielka katastrofa. Mnóstwo ludzi zachorowało, cała obsada i ekipa utknęły na wiele miesięcy w dżungli, a niektórzy otarli się o śmierć. Tata nie wiedział wszystkiego na pewno. Ale najfajniejsze, że grający główną rolę Klaus Kinski w prawdziwym życiu był równie szalony jak *Aguirre*. Gdy nie mógł się skoncentrować, bo statysta na planie za głośno rozmawiał, wziął pistolet i strzelił mu w rękę. Jeśli w tej chwili nie rzuciliście tej książki, żeby natychmiast obejrzeć ten film, to chyba coś z wami nie tak. Może też macie grzybicę mózgu.

Oczywiście musieliśmy go obejrzeć drugi raz. Tacie już się nie chciało, ale oglądany po raz drugi film jeszcze bardziej nas zafascynował. Naśladowaliśmy aktorów mówiących po niemiecku, szczególnie Kinskiego, który cedził słowa tak, jakby się dusił. Naśladowaliśmy też jego pijacki chód.

Całymi godzinami leżeliśmy na podłodze, udając martwych, aż Gretchen znajdowała jednego z nas, wpadała w panikę i nie można było jej uspokoić.

Krótko mówiąc, uznaliśmy, że to najlepszy film, jaki kiedykolwiek nakręcono. W następny weekend zaprosiliśmy kolegów z klasy, żeby go z nimi obejrzeć. Ale im się strasznie nie podobał. Nie wytrzymali nawet pierwszych dwudziestu minut. Narzekali, że wszystko dzieje się za wolno. Nie nadążali za napisami, a my nie umieliśmy czytać ich na głos. Twierdzili, że otwierający film monolog Pizarra był długi i nudny. Fabuła filmu wydawała im się głupia: Aguirre i wszyscy inni szukali jakiegoś miasta, choć przecież na samym początku było powiedziane, że to miasto nie istnieje. Nie zrozumieli, że o to właśnie chodzi. Nie zrozumieli, że właśnie to było świetne, że całe poszukiwanie było tak kompletnie bez sensu. Powtarzali tylko, że to pedalski film.

Ta katastrofa wiele nas nauczyła. Uświadomiła nam to, co tak naprawdę przeczuwaliśmy: byliśmy inni od rówieśników. Co innego nas interesowało, na czym innym się skupialiśmy. Trudno to wyjaśnić. Wprawdzie niewiele łączyło mnie z Earlem, ale byliśmy jedynymi dziesięciolatkami w Pittsburghu, którym podobał się *Aguirre, gniew boży*, a to już coś. To bardzo dużo.

– Młodzi nihiliści – powiedział o nas tata.

– Co to są nihiliści?

– Nihiliści uważają, że wszystko jest bez znaczenia. W nic nie wierzą.

– Tak – powiedział Earl. – Jestem nihilistą.

– Ja też – rzuciłem.

– To świetnie – odparł tata, uśmiechając się szeroko. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. –

Tylko nie mów o tym mamie.

To jeden z istotnych wątków opowieści o mojej przyjaźni z Earlem. Może później do niego wrócimy, chociaż kto to może wiedzieć. Nie wierzę, że jeszcze czytacie tę książkę. Powinniście w tej chwili uderzyć się kilka razy w twarz, żeby spotęgować bezsens tego doświadczenia, którym jest lektura moich wypocin.

## ROZDZIAŁ 12

# NAJLEPSZE WYJŚCIE TO WYJŚCIE NA DEBILA

Nauczyłem się już, że najłatwiej zaskarbić sobie czyjąś sympatię, jeśli się milczy i pozwala drugiej osobie mówić. Każdy lubi o sobie opowiadać, nie tylko ci, którzy mają ciekawe życie. Na przykład Jared „Koksiarz” Krakievich, jeden z najnędniej wyglądających i najbardziej nielubianych uczniów w Benson. O ile mi wiadomo, Jared nigdy nie brał narkotyków, ale kiedy chodzi, jakoś tak dziwnie odchyła ręce do tyłu i przez to wygląda jak kurczak. Ma zawsze na wpół otwarte usta i nie wyjmuje resztek jedzenia z aparatu na zębach. Śmierdzi kiszonymi ogórkami, a jego rodzice to jinzersi. Można by się spodziewać, że ktoś taki nie chce opowiadać o swoim życiu, tymczasem któregoś dnia w autobusie okazało się, że to mylne wrażenie. Dowiedziałem się między innymi, że pies Jareda potrafi przewidzieć, kiedy Bena Roethlisbergera wyleją z pracy, i że on (Jared, a nie pies czy Ben Roethlisberger) ma zamiar zacząć się uczyć gry na gitarze.

Jeśli nie pochodzicie z Pittsburgha, pewnie muszę wam wyjaśnić, że jinzersi to ludzie mówiący z mocnym pittsburghskim akcentem. Słowa takie jak „you”, czyli „ty”, albo „y’all”, czyli „wszyscy”, wypowiadają jako „jinz”. Odznaczają się także tym, że noszą wyłącznie ubrania z emblematem drużyny futbolowej Pittsburgh Steelers, obojętnie, czy idą do pracy, czy na wesele.

Przecież ludzi nie słucha się po to, żeby dowiedzieć się od nich czegoś ciekawego, tylko po to, żeby okazać im sympatię i się z nimi zaprzyjaźnić, bo każdy lubi gadać.

Okazało się jednak, że Rachel podważyła moją teorię. Szedłem do jej domu z mocnym postanowieniem, że nakłonię ją do mówienia, tymczasem rozgadałem się bardziej niż narkoman po zażyciu metamfetaminy.

*Wnętrze. Pokój Rachel. Dzień.*

*GREG przyszedł do RACHEL po raz drugi lub trzeci. Siedzą po turecku na podłodze.*

*GREG*

Które programy telewizyjne najbardziej lubisz?



RACHEL

Wszystkie, jak leci.

GREG

*absolutnie neutralna odpowiedź Rachel wytrąciła go z równowagi*

No co ty!? Przyrodnicze? Reality show? Wszystko ci jedno?

RACHEL

Tak jakby.

GREG

Ale chyba nie programy kulinarne?

*RACHEL wzrusza ramionami.*

GREG

Oto moje przemyślenia na temat programów kulinarnych. No dobra, połowa gotowanych w nich potraw wygląda ohydnie albo co najmniej dziwnie i pływa w obrzydliwym sosie przypominającym spernę. Uczestnicy gotują kalmary w kozim kopycie lub coś równie pysznego. A jeśli już jakaś potrawa wygląda apetycznie i ludzie ją jedzą, zaczynają się zachwycać: „Mmmm, jakie to pyszne”. To jest jeszcze gorsze! Bo widz niczego nie może skosztować. Ogląda, jak inni jedzą coś dobrego, ale nie może tego posmakować i ma ochotę strzelić sobie w łeb. Ale przeważnie to żarcie nie wygląda aż tak apetycznie.

RACHEL

*dyplomatycznie*

Niektórzy uważają, że wygląda fajnie.

GREG

Okej, nie podoba mi się też to, że uczestnicy tych programów ze sobą rywalizują. Jedzenie to nie sport. Przecież to bez sensu, że kucharze ze sobą konkurują. W Żelaznym kucharzu wszystkie konkurencje rozgrywane są na Stadionie Kuchennym. Co to w ogóle jest „Stadion Kuchenny”? To jakiś absurd. A na koniec zawsze mówią: „Walczyłeś godnie”. Czy w takiej konkurencji można walczyć niegodnie? Przecież gotowali gulasz.

RACHEL

*chichocze*

Hi, hi, hi.

*GREG*

Jeśli kanały kulinarne pokazują gotowanie jako sport, to może powinniśmy pójść dalej. Na przykład: „Żelazny hydraulik, dziś ze Stadionu Klozetowego”. Albo nie. Zaraz, zaraz. Mam coś lepszego: „Na żywo z Centrum Klozetowego: Superkupa”.

*Cztery godziny później. GREG i RACHEL siedzą dokładnie w tych samych pozycjach.*

*GREG*

... dla mnie to po prostu dziwne, że zwierzęta mieszkają w naszych domach. To po prostu dziwne.

*RACHEL*

Chyba muszę iść na kolację.

*GREG*

*zaniepokojony*

Zaraz, która godzina?

*RACHEL*

Dochodzi ósma.

*GREG*

Cholera!

Zachowując się tak powściągliwie, Rachel pokazała swój geniusz.

**1. Rachel pokonała mnie moją własną bronią.** Brawo. Zachowała się jak zawodowy werbalny karateka. Tak pokierowała naszą rozmową, że to ja gadałem, a ona tylko słuchała. Dzięki temu polubiłem nasze spotkania. A nie mówiłem, że to genialna taktyka?! Co więcej, Rachel wprost zarąbiście słucha. Na jej miejscu strasznie bym się znudził albo nawet wkurzył. „Superkupa”? Rany, Greg...

**2. Rachel ani razu nie zasugerowała, że powinniśmy się całować albo pobrać.** Choć wyznałem, że byłem w niej zakochany po uszy, nie próbowała nadrobić straconego czasu. Gdyby tak było, wpadłbym w panikę i zacząłbym udawać upośledzenie umysłowe. Czasami rozważam wybór właśnie

takiej taktyki, na przykład gdy w szatni napada na mnie grupa sportowców. W telewizyjnych serialach szkolni sportowcy zazwyczaj gnębią upośledzonych umysłowo, ale w prawdziwym życiu zauważyłem, że trzymają się od nich z daleka. Bałem się, że w trakcie spotkania z Rachel będę musiał się uciec do tego podstępu, ale na szczęście nie było to konieczne.

**3. Pozwalając mi mówić, Rachel mogła doprowadzić do tego, że wyjawię jej tajne informacje, pakując się tym samym w tarapaty.** Czy za dużo jej mówię? Może rzeczywiście za dużo jej mówię.

*Wnętrze. Pokój Rachel. Dzień.*

*Trzecia lub czwarta wizyta GREGA. Już zauważył, że na jednym ze zdjęć Hugh Jackman ma zezą rozbieżnego i jedno z jego oczu śledzi GREGA, gdy ten chodzi po pokoju. RACHEL właśnie zamilkła.*

*GREG*

*zdezorientowany*

Co?

*RACHEL*

Nie, nie, nic ważnego.

*GREG*

Przepraszam, ale mam dreszcze, gdy prawe oko Hugh Jackmana śledzi każdy mój ruch.

*RACHEL*

A co w tym strasznego?

*GREG*

O czym mówiliśmy?

*RACHEL*

O żydowskiej szkółce niedzielnej.

*GREG*

No tak. Totalna strata czasu.

*RACHEL*

Tak myślisz?

*GREG*

Niczego się tam nie nauczyłem. Serio, nic nie wiem o żydach. Jestem żydem, a z żydostwa powinienem dostać niedostateczny.

*RACHEL*

Chyba chodzi ci o judaizm.

*GREG*

No widzisz, właśnie o tym mówię. Zupełnie nie wiem, w co wierzą żydzi. Czy żydzi wierzą w niebo? My też mamy w nie wierzyć?

*RACHEL*

Nie wiem.

*GREG*

Sama widzisz. Czy jest żydowskie niebo? Co się dzieje z żydami po śmierci? Wiesz?

*Hugh Jackman wbija w GREGA gniewne spojrzenie.*

*GREG*

O cholera.

*RACHEL*

Co?

*GREG*

*pospiesznie*

A, nic. Przepraszam, ale ze mnie idiota.

*RACHEL*

Dlaczego?

*GREG*

Uch.

*chyba nie da się wypowiedzieć tych słów bardziej kretyńskim tonem*

Bo gadam o śmierci.

*RACHEL*

Greg, ja nie umieram.

*GREG*

*kłamie*

Tak, wiem.

*RACHEL*

*mrużąc oczy*

Jestem chora, ale każdy czasem choruje. To jeszcze nie wyrok śmierci.

*GREG*

*z udawanym entuzjazmem*

Tak, tak, tak, tak, no tak.

*RACHEL*

Myślisz, że umrę.

*GREG*

*kłamie jak najęty*

Nie! Nie-e-e-e-e.

*RACHEL*

*nieufnie*

Mhm.

*Wnętrze. Pokój Rachel. Dzień.*

*Czwarta lub piąta wizyta GREGA. Siedzi na łóżku tyłem do Hugh Jackmana, co oznacza, że musi się gapić na uśmiechniętego jak kretyn Daniela Craiga ubranego tylko w kąpielówki.*

*DANIEL CRAIG*

Widać zarys moich genitaliów! Super, co nie?

*RACHEL*

*chichocze*

Daniel Craig wcale tak nie mówi.

*GREG*

Muszę rozgrzać struny głosowe. Nie uruchomiłem jeszcze trybu naśladowania akcentów.

*RACHEL*

Powiedziałeś to jak prawdziwy kowboj.

*GREG*

Tak, bo mówiłem niewłaściwą częścią ust. Akcenty można naśladować, jeśli się używa odpowiedniej części ust. To dlatego obcokrajowcy czasem tak dziwnie się krzywią. Taki Daniel Craig wydyma usta jak panienka.

*RACHEL*

Nieprawda.

*GREG*

Przyjrzyj mu się! Zobacz, jak wydyma wargi. Właściwie wygląda jak żaba.

*włącza autopilota, bo RACHEL milczy albo na coś czeka*

Sporo wiem o akcentach, nawet jeśli nie umiem ich naśladować. Uczyłem się ich. To znaczy obejrzałem mnóstwo filmów. Kiedy je oglądałem, zauważyłem jedną ciekawą rzecz: akcenty sprzed osiemdziesięciu lat brzmią zupełnie inaczej niż te sprzed czterdziestu lat i współczesne. Wtedy ludzie mieli chyba inaczej ukształtowane usta.

Czasem mam ochotę całkiem się przestawić na amerykański akcent z lat pięćdziesiątych, bo to najdziwniejszy akcent, jaki kiedykolwiek istniał. Można ludzi nieźle przstraszyć. Gdy go słyszą, wcale nie kojarzą go z latami pięćdziesiątymi. Myślą sobie: „Ten chłopak mówi jakoś dziwnie, sztywno, staromodnie, jak robot dupek”, i nie wiedzą dlaczego. Dopiero po obejrzeniu kilku filmów z tamtych czasów zorientowałem się, że wtedy ludzie mówili inaczej.

*RACHEL*

Aha, jesteś znawcą filmów.

*GREG*

Jaki tam ze mnie znawca. Po prostu obejrzałem dużo filmów.

*RACHEL*

A który ci się najbardziej podobał?

*Wnętrze. Salon w domu Gainesów. Dwie godziny później.*

*Na ekranie: KLAUS KINSKI. Na kanapie: RACHEL i GREG. Na kolanach Grega: miska z resztkami gulaszu wołowego znalezionej w lodówce.*

*GREG*

Widzisz, jak pracuje kamera, jak się chwieje, jakby operator kręcił z ręki? Widzisz? Przez to film wygląda tak, jakby opowiadał prawdziwą, a nie fikcyjną historię? Rozumiesz, o co mi chodzi?

*RACHEL*

Tak, chyba tak.

*GREG*

Super, co nie? Dlatego ten film ogląda się jak dokument. Filmy dokumentalne kręci się inaczej niż thrillery, przede wszystkim z ręki, a nie ze statywu.

*RACHEL*

Mnie to przypomina reality show.

*GREG*

Tak! Świetne skojarzenie. Tylko że w reality show zawsze jest sztuczne oświetlenie, którego nie da się zainstalować w dżungli. Mieli chyba tylko kilka odbłyśników.

*RACHEL*

Co to są odbłyśniki?

*GREG*

*przeżuwając wołowinę*

Mmm... odbłyśniki... mmmm... czekaj, ta scena jest super.

*RACHEL*

Powinieneś zacząć kręcić filmy.

*MAMA*

*stoi w drzwiach*

Kręci! Tylko nikomu nie pokazuje.

*GREG*

Mamo, co ty tu, do cholery, robisz?!

*MAMA*

Och, kochanie. Nie zaproponowałeś Rachel nic do jedzenia.

*GREG*

Jezu, mamo!

*RACHEL*

Nie jestem głodna.

*GREG*

*wściekły*

Mamo. Jezu Chryste. Nie możesz stać w drzwiach i nas szpiegować. A już na pewno

*MAMA*

Po prostu przechodziłam i usłyszałam Rach

*GREG*

nie wolno ci nikomu mówić o... mmm...

*RACHEL*

To

*MAMA*



Greg, nie zachowuj się jak głuptas w tej spraw

*GREG*

o naprawdę prywatnych sprawach, przecież wiesz

*AGUIRRE*

A kiedy zechcę, żeby ptaki pospadały z drzew, wtedy ptaki spadną z drzew.

*MAMA*

tak ciężko pracuje nad nimi z Earlem, a potem

*RACHEL*

W porządku, nie muszę ich oglądać.

*GREG*

Widzisz? Słyszałaś?

*MAMA*

sami je oglądacie, ale nikomu nie pokazujecie.

*GREG*

Mamo, słyszałaś? Słyszałaś, co powiedziała Rachel?

*MAMA*

Powiedziała tak z uprzejmości. Greg, masz sos na brodzie.

*GREG*

Mamo, idź sobie.

*MAMA wychodzi z ironicznym uśmiechem, jakby właśnie zrobiła coś bardzo sprytnego, choć tak naprawdę zachowała się jak Najgorsza Matka pod Słońcem. Tymczasem GREG wraca do swojego gulaszu, bo ma zwyczaj zajadania stresu.*

*RACHEL*

Przewinimy do tyłu. Chyba przegapiliśmy coś ważnego.

*GREG*

No właśnie, ominęliśmy najlepszy kawałek.

*RACHEL*

*po chwili milczenia*

Jeśli twoje filmy to sekret, nikomu o nich nie powiem. Możesz mi zaufać.

*GREG*

To żaden sekret, po prostu nie są na tyle dobre, żeby je komuś pokazać. Jak nakręcimy dobry film, to go pokażemy.

*RACHEL*

Jasne.

*GREG*

Co?

*RACHEL*

Rozumiem cię.

*GREG*

Och.

*Patrzą sobie w oczy.*

*Gdyby to była ckliwa, romantyczna opowieść, w tym momencie GREGA ogarnęłoby Nowe, Nieznane Uczucie, wydawałoby mu się, że po raz pierwszy w jego życiu ktoś go zrozumiał do głębi, na fundamentalnym poziomie. A potem GREG i RACHEL zaczęłyby się całować jak zakochane na zabój borsuki.*

*Niestety nie jest to ckliwa, romantyczna opowieść. Żadne Nieznane Uczucie nie ogarnia GREGA. Zabujane borsuki nie będą się migdalić.*

*GREG z zakłopotaniem odwraca wzrok.*

*RACHEL*

Przynieść ci serwetkę?

*GREG*

Nie trzeba, sam sobie przyniosę.

## ROZDZIAŁ 13

# KOLEJNA DAWKA INFORMACJI O MOJEJ PRZYJAŹNI Z EARLEM

Pierwszym filmem, którego remake nakręciliśmy, był oczywiście *Aguirre, gniew boży*. Nie mogliśmy wybrać innego. Mieliśmy po jedenaście lat i obejrzelśmy go ze trzydzieści razy, nauczyliśmy się na pamięć wszystkich podpisów, a nawet niektórych kwestii po niemiecku. Czasem cytowaliśmy je na lekcji, gdy nauczyciele nas pytali. Earl robił tak prawie zawsze, gdy nie znał odpowiedzi.

*Wnętrze. Zajęcia z PANIĄ WOZNIEWSKI w piątej klasie. Dzień.*

*PANI WOZNIEWSKI*

Earl, czy możesz wymienić warstwy Ziemi?

*EARL wytrzeszcza oczy i ciężko oddycha przez nos.*

*PANI WOZNIEWSKI*

Zacznijmy od najbardziej wewnętrznej. Jakim innym słowem można określić...?

*EARL*

Ich bin der große Verräter.

[podpis: Jestem najpodlejszym ze zdrajców]

*PANI WOZNIEWSKI*

Hmm...

*EARL*

Die Erde über die ich gehe sieht mich und bebt.

[podpis: Ziemia, po której stąpam, drży na mój widok]

*PANI WOZNIEWSKI*

Earl, może powiesz nam, co to znaczy?

*EARL*

*miotając groźne spojrzenia na kolegów z klasy*

Grrrrrh...

*PANI WOZNIEWSKI*

Earl.

*EARL*

*wstaje, pokazuje na PANIĄ WOZNIEWSKI i mówi do klasy*

Der Mann ist einen Kopf größer als ich, das kann sich ändern.

[podpis: Ten człowiek jest ode mnie wyższy o głowę. To się może zmienić]

*PANI WOZNIEWSKI*

Earl, wyjdź z klasy.

Pewnego dnia tata kupił kamerę wideo i oprogramowanie do montażu na domowym komputerze. Chciał nagrywać swoje wykłady. Nie wiedzieliśmy dokładnie po co. Wiedzieliśmy tylko, że nas to nie obchodzi. Wiedzieliśmy też, że ten sprzęt nie pojawił się w naszym życiu bez powodu. Postanowiliśmy odtworzyć *Aguirre, gniew boży* ujęcie po ujęciu.

Przeznaczaliśmy na to jedno popołudnie. Tymczasem zajęło nam to trzy miesiące i gdy mówię „to”, mam na myśli „odtworzenie pierwszych dziesięciu minut i kapitulacja w obliczu trudności”. Podobnie jak Werner Herzog w południowoamerykańskiej dżungli natrafiliśmy na gigantyczne problemy i przeszkody. Nagrywaliśmy na już zapisanych taśmach, czasem zapominaliśmy włączyć nagrywanie albo wyczerpywała się nam bateria w kamerze. Nie mieliśmy zielonego pojęcia o oświetleniu i rejestracji dźwięku. Niektórzy członkowie obsady, czyli przede wszystkim Gretchen, nie potrafili odpowiednio wypowiedzieć swoich kwestii ani stworzyć postaci i na dodatek cały czas dłubali w nosie. Poza tym cała obsada składała się z trójki wykonawców albo z dwójki, jeśli któreś z nas musiało trzymać kamerę. Zdjęcia plenerowe kręciliśmy w parku Frick i co chwila w kadr włączali nam biegacze i osoby wyprowadzające psy, a potem jeszcze pogarszali sytuację, bo do nas zagadywali.

Pytanie: Kręcicie film?

Odpowiedź: Nie. Otwieramy tanią włoską restaurację.

Pytanie: Co?

Odpowiedź: No jasne, że kręcimy film.

Pytanie: A o czym?

Odpowiedź: Dokument o ludzkiej głupocie.

Pytanie: A mogę w nim wystąpić?

Odpowiedź: Tylko głupek by cię nie zaangażował.

Co więcej, nie umieliśmy odtworzyć większości rekwizytów i kostiumów. Earl wyglądał idiotycznie w garnku na głowie. Nie mieliśmy niczego, co przypominałoby armaty albo miecze. Mama nie pozwoliła nam wynosić mebli z domu do parku, a gdy zlekceważyliśmy jej zakaz, dostaliśmy tygodniowy szlaban na używanie kamery.

Nasza wiedza o organizacji pracy była równa zeru. Jechaliśmy do lasu, a potem zapominaliśmy, którą scenę chcieliśmy nakręcić, a jak już sobie przypomniaлиśmy, to nie wiedzieliśmy, co kto mówi, kiedy zaczyna i kończy i jak powinniśmy zakomponować kadr. Bez większych sukcesów, choć z ogromnym wysiłkiem próbowaliśmy nakręcić coś, co choć trochę wyglądałoby jak oryginał. Wreszcie wracaliśmy do domu z mocnym postanowieniem, że spisujemy listę rzeczy do zrobienia, ale zamiast tego jedliśmy obiad albo oglądaliśmy film. Pod koniec dnia zabieraliśmy się do kopiowania nagranych materiałów na dysk komputera, ale wtedy się okazało, że gdzieś nam wyparowały niektóre sceny, a to, co zostało, nadaje się tylko do wyrzucenia. Złe oświetlenie, ledwie słyszalne głosy, skaczący obraz na ekranie.

Pracowaliśmy tak całymi miesiącami, aż wreszcie sobie uświadomiliśmy, jak powoli nam to idzie, i skapitulowaliśmy po nakręceniu dziesięciu minut materiału. Wtedy mama i tata uparli się, że chcą obejrzeć nasz film.

To był koszmar. Przez dziesięć minut razem z Earlem z narastającym zażenowaniem patrzyliśmy, jak się wałesamy, machamy kartonowymi tubami i pistoletami na wodę i mamrocujemy coś łamanym niemieckim, próbując nie zwracać uwagi na biegaczy, spacerujące rodziny i emerytów z wyżłami. Podejrzewaliśmy, że naszemu filmowi daleko do arcydzieła, ale dopiero wtedy, gdy go oglądaliśmy z mamą i tatą, przekonaliśmy się, jaka to straszliwa szmira. Kiedy spojrzeliśmy na niego z nowej perspektywy, odkryliśmy w nim niewyczerpane pokłady badziewia. Fabuła praktycznie nie istniała, zapomnieliśmy o ścieżce dźwiękowej, a na ekranie prawie nic nie było widać. Gretchen gapiała się w obiektyw jak zwierzę domowe, Earl oczywiście nie nauczył się swoich kwestii, a ja miałem zawsze, ale to zawsze, taki wyraz twarzy, jakbym chwilę wcześniej przeszedł lobotomię. Co najgorsze, mama i tata udawali, że im się to podoba. Powtarzali, że są pod ogromnym wrażeniem, że świetnie gramy i jakie to niewiarygodne, że udało nam się nakręcić coś tak dobrego. Z ekranu wylewał się na nich ściek, a oni rozplwali się w zachwytach.

Zasadniczo potraktowali nas tak, jakbyśmy byli niemowlakami. Miałem ochotę się zabić. Earl też. Ale tylko siedzieliśmy bez słowa.

Potem schowaliśmy się w moim pokoju straszliwie zdołowani.

*Wnętrze. Mój pokój. Dzień.*

*EARL*

Cholera. Do dupy.

*GREG*

My jesteśmy do dupy.

*EARL*

Ja jestem bardziej gówniany niż ty.

*GREG*

*siląc się na taką samą swobodę, z jaką jedenastoletni Earl wymawia słowo „gówniany”*  
Spieprzyliśmy.

*EARL*

Niech to szlag.

*TATA*

*spoza kadru, przez drzwi*

Chłopaki, kolacja za dziesięć minut.

*nie odpowiadamy*

Chłopaki. To fantastyczny film. Zrobił na mnie i na mamie wielkie wrażenie. Powinniście być z siebie dumni.

*po krótkiej pauzie*

Wszystko u was w porządku? Mogę wejść?

*EARL*

*natychmiast*

Cholera, nie.

*GREG*



Wszystko gra, tato.

*EARL*

Jak tu wejdzie i zacznie z nami rozmawiać o tym głupim filmie, to się kopnę w głowę.

*TATA*

No dobra!

*Słysząc odgłos kroków odchodzącego TATY.*

*GREG*

Ale żenada.

*EARL*

Chyba spalę to nagranie.

*GREG*

*jeszcze nie nauczył się swobodnie przeklinać*

O tak, co za gówno. Cholera.

*GREG i EARL milczą. Zbliżenie na EARLA, który właśnie coś sobie uświadomił.*

*EARL*

Werner Herzog może mnie cmoknąć w dupę.

*GREG*

Co?

*EARL*

Człowieku, na cholerę kręcimy Aguirre, gniew boży? Werner Herzog może mi wsadzić łeb w tyłek.

*GREG*

*z wahaniem*

Okej.

*EARL*

Musimy nakręcić nasz własny film.

*nabiera rozpędu*

Nie możemy kręcić cudzego filmu. Musimy zrobić własny.

*wyraźnie podekscytowany*

Zatytułujemy go Gniew boży II.

*GREG*

Earl, gniew boży II.

*EARL*

O tak.

W trakcie naszej twórczej współpracy to Earl zwykle miał lepsze pomysły i tym razem też się sprawdził. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby nakręcić nowy film, choć to przecież nie był pomysł godny geniusza ani nawet szaleńca. Chodziło o to, żeby odtworzyć *Aguirre*, ale tym razem chcieliśmy zmodyfikować wszystkie role, których nie potrafimy albo nam się nie chce zagrać. Jeśli któraś scena nam się nie podobała, to usuwaliśmy ją z naszej wersji. Jeśli nie dało się odtworzyć jakiejś postaci, mówiliśmy jej „sajonara”. W pobliżu nie było żadnej dżungli, więc kręciliśmy film w salonie albo w samochodzie. Najlepsze są najprostsze rozwiązania.

Ostatecznie film *Earl, gniew boży II* opowiadał o obłąkanym Earlu, który poszukiwał miasta Earldorado w zwyczajnym domu w Pittsburghu zamieszkanym przez zwykłą rodzinę. Dzieło to nakręciliśmy w rezydencji Gainesów w dzielnicy Point Breeze, zaimprovizowaliśmy kilka dialogów, a Cat Stevens zagrał kilka wspaniałych epizodycznych ról. Ścieżką dźwiękową była funkowa płyta taty, która przez przypadek wpadła nam w ręce. Praca nad filmem zajęła nam kolejny miesiąc, może dwa. Na koniec nagraliśmy całość na DVD i potajemnie obejrzeliliśmy razem w salonie.

Film był do kitu. Ale nie aż tak do kitu jak nasza poprzednia produkcja.

Tak rozpoczęła się nasza kariera.

## ROZDZIAŁ 14

# W SZKOLNEJ STOŁÓWCE NAJESZ SIĘ TYLKO WSTYDU

Październik przyniósł zmiany w moim życiu. W stosunku do jednej osoby ze szkoły byłem wyjątkowo miły, spędzałem z nią dużo czasu i tak dalej. Czy powinienem użyć słowa „przyjaciółka”? Chyba tak. Rachel została moją przyjaciółką. Powinniście wiedzieć, że napisanie tego zdania dużo mnie kosztowało. Naprawdę dużo. Przyjaciele to źródło kolosalnych problemów.

Ale nie mogłem unikać jej w szkole, skoro spędzaliśmy tyle czasu po lekcjach. Nagle cała szkoła zobaczyła mnie w towarzystwie przyjaciółki. Wszyscy widzieli, jak rozmawiam z Rachel przed zajęciami i na przerwach, a ona śmiała się bardzo głośno, więc inni się na nas gapili. Na zajęciach w małych grupach prawie zawsze pracowaliśmy razem. Na pewno rzucaliśmy się w oczy.

Pewnie niektórzy uznali nas za parę, a może nawet podejrzewali, że uprawiamy seks. Czy można dementować takie pogłoski i nie wyjść na dupka? Przecież nie mogłem na prawo i lewo rozgłaszać: „Zupełnie nic mnie nie łączy z Rachel! A już na pewno nie seks. Nawet nie wiem, jak wyglądają jej genitalia i czy ma je w tym samym miejscu co inne panny”.

Zapewne wyglądaliśmy na parę, która dopiero co zaczęła ze sobą chodzić. Bo zawsze większość ludzi, a zwłaszcza dziewczyny, strasznie się emocjonują takimi sprawami. Mam na ten temat własną bardzo przygnębiającą teorię.

**Teoria:** Ludzie zawsze się jarają, kiedy nieatrakcyjna dziewczyna chodzi z nieatrakcyjnym chłopakiem.

Nikt jeszcze nie ogłosił tego publicznie, ale ja uważam tę prawdę za uniwersalną. Dziewczyny na widok dwójki zakochanych paskud myślą sobie: „Hej! Miłość zdarza się też brzydkim osobom. Pewnie kochają się za cechy charakteru, a nie za wygląd. Jakie to urocze”. Gdy faceci widzą taką parę, myślą: „O jednego konkurenta mniej w licealnej gonitwie za jędrnymi cyckami, bo przecież liceum to nic innego jak Gonitwa za Jędrnymi Cyckami”.

Spędzanie czasu z Rachel nieuchronnie oznaczało, że przynajmniej częściowo wchłonę mnie jej grupa, czyli Podgrupa Czwartoklasistek Żydowskiego Pochodzenia z Wyższej Klasy Średniej: Rachel

Kushner, Naomi Shapiro i Anna Tuchman. Naomi Shapiro na każdym kroku pokazywała, że jest głośną, zadziorną i złośliwą dziewczuchą. Anna Tuchman była w porządku, mimo że cały czas trzymała pod pachą jakąś książkę w miękkiej oprawie zatytułowaną *Miecz syren* albo *Szczelina przeznaczenia*, albo coś w tym guście. Kilka razy przed lekcjami wdałem się w rozmowę z koleżankami Rachel. Naprawdę ciężko brać w nich udział przez dłuższy czas.

*Wnętrze. Korytarz szkolny. Ranek.*

*ANNA*

Uchhhh, nie chce mi się dziś iść na literaturę.

*NAOMI*

Pan Cubaly to zboczeniec.

*RACHEL i ANNA chichoczą.*

*NAOMI*

*udając, że nie wie, z czego się śmieją*

No co!?! Zawsze próbuje zajrzeć mi w dekolt!

*Więcej chichotów. GREG z grzeczności też próbuje się śmiać, ale mu nie wychodzi.*

*NAOMI*

Mam ochotę mu powiedzieć: „Niech pan sobie zrobi zdjęcie, panie Cubaly. Pogapi się pan na mój biust dłużej”.

*ANNA*

*z udawanym oburzeniem*

Naomi-i-i-i-i-i!

*Nagle wszystkie patrzą na GREGA, jakby chciały poznać jego opinię na ten temat.*

*GREG*

*postanawia, że najbezpieczniej będzie podsumować to, co do tej pory zostało powiedziane*  
Ymm... Fotografowanie biustów. Pasuje jak ulał do Cubaly'ego.

*NAOMI*

Ugggggh. Wszyscy faceci to zбочeńcy. Greg, zdarza ci się czasem myśleć o czymś innym niż seks?

## CAŁY KORYTARZ UCZNIÓW

Greg, wszyscy zauważyliśmy, jak ze śmiechem przekomarzasz się z tą głośną, okropną dziewczuchą jak z najlepszą przyjaciółką.

Bez wątpienia przestałem być towarzysko niewidzialny, na co tak ciężko pracowałem. Pewnego popołudnia popełniłem nawet błąd i zgodziłem się zjeść lunch z Rachel i jej przyjaciółkami w stołówce, gdzie moja noga nie powstała od wielu lat.

W stołówce panuje totalny chaos. Po pierwsze toczy się tu nieustające bombardowanie jedzeniem z niskiego pułapu. Sytuacja rzadko robi się na tyle groźna, żeby do akcji włączyli się ochroniarze, ale co chwila ktoś rzuca w swojego wroga kawałkiem jedzenia albo próbuje go oblać sosem z niewielkiej odległości. W połowie przypadków nie trafia albo trafia w kogoś innego, siedzącego w innej części stołówki. Przypomina to jedną z mniej krwawych bitew drugiej wojny światowej.

Po drugie codziennie na obiad podają pizzę i krokietki ziemniaczane. Czasem dla urozmaicenia kucharze kładą na pizzę małe zszarzałe kawałki kiełbasy przypominające psie kupy, ale to jedyne urozmaicenie, na jakie można liczyć. Poza tym duża część jedzenia ląduje na podłodze, a pizza i krokietki dają niezły poślizg, gdy się na nie nadeptnie. Na posadzce zostają też wielkie zaschnięte plamy z pepsi, ohydne, ale lepkie, więc trochę łatwiej się po nich chodzi.

Po trzecie w stołówce panuje nieziemski tłok, więc jeśli ktoś się poślizgnie na serze z pizzy albo na rozdeptanym krokietku, to najprawdopodobniej zostanie stratowany na śmierć.

Zasadniczo przypomina to więzienie o złagodzonym rygorze.

Siedziałem przy stoliku w niewygodnej pozycji, bo na kolanach trzymałem plecak. Przecież nie mogłem go postawić na podłodze, żeby zrobiły się na nim tłuste plamy i wlażyły do niego stada karaluchów. Jadłem swój dziwny, ale pewnie bardzo zdrowy lunch zrobiony przez tatę, bo gdybym codziennie jadł pizzę i krokietki ziemniaczane, byłbym jeszcze grubszy i miałbym pryszczki wielkości gałek ocznych. Naomi bardzo głośno opowiadała o tym, jak: „Ross powiedział coś strasznie głupiego, a ja tylko go ostrzegłam, żeby nawet nie próbował kontynuować”, a ja udawałem, że słucham z zaciekawieniem i pewnie miałem na twarzy jakiś kretyński uśmiech albo grymas. W takim stanie zobaczyła mnie Madison Hartner, gdy podeszła do naszego stolika.

Jeśli nie pamiętacie, Madison Hartner to niesamowicie seksowna dziewczyna, która umawia się prawdopodobnie tylko z futbolistami z Pittsburgh Steelers albo przynajmniej ze studentami. To również dziewczyna, którą bezwzględnie prześladowałem w piątej klasie – nazywałem ją Madison Chark i twierdziłem, że zamiast błyszczycy używa kozy z nosa i takie tam. Oczywiście teraz tamta

sprawa już dawno poszła w niepamięć, a w październiku w czwartej klasie liceum łączyły nas mgliście przyjazne stosunki. Czasem mówiliśmy sobie „cześć” na korytarzu, niekiedy zdobywałem się w jej obecności na niewinny, byle jaki żart i bywało, że nawet się wtedy uśmiechała. Potem przez kilka sekund śniłem na jawie o tym, że wtulam twarz w jej piersi jak rozanielona mała panda, a potem każde z nas szło w swoją stronę.

Czy Madison mnie kręciła? No pewnie. To chyba jasne. Oddałbym rok życia, żeby móc się z nią całować. No dobra, może miesiąc. Rzecz jasna pod warunkiem że całowałyby się ze mną z własnej woli. Nie chciałbym przecież, żeby zmusił ją do tego dżin z butelki, któremu w zamian musiałbym oddać miesiąc swojego życia. Cały ten akapit to bredzenie wariata.

No dobra, ujmę to tak: gdyby ktoś mnie zapytał: „Greg, w kim się podkochujesz?”, odpowiedziałbym: „W Madison”. Zazwyczaj udawało mi się nie myśleć o dziewczynach, bo w liceum chłopak taki jak ja nie ma najmniejszych szans, by poderwać akurat tę dziewczynę, na której mu zależy, więc wolę się nad tym nie rozwodzić, żeby nie wyjść na idiotę.

Kiedyś wprost zapytałem tatę o dziewczyny w liceum i odpowiedział, że w liceum rzeczywiście jest trudno, ale na studiach wszystko się zmienia, i że jak już się dostanę na uczelnię, to „na pewno bez trudu jakąś sobie przygrucham”, co strasznie mnie zawstydziło, ale też dodało mi otuchy. Potem zapytałem o to mamę, która odparła, że jestem bardzo przystojny, i to stwierdzenie natychmiast skatalogowałem jako dowód rzeczowy numer 16087 w sprawie: Mama przeciwko Prawdzie.

Madison, seksowna i powszechnie lubiana dziewczyna, podeszła do nas jak gdyby nigdy nic i postawiła swoją tacę obok tacy Rachel. Czemu postanowiła to zrobić? Pozwólcie, że teraz przedstawię kolejne obszerne wyjaśnienie pewnego zjawiska. Jestem mistrzem rozwlekania opowieści za pomocą wtrąceń i dygresji.

Seksowne dziewczyny można podzielić na dwie kategorie: Złe Seksowne Dziewczyny i Seksowne Dziewczyny o Dobrym, Czułym Sercu, które Nie Zniszczą z Premedytacją Twojego Życia (SDDCSNZPTŻ). Olivia Ryan, pierwsza dziewczyna w naszej klasie, która zrobiła sobie operację plastyczną nosa, to zdecydowanie Zła Seksowna Dziewczyna, dlatego wszyscy się jej boją. Od czasu do czasu postanawia zrujnować życie losowo wybranej osobie. Niekiedy niszczy kogoś, kto napisał o niej coś złego na Facebooku, na przykład: „liv ryan jest łatwaaaaa!!!”. Zwykle nie potrzebuje powodu. Przypomina wulkan, który nagle wybucha w czyimś domu, a lava pochłania nieszczęsną ofiarę. Według moich obliczeń w Benson siedemdziesiąt pięć procent seksownych dziewczyn jest złych.

Ale Madison Hartner do nich nie należy. Tak naprawdę jest naczelną SDDCSNZPTŻ. Najlepszym tego dowodem jest Rachel. Zanim Rachel zachorowała, Madison była w najlepszym razie jej odległą znajomą, ale diagnoza Rachel aktywizowała u Madison Hormony Przyjaźni.

Musicie również wiedzieć, że chociaż SDDCSNZPTŻ nie próbują z premedytacją zniszczyć

niczyjego życia, to i tak niekiedy je niszczą. Nic na to nie mogą poradzić. Są jak słonie, które niefrasobliwie przechadzają się po dżungli i czasem zdeptają małą małpkę, choć nawet tego nie zauważają. Śliczne, seksowne słonie.

Właściwie Madison przypomina moją mamę. Ma obsesję na punkcie dobrych uczynków i w genialny sposób potrafi zmuszać ludzi, żeby robili to, czego ona chce. To zabójcza kombinacja, jak sami się przekonacie, czytając dalej moją książkę, jeśli tylko ją skończę i wcześniej nie spanikuję, i nie wyrzucę mojego laptopa z jadącego samochodu do jeziora.

No dobra. Białaczką Rachel sprawiła, że w żyłach Madison popłynął Hormon Przyjaźni i zaczęła okazywać swoją sympatię, siadając przy naszym stoliku w czasie obiadu.

– To miejsce jest wolne? – zapytała.

W jej głosie przypominającym gęsty ciemny miód pobrzmiwała ogromna mądrość, co zupełnie nie pasuje do jej wyglądu. To tylko dodaje jej seksapilu. Za każdym razem, gdy piszę, że jest seksowna, czuję się jak żalosny debil, więc chyba przestanę.

– Wolne – odparła Naomi.

– Usiądź z nami – zaproponowała Rachel.

Madison usiadła. Naomi umilkła. Nikt z nas nie potrafił jeszcze oszacować, w jaki sposób została zaburzona równowaga sił, ale napięcie czuło się w powietrzu. W takich chwilach otwierają się nowe możliwości, ale jednocześnie powstają nowe niebezpieczeństwa. Cały świat miał za chwilę zmienić się na zawsze. Moje usta wypełniała wołowina.

– Greg, twój lunch wygląda... interesująco – powiedziała Madison.

Mój przyniesiony w plastikowym pojemniku obiad składał się z resztek wołowiny, fasolki szparagowej i sałaty, z dodatkiem sosu teriyaki, szczypiorku i kilku innych przypraw. Danie to wyglądało jak dzieło kosmity, który przyleciał na Ziemię, wziął udział w kursie robienia sałatek, ale na egzaminie końcowym nie poszło mu najlepiej. Na mojej drodze stanęła okazja i nie zamierzałem jej zmarnować.

– Obiad już zjadłem – odparłem. – To są wymiociny kosmity.

Rachel i Anna parsknęły śmiechem, a Madison cicho zachichotała, co wywołało u mnie erekcję. Nie mogłem jednak się skupiać na tym fakcie, bo wiedziałem, że za moment Naomi swoim irytującym jazgotem spróbuje ściągnąć na siebie uwagę Madison, a tego musiałem za wszelką cenę uniknąć.

– Tak, na dodatkową ocenę z zajęć z panem McCarthym kręcę film dokumentalny o zwyczajach wymiotnych kosmitów. Chodzę za nimi z kamerą i zbieram ich wymiociny do takich pojemników. Myślałaś, że zamierzam to zjeść? Nie ma mowy. Madison, nie jestem zboczeńcem, tylko historykiem wymiocin i domagam się poważnego traktowania. W tym pojemniku przechowuję wysokiej jakości próbkę. Zamierzam je dokładnie przebadać.



Gdy tak nawijałem, Naomi próbowała się wtrącić, mówiąc głośno „Ohyda” i „Nie wierzę”, ale nic nie działała. Kiedy nabrałem rozpędu, rozległ się gromki śmiech. Słysząc było głównie Rachel, która w tym momencie stała się Księżną Parskolandii.

– Nie zamierzam jeść tych niezwykle cennych wymiocin. Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. Gdy kosmici puszczają pawia, okazują nam zaufanie. Mnie zaufali, bo spędzam z nimi mnóstwo czasu, dlatego teraz obdarowują mnie swoimi niezwykłymi wymiocinami i nie zamierzam zawieść ich zaufania, zjadając ten cenny podarek, choć wygląda tak pożywnie i pewnie równie wybornie smakuje. Tylko spójrzcie. Przyjrzyjcie się tej mazi przypominającej spermę. No pewnie, że chciałbym ją zjeść do ostatniej łyżeczki. Ale zaufanie kosmitów to sprawa priorytetowa. Proszę o następne pytanie. Rachel.

Rachel bezradnie parsknęła i chichotała. Zwróciłem się do niej tylko po to, żeby złapać oddech, a jednocześnie nie dopuścić do głosu Naomi. Odsunąłem od siebie myśl, że właśnie rozśmieszyłem prawdopodobnie najseksowniejszą dziewczynę w Benson. Coś takiego nigdy wcześniej mi się nie przydarzyło.

– W jaki sposób poznajesz kosmitów? – Rachel nie wpadła na lepsze pytanie.

– Świetne pytanie – pochwaliłem ją. – Kosmici do perfekcji opanowali sztukę kamuflażu i udawania ludzi, ale wprawne oko bez trudu ich rozpoznaje.

Rozejrzałem się wokół, szukając inspiracji. Z jakiegoś powodu mój wzrok zatrzymał się na Scotcie Mayhew, gocie zbierającym karty do gry, o którym pisałem jakieś osiemnaście tysięcy słów temu. Miał na sobie tencz i niezdarnie poruszał się między stolikami z tacą z jedzeniem.

– Kosmici mają niezwykle wyczucie stylu i uwielbiają tencze – ciągnąłem. – Poruszanie się na ludzkich nogach sprawia im pewne trudności. Nie odwracajcie się teraz, za wami stoi Scott Mayhew, moim zdaniem podręcznikowy kosmita.

Moje serce galopowało. Z jednej strony popełniłem ciężki grzech przeciwko wyznawanej przeze mnie zasadzie: „Nigdy nie wyśmiewaj się z innych”. Obgadywanie innych to najprostszy sposób, żeby zyskać przyjaciół i wrogów, zarówno w liceum, jak i poza nim, a jak już wspominałem miliard razy, nie taki cel życiowy sobie wyznaczyłem.

Z drugiej strony siedziały przede mną trzy roześmiane dziewczyny, w tym Madison i Rachel, więc musiałem dalej brnąć w to bagno.

– Pewnie nieraz na widok biegnącego Scotta myślałyście sobie: „Co z nim nie tak?”. On przyleciał z kosmosu. Mieszka na meteorycie w najczarniejszej kosmicznej dziurze. Z ogromnym trudem i poświęceniem zdobywałem jego zaufanie, żeby móc nosić przy sobie jego wymiociny. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile się nasłuchiwałem poezji kosmitów. Piszą wiersze głównie o centaurach. No i dziś rano, gdy Scott przeczytał mi swój kolejny poemat, powiedziałem: „Dziękuję ci z całego serca za ten ogrom piękna”. A on na to: „W dowód mojego zaufania przyjmij moje wymiociny”. I puścił pawia

wprost do tego oto pojemnika. Po prostu czad.

A potem się zamknąłem, bo Scott przystanął i zaczął się na nas gapić z drugiego końca sali. Na pewno nie podobało mu się to, co zobaczył. Anna, Rachel i Madison patrzyły na niego i się śmiały. A ja cały czas gadałem z głupawym uśmiechem na twarzy. Zorientował się, że to z niego się śmiejemy. To było oczywiste. Posłał mi lodowate, gniewne spojrzenie.

– Greg, jesteś obrzydliwym dziwakiem – ogłosiła Naomi i na własną prośbę wkroczyła na grząski teren.

– Greg, jesteś złośliwy – powiedziała Madison ze słodkim uśmiechem.

Jak, do cholery, miałem się z tego wyplątać?

– Nie, nie, nie! – krzyknąłem. – Naomi, nie ma nic obrzydliwego w wymiocinach kosmitów. Właśnie o to chodzi. Są piękne i niezwykle cenne. Madison, to, co mówię, nie jest złośliwe. Wręcz przeciwnie. Celebruję swoją magiczną więź ze Scottem i z jego wymiocinami. Które mam tutaj, w tym oto pojemniku.

Spanikowałem. Na chwilę straciłem nad sobą panowanie i zacząłem obgadywać Scotta Mayhew, który najprawdopodobniej mnie znienawidził. Jednocześnie zyskałem złą sławę jako koleś, który obgaduje innych. Tak się wystraszyłem, że do następnego dzwonka nie powiedziałem ani słowa, a w kolejnych tygodniach nie pokazywałem się na stołówce. Na samą myśl o zjedzeniu tam obiadu czułem pod pachami gorący, piekący pot.

Potem Rachel wyznała mi, że Scott Mayhew zabujał się w Annie na zabój.

– Ochhh. Mogłem się domyślić.

– Naprawdę?

– No pewnie. Przecież ona cały czas czyta książki o centaurach.

– Moim zdaniem Anna nie wytrzyma z takim dziwakiem.

– Wcale nie jest aż taki dziwny.

Wciąż dręczyły mnie wyrzuty sumienia i wstydziałem się z powodu tego, co wygadywałem na temat Scotta.

– Greg, on jest naprawdę dziwny i ma przetłuszczone włosy.

– Nie jest aż taki dziwny jak ja.

– No tak, ty kręcisz film dokumentalny o wymiotach kosmitów.

– Tak.

– Twoje pozostałe filmy to też dokumenty?

Odniosłem wrażenie, że Rachel daje mi okazję, bym rozwinął skrzydła i zaimprovizował jakiś pozbawiony sensu monolog, ale szczerze mówiąc, byłem sparaliżowany ze strachu. Najpierw popełniłem błąd, bo wyśmiewałem się ze Scotta, a teraz Rachel wspomniała o moich filmach. Nie

wiedziałem, jak z tego wybrnąć, więc powiedziałem tylko:

– Uchhhh. Właściwie to nie. Uch.

Na szczęście Rachel potrafiła czytać między wierszami.

– Przepraszam, wiem, że to tajemnica. Nie powinnam cię o nie pytać.

– W porządku. To ja zachowuję się jak kretyn.

– Nieprawda. Pewnie masz swoje powody, żeby zachować tę sprawę w tajemnicy. Nie chcę, żebyś mi opowiadał, o czym są.

Muszę to wyznać: w tej chwili Rachel była fantastyczna. Tymczasem ja jestem wam winny streszczenie swoich filmów. Jesteście znacznie mniej fantastyczni niż Rachel, drodzy, ale jakże nachalni czytelnicy.

Znaczy się to ja decyduję, że musicie poczytać o moich filmach, więc tak naprawdę to ja jestem teraz fabryką kaszany w ludzkiej postaci.

Nikogo z was nie powinno to dziwić.

## ROZDZIAŁ 15

# GAINES I JACKSON, DZIEŁA ZEBRANE

To oczywiście niepełna lista.

*Earl, gniew boży II* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2005). Tak, wiem. Nie ma sensu dodawać „II”. Tytuł powinien brzmieć *Aguirre, gniew boży II* albo *Earl, gniew boży I*. Nieważne. Wtedy wydawało nam się, że *Earl, gniew boży II* to najlepszy wybór. Mieliśmy po jedenaście lat, więc się nie czepiajcie.

Na pierwszy plan wysuwa się zupełny brak fabuły, pełnokrwistych postaci, zrozumiałych dialogów i można tak dalej wyliczać. Niestety te mankamenty przyćmiewają brawurowy występ Earla w roli psychopatycznego, mówiącego łamanym niemieckim hiszpańskiego konkwistadora. Dziś wydaje mi się, że niepotrzebnie nakręciliśmy tyle scen, w których Cat Stevens dostaje kociokwiku i atakuje jednego z nas. Powinniśmy też dodać napisy, bo nie da się zrozumieć, co Earl próbuje powiedzieć. Na przykład: „*Ich haufen mit staufenaufsteinnn*”. Brzmi to świetnie, ale w dosłownym tłumaczeniu znaczy: „Ja stos/zlepek/akumulacja z [bezsensowne słowo] kamień-pijący-alkohol”. ★

*Ran II* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2006). Naprawdę poszliśmy o krok dalej, realizując *Ran II*. Przygotowaliśmy znacznie lepsze kostiumy, ścieżkę dźwiękową i broń, a także próbowaliśmy wcześniej napisać scenariusz. Oto fabuła filmu: Cesarz i jego synowie jedzą kolację. Jeden z synów naśmiewa się z cesarza. Cesarz się wścieka i każe zabić nadwornego błazna. Żona jednego z synów przybiega i ogłasza, że wyszła drugi raz za mąż za innego cesarza. Zostaje zabita metodą pocierania pięścią o głowę. Tymczasem drugi cesarz mieszka w łazience i je mydło. W jednej długiej scenie wybuch gniewem, gdy posłaniec przynosi mu wiadomość, że jego żona nie żyje. Posłaniec okazuje się zbuntowanym synem. Jednak zbuntowany syn popełnia błąd i przechodzi pod drzewem, na którym zaczął się tajemniczy zabójca z tubką pasty do zębów. Zabójca i pierwszy cesarz przez chwilę gonią się po lesie. Z tego powodu drugi cesarz jeszcze bardziej się gniewa. Wreszcie wbiega do salonu i popełnia samobójstwo, uderzając się łokciem w czoło, podczas gdy nadworny błazen, który z jakiegoś powodu ożył, teraz bardzo głośno śpiewa bezsensowną pieśń.

Tutaj sprawy się komplikują. ★★

*Czas przyszły apokalipsy* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2007). Tytuł znów pozostawia wiele do życzenia. Kiedy tylko dowiedzieliśmy się, co znaczy słowo „apokalipsa”, doszliśmy do wniosku, że to niedorzeczne, że *Czas apokalipsy* nie opowiada o końcu świata. Film ten można streścić w następujący sposób:

1. Earl w bandanie i z pistoletem na wodę próbuje się dowiedzieć, kiedy nastąpi apokalipsa.
2. Spoza kadru mówię Earlowi, że apokalipsa nie nastąpi tak prędko.
3. Earl siada na krześle i klnie jak szewc.
4. Powtórka. ★½

*Gwiazdne pokoje* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2007). Akcja nie toczy się w przyszłości, tylko w 2007 roku na planecie Ziemia. Luke Megatwardziel, choć ma świetne nazwisko, jest najbardziej żenującym facetem w całej dzielnicy. Na przykład w jego portfelu jest tylko budyń, a dziewczyny wolałyby dostać cios w brzuch, niż się z nim całować. Luke znajduje w piaskownicy dwa roboty, które mu uświadamiają, że potrafi przemieszczać przedmioty siłą myśli. Co prawda, nie ma na to dowodów, ale i tak to wszystkim rozgłasza, a kiedy zostaje poproszony o demonstrację, wścieka się nie na żarty i wykonuje Robotyczny Taniec Gniewu. W pewnym momencie wydaje mu się, że jego rower to rodzaj ścigacza z przyszłości, jeździ na nim po parku Frick z pistoletem na wodę, naśladuje odgłosy strzelania i atakuje ludzi, których uważa za roboty szturmowe Imperium. Potem pojawia się policja, to znaczy prawdziwy policjant, czego nie przewidywał scenariusz, tylko wezwała go starsza pani, którą nieomal przejechaliśmy. To było świetne, bo nie mieliśmy jeszcze wymyślonego zakończenia. ★★½

*Rzyga się tylko dwa razy* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2008). Przełomowe dzieło! To pierwszy z wielu naszych filmów, w których wykorzystaliśmy pacynki zrobione ze skarpet. James Błąd, brytyjski superszpieg, budzi się w łóżku z piękną kobietą, która okazuje się skarpetkową pacynką. Wiemy, że to tajemnica już w chwili, gdy James mówi: „Najpiękniejsze w tobie jest to, że nie jesteś skarpetkową pacynką”. ★★½

*Kota-blanca* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2008). Problem z kotami jest taki, że nie potrafią grać. ★

*2002* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2009). Obejrzenie *2001. Odysei kosmicznej* było wyzwalającym doświadczeniem. Jeśli *Aguirre, gniew boży* nauczył nas, że film może się obejść bez szczęśliwego zakończenia, to *Odyseja kosmiczna* przekonała nas, że film w ogóle nie potrzebuje fabuły, a kilka scen może się składać wyłącznie z wirujących kolorowych plam światła. Pod względem estetyki to nasz najambitniejszy film, co sprawia, że najgorzej się go ogląda. ★★½

*Kota-strofa Posejdona* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2010). Koty nie tylko nie potrafią grać, ale także

nie cierpią nosić ubrań. ★★ ★<sup>1/2</sup>

## ROZDZIAŁ 16



# MAM NADZIEJĘ, ŻE TO JUŻ OSTATNI Z LICZNYCH I BEZSENSOWNYCH WĄTKÓW OPOWIEŚCI O EARLU

*Earl, gniew boży II* był naszym pierwszym filmem, potem nakręciliśmy jeszcze czterdzieści jeden. Zdjęcia kończyliśmy zawsze tym samym rytuałem: wypalaliśmy film na dwóch płytach DVD, kasowaliśmy nagranie z twardego dysku na komputerze taty, a ja zanosłem nieobrobiony materiał filmowy do śmietnika za naszym domem, podczas gdy Earl palił papierosa. Mama obserwowała to z dezaprobatą. Uważała, że nagrania przydadzą nam się później, a poza tym, choć tolerowała palenie, nie była jego największą fanką. Ale przymykała oko na nasz rytuał, bo nie miała innego wyboru.

Nie chcieliśmy nikomu pokazywać naszych filmów. Nikomu. Nawet mamie czy tacie. Nie mogliśmy ufać ich ocenie. Kolegom z klasy też nie. Mieliśmy gdzieś ich opinie, szczególnie po katastrofalnym pokazie *Aguirre, gniew boży*. A w ogóle to z nikim z klasy tak naprawdę się nie przyjaźniliśmy.

Earl miał gdzieś przyjaźnie. Byłem jego najbliższym kumplem, ale i tak spędzaliśmy czas razem właściwie tylko wtedy, gdy kręciliśmy filmy. W gimnazjum Earl zaczął być samotnikiem. Nie wiem, dokąd chodził, ale nie było go u mnie ani u niego w domu. Przez pewien czas zażywał narkotyki, ale w tę sprawę mnie nie wtajemniczył. Nie trwało to długo. Kiedy kręciliśmy dwa z naszych filmów: *Idź, Lola, idź* (2008) i *I.Ty.* (2008), cały czas był naćpany, ale potem szybko się pozbierał. W ósmej klasie ograniczył się do papierosów. Pozostał jednak samotnikiem i czasem nie widywałem go całymi tygodniami.

A ja w gimnazjum nie potrafiłem się z nikim zaprzyjaźnić. Nie wiem dlaczego. Gdybym wiedział, pewnie bym się z kimś zaprzyjaźnił. Z reguły nie interesowałem się tym, czym interesowali się inni. Większość uprawiała jakiś sport albo słuchała muzyki, a tych dwóch rzeczy po prostu nie potrafiłem zrozumieć. Muzyka interesowała mnie tylko o tyle, o ile dało się ją wykorzystać jako ścieżkę dźwiękową do filmu, a jeśli chodzi o sporty, to niby po co miałbym oglądać ciurkiem przez trzy godziny, jak jacyś faceci rzucają do siebie piłkę albo próbują się przewrócić? Totalna strata czasu. Nie

chcę się wymądrzać, więc powiem tylko, że naprawdę trudno mi wyobrazić sobie coś durniejszego niż sport.

Dlatego z nikim nie łączyły mnie wspólne zainteresowania. A dokładnie, nie potrafiłem nawiązać rozmowy. Nie rozumiałem żartów, które nie odwoływałyby się do jakiegoś filmu, dlatego w towarzystwie innych często panikowałem i próbowałem powiedzieć coś super hiperinteresującego, a wychodziło mi coś takiego:

1. Zauważyliście, że ludzie wyglądają jak gryzonie albo jak ptaki? Można ich w ten sposób sklasyfikować, na przykład ja mam bardziej szczurzą twarz, a ty wyglądasz jak pingwin.
2. Gdyby to była gra wideo, mógłbyś zniszczyć wszystko w tym pokoju i z każdego mebla wyleciałyby banknoty, a ty nawet nie musiałbyś ich zbierać, wystarczyłoby, żebyś po nich przeszedł, a na twoim koncie bankowym byłoby pełno kasy.
3. Gdybym mówił takim głosem jak wokalista z któregoś oldskulowego zespołu rockowego, na przykład z Pearl Jam, wszyscy uznaliby, że wałęnałem się mocno w łepetynę. Więc czemu temu facetowi z Pearl Jam uchodzi to na sucho?

Na tak frapujące tematy można porozmawiać z przyjacielem, ale nie z kimś, z kim próbujemy prowadzić uprzejmą rozmowę. Z jakiegoś powodu nigdy nie dotarłem do etapu przyjaźni. Kiedy dostałem się do liceum i opanowałem podstawy trudnej sztuki konwersacji, postanowiłem, że nie chcę się już z nikim przyjaźnić. Oprócz Earla, którego, jak wspomniałem, uważałem za swojego współpracownika.

A dziewczyny? Zapomnijmy o dziewczynach. Nie miałem najmniejszych szans u żadnej z nich. Szczegóły znajdziecie w rozdziale trzecim pod tytułem *Żenujący rozdział, który jak najszybciej chcę mieć z głowy*.

No więc nikomu nie pokazaliśmy tych filmów.

## ROZDZIAŁ 17

# W GABINECIE PANA MCCARTHY'EGO

Pan McCarthy to jeden z niewielu sensownych nauczycieli w Benson. Jest jeszcze młody i wydaje się zupełnie odporny na dołujące okoliczności pracy w liceum. Większość młodych nauczycieli w Benson płacze przynajmniej raz dziennie. Pozostali są dość typowymi, głupawymi tyranami. Pan McCarthy jest jedyny w swoim rodzaju.

Jest biały, ale goli głowę, a na przedramionach ma pełno tatuaży. Nic nie ekscytuje go bardziej niż fakty. Kiedy któryś uczeń w czasie lekcji powołuje się na jakiś fakt, on uderza pięścią w pierś i krzyczy: „Święta prawda”, a czasem: „Szacun dla nauki”. Jeśli ktoś wygaduje bzdury, krzyczy: „Fałsz!”. Przez cały dzień popija wietnamską zupę prosto z termosu i za każdym razem powtarza, że w ten sposób „zasięga porady wyroczni”. Bardzo rzadko, kiedy naprawdę go coś zafascynuje, udaje psa. Zazwyczaj jest niesamowicie wyluzowany i czasem prowadzi lekcję na bosaka.

Pan McCarthy to jedyny nauczyciel, z którym łączy mnie coś na kształt przyjaźni. Niekiedy pozwala mnie i Earlowi zjeść obiad w swoim gabinecie. Earl zwykle jest wtedy w ponurym nastroju. Musi chodzić na douczanie z bandą półgłówków. Douczanie odbywa się w salach na poziomie B, czyli głęboko w piwnicy.

Tak na marginesie to Earl jest tak inteligentny, że mógłby mieć same piątki. Nie mam pojęcia, czemu zapisał się na douczanie, ale gdybym chciał wiedzieć, co myśli sobie Earl, gdy podejmuje decyzje, musiałbym przeczytać ze dwadzieścia książek, więc nie zamierzam sobie zaprzętać tym głowy. Wydaje mi się, że po siódmej lekcji, po czterogodzinnej konfrontacji z bezdenną głupotą, Earl ma już tylko ochotę podciąć sobie żyły. Przez pierwsze dziesięć minut na moje słowa reaguje tylko gniewnym kręceniem głową. Potem mu przechodzi.

– Spędzasz teraz więcej czasu z tą dziewczyną – powiedział po moim niefortunnym obiedzie w stołówce.

– Tak.

– Mama wciąż cię do tego zmusza?

– Można tak powiedzieć.

– Twoja przyjaciółka umrze.

– Uchhh. – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. – Ma raka. Ale uważa, że nie umrze, więc jest mi głupio, bo kiedy się z nią spotykam, przez cały czas myślę: „Umrzesz, umrzesz, umrzesz”.

Earl miał pokerową twarz.

– Wszyscy umrzemy – powiedział to z mocnym akcentem, ale na piśmie nie da się tego odtworzyć. Pismo ma swoje mankamenty i wkurza mnie to.

– Tak – przyznałem.

– Wierzysz w życie po śmierci?

– Nie bardzo.

– Mmm, myślę, że wierzysz – odparł Earl z przekonaniem.

– Nieprawda.

– Nie możesz nie wierzyć w życie po śmierci.

– To... to podwójna negacja – powiedziałem, żeby wyprowadzić go z równowagi. To było głupie, bo nie powinno się nikogo dla zabawy wyprowadzać z równowagi.

– Stary, wal się. Myślisz, że ciebie ta sprawa nie dotyczy?

Jedliśmy. Earl zjadł obiad złożony ze skittles, chipsów, ciasteczek i coli. Ja podjadałem jego ciasteczka.

– Nikt nie potrafi sobie wyobrazić tego, że kiedyś umrze. Nie można wierzyć w to, że kiedyś nie będzie się żyło.

– Ale masz mózgownicę.

– W twoją mózgownicę to cię zaraz kopnę – zagroził Earl, bez powodu mocno tupiąc.

Do gabinetu wszedł pan McCarthy.

– Greg. Earl.

– Co słyhać, panie McCarthy?

– Earl, jesz na obiad same śmieci.

Pan McCarthy był jedną z czterech osób na świecie, które mogły powiedzieć coś takiego i nie doprowadzić Earla do szału.

– Przynajmniej nie piję jakiejś ohydnej zupy z glonami i mackami prosto z termosu.

Z jakiegoś powodu w tamtym czasie mieliśmy z Earlem obsesję na punkcie macek.

– Wpadłem tu, żeby nakarmić wyrocznie.

Wtedy zauważyliśmy na biurku talerz z gorącą zupą.

– W pokoju nauczycielskim wymieniają instalację elektryczną – wyjaśnił pan McCarthy. – A to, drodzy chłopcy, jest źródło wszelkiej mądrości. Spójrzcie w odmęty wyroczni.

Zajrzeliśmy do wielkiego talerza z zupą. Earl bardzo adekwatnie ją opisał. Makaron wyglądał jak

macki, a między nimi wily się rozmokłe, postrzępione, liściaste paprochy. Wyglądało to jak jakiś ekosystem. Spodziewałem się, że w każdej chwili spod liści wypełzną ślimaki.

– Ta zupa nazywa się pho – powiedział pan McCarthy.

Jak się okazuje, „pho” wymawia się jak „fu”.

– Mogę spróbować? – zapytał Earl.

– Nie – odparł pan McCarthy i dodał: – Nie wolno mi częstować was jedzeniem. To jedna z tych rzeczy, których nauczycielom surowo się zabrania. Szkoda. Ale jak chcesz, Earl, to polecę ci pewną wietnamską restaurację. Smaki Sajgonu Thuyena w Lawrenceville.

– Jeszcze nie zwariowałem, żeby jeść w Lawrenceville – oznajmił Earl z pogardą.

– Earla nie da się zaciągnąć do Lawrenceville – wyjaśniłem.

Odkryłem, że kiedy jestem z Earlem i jest z nami ktoś jeszcze, bardzo bawi mnie opisywanie zachowania mojego kumpla, szczególnie jeśli polega to na parafrazowaniu tego, co właśnie powiedział. Wyglądało to tak, jakby miał irytującego asystenta, który tak naprawdę do niczego się nie nadaje.

– Nie mam kasy na jedzenie w restauracjach.

– Earl nie ma pieniędzy odłożonych na ten cel.

– Chciałem zjeść trochę zupy tutaj.

– Earl miał nadzieję, że podzieli się pan z nim zupą.

– Nie ma mowy – ogłosił radosnym tonem pan McCarthy, zasłaniając talerz. – Greg, podaj mi jakiś fakt.

– Mmm... Jak większość wietnamskich potraw, zupa pho zawiera elementy kuchni francuskiej, szczególnie bulion, który robi się na bazie wywaru zwanego *consommé*. – Wstyd się przyznać, ale ten fakt znam dzięki programom kulinarnym.

– Szacun dla nauki! – huknął pan McCarthy. – Greg, tę wiedzę zdobyłeś w pocie czoła. – Napiął prawy biceps i uderzył w niego lewą pięścią. – Trzymaj ten poziom.

Był strasznie podkrecony i troszeczkę szczyrzył zęby. Wydawało mi się, że zaraz się na mnie rzuci. Tymczasem popatrzył na Earla.

– Earl, jeśli zmienisz zdanie, możesz powiedzieć Thuyenowi, żeby zapisał twoją zupę na mój rachunek. Dobra?

– Dobra.

– Zresztą on gotuje znacznie lepszą pho niż ja.

– Dobra.

– Panowie.

– Panie McCarthy.

Kiedy tylko pan McCarthy wyszedł, wzięliśmy papierowe kubki i spróbaliśmy jego zupy. Smakowała nawet-nawet. Trochę jak rosół, ale z dziwnym posmakiem, którego nie potrafiliśmy jednoznacznie opisać. Coś jakby połączenie czosnku z lukrecją. Nie powaliła nas na kolana. Przynajmniej nie na początku.

Poczułem się dziwnie, zadzwonił dzwonek na koniec lekcji. Wstałem i krew napłynęła mi do głowy, a przed oczami stanęła ta dziwna, półprzezroczysta, brązowa ściana, która staje przed oczami, gdy krew napływa do głowy. Stałem nieruchomo, póki to wrażenie nie minęło. Miałem jednak otwarte oczy i gapiłem się na Liv Ryan, pierwszą dziewczynę w naszej szkole, która zrobiła sobie operację plastyczną nosa. Mój wzrok powędrował w stronę jej biustu.

Przez półprzezroczystą brązową ścianę dobiegały do mnie słowa Liv. Słyszałem je wyraźnie, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłem poskładać ich w całość. Nie miałem pojęcia, co się, do cholery, dzieje.

– Greg, masz z czymś problem? – powtórzyła Liv i tym razem udało mi się zrozumieć, co mówi, jej piersi również zaczęły powoli nabierać kształtu.

– Krew – odparłem. – Moja, yyy, głowa.

– Co? – zapytała Liv.

– Zamroczyło mnie – powiedziałem.

Z trudem wydobywałem z siebie słowa. Zdałem sobie też sprawę, że wyglądam i zachowuję się jak czubek. Mówiłem nosowym głosem, jak gdyby moja twarz w osiemdziesięciu procentach składała się z nosa.

– Krew napłynęła mi do głowy i mnie zamroczyło – wyjaśniłem, choć może nie wymówiłem wszystkich słów poprawnie i we właściwej kolejności.

– Greg, nie wyglądasz dobrze – powiedział ktoś stojący obok.

– Możesz przestać się na mnie gapić? – spytała Liv takim tonem, że aż mnie sparaliżowało ze strachu.

– Muszę lecieć – wymamrotałem.

Uświadomiłem sobie, że powinienem podnieść torbę, i poruszyłem nogami. Wtedy upadłem.

Pewnie nie muszę wam mówić, że nie ma nic śmiesznieszego w Benson i we wszystkich innych szkołach na świecie niż czyjś upadek. Nie twierdzę, że to wyrefinowany, inteligentny żart. Ale twierdzę, że licealiści uważają upadanie za najśmiesznieszą rzecz pod słońcem. Nie wiem, czemu tak jest, ale tak właśnie jest. Kiedy ludzie widzą coś takiego, zupełnie tracą nad sobą panowanie. Niekiedy oni też się przewracają, a wtedy wraz z nimi upada cały świat.

Upadłem. Normalnie poradziłbym sobie w takiej sytuacji. Wstałbym i się uklonił albo jakoś ironicznie to skomentował. Ale tym razem nie czułem się normalnie. Nie mogłem normalnie myśleć.

– Wszyscy się z ciebie śmieją – podpowiadał mi mój mózg, zamiast dostarczyć jakichś istotnych

informacji albo zaproponować plan działania. – Bo się wywalileś jak długi!

Mój mózg mnie zawiódł. Spanikowałem. Podniosłem torbę, rzuciłem się w kierunku drzwi i w konsekwencji wyglebiłem się drugi raz.

Wszyscy wokół śmiali się tak, jakby za chwilę mieli puścić pawia. Otrzymali podarek od Bogów Komedii: pocieszny grubasek się przewraca, wpada w panikę, rzuca się w stronę drzwi i pada na podłogę po raz drugi.

Udało mi się wygramolić na korytarz, który wyglądał na trzy razy dłuższy niż zazwyczaj. Poza tym kłębił się w nim tłum. Płynąłem w morzu ludzkich ciał i próbowałem jakoś opanować panikę. Mijały mnie twarze, które, jak mi się wydawało, gapiły się tylko na mnie. Próbowałem wtopić się w tłum, ale nigdy w życiu nie czułem się tak wystawiony na widok publiczny. Byłem Człowiekiem Nosem i Upadłym Chłopakiem.

Wyjście na zewnątrz zajęło mi pewnie pięć minut, choć dla mnie trwało godzinę, i to godzinę prawdziwego piekła. Potem, gdy wyszedłem z budynku i stanąłem na schodach, dostałem SMS:

w tej zupie były narkotyki. spotkajmy się na parkingu

To był Earl.

– McCarthy przygotowuje sobie zupę marihuaną – syknął.

Dopiero po chwili to do mnie dotarło.

– Człowieku, musiał wpięprzyć tam pół tony trawy – dodał Earl. – Bo zjadłem tylko troszkę. Ale ty wzięłeś dokładkę. Musisz być kompletnie zjarany.

– Oj, tak – przyznałem.

– Wyglądasz na nieźle upalonego.

– Przewróciłem się.

– Cholera – powiedział Earl. – Szkoda, że nie widziałem.

A więc tak wygląda haj. Wcześniej tylko raz próbowałem zapalić marihuanę, na imprezie u Dave’a Smeggersa, ale nic nie poczułem. Może nie paliłem jej, jak trzeba.

– Chodźmy do ciebie do domu coś przekąsić – zaproponował Earl.

– Okej – odparłem i ruszyliśmy w drogę.

Jednak im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym gorszym pomysłem mi się to wydawało. Wyglądałem jak ćpun na haju! Tak twierdził Earl! Więc gdybym wrócił do domu, rodzice od razu by się zorientowali, że brałem narkotyki! Kurwa! Musielibyśmy o tym porozmawiać! A ja nie dałbym rady rozmawiać na żaden temat! Nie mogłem nawet myśleć za pomocą słów! Z jakiegoś powodu oczyma wyobraźni widziałem tylko borsuka! Ten borsuk był super!

Poza tym musiałbym zmyślić jakieś kłamstwo, bo nie chciałem, żeby przeze mnie pan McCarthy



miał kłopoty. Co miałem powiedzieć? Że jakiś ćpun z liceum zmusił nas, żebyśmy się upalili? Przecież to niedorzeczne. Gdzie mogliśmy się upalić, żeby brzmiało to przekonująco? A co ważniejsze: jak miałem dojść do autobusu i nie wyglebić się przy tym kolejny raz?

– Czy McCarthy zachowuje się w czasie lekcji jak zjarany? – zapytał Earl. – Bo to mocarny towar. Umieram z głodu. Cholera.

Earl był w doskonałym nastroju. Ale ja nie. Martwiłem się, co powiedzą rodzice, a poza tym wydawało mi się, że cała ulica się na nas gapi. Chodnikiem szło dwóch naćpanych gówniarzy! Odlecieliśmy na maksa! Wydawało mi się, że na środku twarzy zamiast nosa mam balon! Balon wypełniony smarkami! I jak tu wtopić się w tłum?! Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że w rozgrywkach o puchar dla najbardziej interesującego przechodnia nie doszlibyśmy do fazy finałowej (Ha, ha! „Faza finałowa”. Rozumiecie? Ale jaja, co nie? Oczywiście żartuję. To żenujący dowcip. Właśnie z powodu takich żartów ludzie nienawidzą palących trawę).

– Czy McCarthy zachowuje się jak zjarany? – powtórzył Earl. – Na lekcjach.

– Nie, raczej nie – odparłem. – No może. Trochę. Chyba tak. Można... Właściwie to nie. No wiesz. Nie potrafiłem nawet złożyć jednego zdania. Moja wypowiedź na chwilę uciszyła Earla.

– Cholera, kolego – powiedział wreszcie. – O cholera.

Jechaliśmy autobusem do domu, gdy dostałem następny SMS:

idę jut na chemtrp. chcesz się pożegnać z moimi włosami?:)

Ze wstydem muszę się przyznać, że odcyfrowanie tej wiadomości zajęło nam całą drogę do domu. Przede wszystkim nie zorientowaliśmy się, że „jut” i „chemtrp” to skróty. Wydawało nam się, że to bezsensowne słowa. Powtarzaliśmy je na głos.

– Jut na chemtrp.

– Dżutnaczemtrp.

– Rzut na czerep.

– Ha... ha... ha.

– He, he.

– Ale tak serio, to co?

– He, he.

– Ale jaja.

Wreszcie kiedy wysiadaliśmy, Earl rozwiązał zagadkę.

– Chemioterapia – powiedział.

– Ochhhh.

– Twojej dziewczynie wypadną włosy.

– Co?

– Chemioterapia. Dostajesz zastrzyk z chemikaliów i wypadają ci włosy.

Wydało mi się to kompletnie niedorzeczne, choć wiedziałem, że to prawda.

– Ochhhhh.

– I mdli cię jak cholera.

No nie – pomyślałem – wpadłem jak śliwka w kompot. Zacząłem się zastanawiać nad sformułowaniem „śliwka w kompot”. Po chwili wyobraziłem sobie śliwkę z twarzą Madison Hartner i jej piersiami. Bardzo mnie to rozbawiło.

– Chłopie – powiedział Earl z troską w głosie.

– Co?

– Z czego się śmiejesz?

– Uchhh.

– Chemioterapia to poważna sprawa. Nie wolno się z tego śmiać.

– Nie o to chodzi, ja tylko... Myślałem o czymś innym. – Rany, ale miałem mętlik w głowie.

– Odpiszesz jej? Napiszesz, że przyjedziemy.

Nie byłem pewien, czy to pytanie.

– Może?

– No przecież musimy się zobaczyć z twoją przyjaciółką, półgłówku.

– Okej. Okej.

– No to pisz, że przyjdiesz z Earlem.

Pisanie zajęło mi mnóstwo czasu i w końcu napisałem coś takiego:

okaj super! moge przyjś z przyjacielem earlem fajnym polubisz go???

Jezu Chryste miotający ogniem. Z pewnością mnóstwo osób uwielbia narkotyki, ale przysięgam, że Greg Gaines do nich nie należy.

## ROZDZIAŁ 18

# NIE MA NIC GORSZEGO NIŻ NARKOTYKI

Pierwszą przeszkodą była Denise.

– Cześć, Greg – przywitała się. Była trochę zamyślona. Z zaciekawieniem przyglądała się Earlowi, jakbym stanął na progu jej domu z lamą na smyczy. – A któż to?

Odpowiedzieliśmy obaj jednocześnie.

– Słucham?

Tym razem obaj milczeliśmy.

– Jestem Denise – przedstawiła się w końcu Denise.

– Earl Jackson – powiedział Earl trochę za głośno.

Przyglądałem mu się z niepokojem. W rozmowach z dorosłymi Earl jest często oschły i agresywny. Wiedziałem, że to się nie spodoba Denise, więc zacząłem mówić. Popełniłem tym samym błąd taktyczny.

**Co powiedziała w pełni przytomny Greg:** „Earl to mój dobry przyjaciel i chciałby dodać Rachel otuchy. Czy ona jest w swoim pokoju?”.

**Co powiedział zjarany Greg:** „Earl to mój najlepszy... Earl to jeden z moich najlepszych przyjaciół. Właśnie się spotkaliśmy i nic nie robiliśmy, było fajnie. No i. Eeeee. No i Rachel przysłała SMS o wypadaniu włosów, to znaczy jeszcze jej nie wypadły oczywiście, więc przyszliśmy obejrzeć jej włosy. No i posiedzieć z nią! Nie tylko obejrzeć włosy, bo, no właśnie, włosy to tylko włosy. Bez też będzie świetnie wyglądała. Więc chcieliśmy z nią tylko posiedzieć. Zapytać, co u niej słyhać... i tak dalej”.

Pod koniec tego monologu oblał mnie zimny pot. Tymczasem Earl nawet nie próbował ukryć swojego oburzenia. Schował twarz w dłoniach i powiedział coś, co brzmiało jak: „Niech to szlag”.

– Oke-e-e-e-ej – powiedziała wreszcie Denise trochę niepewnie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Rachel jest w swoim pokoju? – zapytałem w końcu.

– Tak, tak, jasne – powiedziała Denise i odpędziła nas gestem, a my czym prędzej się stamtąd ulotniliśmy.

Potem na przeszkodzie stanęły nieufność Rachel do Earla, a także nasze ponarkotykowe i bezprecedensowo kretyńskie zachowanie.

– Nie do końca zrozumiałam twój SMS – powiedziała Rachel i z niepokojem patrzyła na Earla.

Naszło mnie okropne przeczucie, że Rachel mu nie ufa, bo jest czarny, choć czułem się podle, podejrzewając o rasizm dziewczynę, która miała najpierw stracić włosy, a potem życie.

– Earl to superkumpel – oznajmiłem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Tak, wiem, wysyłacie sobie wulgarne SMS-y.

Dopiero po długiej i niezręcznej chwili milczenia zdałem sobie sprawę, że to była jedyna rzecz, którą powiedziałem Rachel o Earlu, a kiedy sobie to wreszcie przypomniałem, Earl przejął już inicjatywę.

– Co słyhać?

– Cześć, Earl.

Milczenie.

– Fajny pokój.

– Dzięki. Greg uważa, że za bardzo dziewczynski.

Wiedziałem, że powinienem zabrać głos, więc krzyknąłem:

– Nieprawda!

– No jasne, że jest dziewczynski – powiedział Earl. – W moim pokoju nie wisi na ścianie James Bond w... stringach.

**Co powiedziałby w pełni przytomny Greg:** „Tak, Earl woli zdjęcia gołego Jamesa Bonda”.

**Co powiedział zjarany Greg:** „Ha, ha, ha”.

Długie milczenie.

– Jutro zaczynam chemioterapię.

– Hm, kaszana.

– Chłopie, co z tobą? – Earl mnie szturchnął.

– Co?

– Nie mów, że to kaszana.

– Yym... no tak, racja.

– Trochę tak – powiedziała Rachel.

– Tak, ale jednocześnie to bardzo dobrze.

– Chyba tak.

– Jeśli się wcześniej zacznie leczenie, to są duże szanse na wyzdrowienie – skwitował Earl ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– No tak. – Rachel też spuściła głowę.

Prawdopodobnie jej milczenie stanowiło oznakę rasizmu.

Rachel i Earl najwyraźniej się nie dogadywali. Musiałem wkroczyć do akcji. Niestety nie miałem pojęcia, co robić. Chwila ciszy przedłużała się w nieskończoność. Rachel wciąż wpatrywała się w podłogę. Earl zaczął wzdychać. No, na pewno nie była to świetna impreza. Raczej była to najmniej zabawna ze wszystkich możliwych sytuacji towarzyskich. Lepiej byłoby nawet, gdyby do pokoju Rachel wpadli terroryści i próbowali utopić nas w humusie. Ten pomysł sprawił, że zacząłem rozmyślać o humusie. Co to właściwie jest humus? Jakaś pasta. Kto w ogóle jada pasty? Szczególnie pasty, które przypominają kocie wymiociny? Trudno nie dostrzec tego podobieństwa. W każdym razie, gdy Cat Stevens puszcza pawika, jego wymiociny przypominają humus.

Jakiś głos w mojej głowie pytał: „Dlaczego uparcie porównujesz jedzenie do wymiotów? Najpierw opowiedz o obcych w stołówce, a teraz to. Może masz jakiś problem?”.

Wtedy usłyszałem własny chichot. Brzmiał tak, jakbym się czegoś bał i strasznie denerwował. Był znacznie gorszy niż zwyczajny beztroski chichot. Earl się wkurzył.

– Przestań, do cholery, chichotać.

Ale Rachel zareagowała jeszcze gorzej.

– Możecie sobie iść, jeśli chcecie – powiedziała takim tonem, jakby zaraz miała się rozpłakać.

To było okropne. Poczuję się jak kompletny kretyn. Nadszedł czas, by wyznać całą prawdę.

– Jesteśmy na haju – wymamrotałem.

Earl znowu ukrył twarz w dłoniach.

– Co? – zapytała Rachel.

– Przez przypadek zażyliśmy narkotyki.

– Przez przypadek?

Nadszedł czas, by wyznać niecałą prawdę. A właściwie nadszedł Czas na Kłamstwo.

– Urwał mi się film. Nie pamiętam, co się stało.

– Wcale nie urwał ci się film – warknął Earl.

– Właśnie, że obu nam się urwał.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Dlaczego zażyliście narkotyki? – zapytała Rachel.

– Nie wiem! – powiedziałem. – Nie wiem.

Earl już otworzył usta, pewnie żeby powiedzieć coś o panu McCarthym. Ale ja naprawdę nie

chciałem, żeby go wylali z pracy. Więc zacząłem nawijać.

– Weszliśmy do kibla i tam stało kilku chłopaków, tych, co to palą trawę, i zapytali nas, czy chcemy zajarać, a my najpierw odpowiedzieliśmy, że nie, nie chcemy waszej, no, trawy, no to oni się wkurzyli i zaczęli mówić: lepiej zapalcie trochę tej trawy albo, no, spuścimy wam wpierdol, a ich było ze dwudziestu, no to powiedzieliśmy: okej, dobra, i zajaraliśmy z nimi, no a potem nie pamiętam, co się stało, bo urwał mi się film.

### **Gołym okiem dostrzegalne dziury w historii, którą właśnie zmyśliłem – niepełna lista:**

1. Nigdy w życiu nie poszliśmy z Earlem razem do kibla, pewnie dlatego, że byłoby to dziwne.
2. W naszej szkole kolesie jarający zioło nigdy nie robią tego w kiblu. Jarają w starym nissanie altima jakieś dwie przecznice od szkoły. Przesiadują w nim przez kilka godzin, a czasem kilka dni.
3. Żaden jaracz w całej historii świata nie zmusił nikogo do wspólnego jarania. Tak naprawdę wielu z nich jest raczej zachwyconych, gdy nie muszą się dzielić towarem.
4. Było ich dwudziestu? W jednym kiblu? Dwudziestu jarających trawę ziomów? Równie dobrze mogłem powiedzieć, że było ich stu. Albo kwadrylion. Rany.
5. O co chodzi z tym „urwanym filmem”? Co to w ogóle znaczy?

No więc snułem tę historyjkę, a Earl siedział cicho. Rachel patrzyła na niego, czekając na potwierdzenie moich słów. W końcu Earl się odezwał:

– Właśnie tak było.

Wyraźnie go to wkurzyło. Wyszliśmy na debili. Ale przynajmniej Rachel nie wyglądała już tak, jakby chciało jej się płakać. Nasza opowieść chyba nawet ją rozbawiła.

– Nienawidzę narkotyków – powiedziałem. – Czuję się jak ostatni dupek. Przepraszam, że przyszliśmy na takim haju.

– Zamknij swoje głupie ryło – warknął Earl. – Wydaje ci się, że teraz Rachel czuje się lepiej? Bo ją przeprosiłeś? Zamknij się.

– Okej – powiedziałem.

– Rachel – kontynuował Earl, który teraz postanowił przejąć stery. Ulżyło mi, bo kiedy Earl przejmuje stery, dzieją się same dobre rzeczy. – Przyszliśmy tu, żeby życzyć ci zdrowia i dodać otuchy. Chodźmy się przejść, na lody albo coś.

O cholera, doskonały pomysł. A nie mówiłem, że Earl zawsze wpada na świetne pomysły?!

## ROZDZIAŁ 19



# EARL ZDRADZA ZASADY NASZEGO TWÓRCZEGO PARTNERSTWA, KIEDY MOJĄ UWAGĘ ODWRACAJĄ SŁODYCZE

Jak już wspominałem, kiedy Rachel się dowiedziała, że braliśmy narkotyki, rozbawiło ją to bardziej niż najlepszy kawał.

– Greg, nie wiedziałam, że jesteś takim łobuzem – powiedziała.

– Nie jestem.

– To był sarkazm.

– Och.

Siedzieliśmy w cukierni w Shadyside, w której podawano niewiarygodnie pyszne lody i gofry. Mieli tam też specjalne urządzenie miksujące lody z różnymi dodatkami. Już same lody są tam fantastyczne. A lista dodatków, które można do nich domieszać, przyprawia o zawrót głowy. Na przykład pyłek pszczeli. Drugi przykład: papryczki habanero. Czy zamówiłem jedno i drugie? Tak. Czy dodałem je do lodów o najdziwniejszym z dostępnych smaków, czyli likieru Kahlúa? Odpowiedź na to pytanie znajdziecie na pokładzie parowca Tak. Czy gdy zamawiałem pszczeli pyłek, wydawało mi się, że to to samo co miód? Odpowiedzi na to pytanie udzieli wam znany zespół Massive AtTAK.

Dostałem swoje lody, zupełnie odleciałem i na pięć minut straciłem kontakt z rzeczywistością, bo, o mój Boże, te lody były przepyszne. Kiedy powróciłem, wszystko wyglądało inaczej i wiele części mojego ciała się lepiło. Na przykład obie kostki. Earlowi się to nie spodobało.

– Chłopie. Musisz się nauczyć... nie jeść... w taki sposób.

– Mmmh. Przepraszam.

– Ohyda – powiedział Earl, który nie mógł dokończyć swoich lodów. – Rzygać się chce.

– Mmmnh, mam ochotę na jeszcze jednego – oświadczyłem.

– Kup sobie – zachęcała mnie Rachel.

– Nie. Nie powinien.

– Mmmngh.

– Chyba musimy już wracać – powiedział Earl, zakładając plecak na ramię – jeśli mamy coś obejrzyć jeszcze przed kolacją.

– Nnnh, tak? A co obejrzymy?

Earl i Rachel spojrzeli na mnie.

– Chłopie.

– Greg, mamy obejrzyć kilka filmów, które nakręciliście – poinformowała mnie jak gdyby nigdy nic Rachel.

– Nie słuchałeś nas czy co? – zapytał Earl.

– Uch.

– Ohyda.

Nagle w dłoni Earla pojawił się skądś papieros. Nerwowo go zapalił. Rachel chyba wyczuła moje zdenerwowanie.

– Greg, Earl nie ma nic przeciwko temu. Naprawdę nie chcesz mi pokazać tego, nad czym tak ciężko pracowaliście?

Odpowiedź na to pytanie leżała zamknięta na cztery spusty w sejfie, głęboko w brzuszysku statku kosmicznego Jasny Gwint Oczywiście Że Nie.

W idealnej sytuacji mógłbym odciągnąć Earla na stronę i przedstawić mu następującą listę:

## I. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

1. Czy właśnie zaproponowałeś Rachel, żeby obejrzała nasze filmy?

1. Najwyraźniej stało się to wtedy, gdy jadłem lody.

2. A może się mylę?

2. Przecież już dawno postanowiliśmy, że tych filmów nikomu nie pokazemy.

1. Nie są dość dobre, żeby je komuś pokazywać.

2. Może któregoś dnia nakręcimy coś godnego pokazania innym.

3. Ten dzień z pewnością jeszcze nie nadszedł.

3. Choleracholeracholera. Ty kutafonie.

## II. Dlaczego, do cholery, to robisz?

A. Bo ona umiera?

1. To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

2. Do cholery! Earl.

B. A może zmieniłeś zdanie i uważasz, że nasze filmy są dobre?

1. Niestety nie są.

2. Prawda?

3. Nie mamy budżetu, dobrego oświetlenia ani niczego.

4. W wielu z nich po prostu walimy ściemę!

5. Zasadniczo zachowujemy się w nich jak przygłupy.

III. Earl, ty bałwanie.

A. Teraz zachowujesz się jak palant.

B. Wielki palant.

C. Błagam, nie chcę dostać kopniaka w głowę z półobrotu.

1. Au!

2. Szlag!

Nie potrafiłem jednak tego powiedzieć. Pokiwałem tylko głową, zrobiłem dobrą minę do złej gry. Ich było dwoje, ja byłem jeden. Tak naprawdę nie miałem wyboru.

Poszliśmy do domu. Przynajmniej zacząłem znowu czuć się sobą, ale to nie wynagrodziło mi w pełni totalnej zdrady Earla i upokorzenia, które już wkrótce nas czekało. To chyba najlepszy dowód na to, że wszyscy, nawet wybuchowy filmowiec o nędznym wzroście, całkiem głupieją w obecności umierającej dziewczyny.

## ROZDZIAŁ 20

# BATMAN KONTRA SPIDERMAN

*Batman kontra Spiderman* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2011). Batman kocha nietoperze. Spiderman kocha pająki. Batman nosi pod swoim strojem kilka warstw ubrań, żeby wyglądać na większego mięśniaka. Spiderman jest szybki i żyłasty, a już na pewno trochę bardziej nerwowy. Nietoperz i pająk nigdy nie byli wrogami... aż do teraz!!! Właściwie nadal nie są wrogami. Producent filmowy zamknął ich w jednym pokoju i nie wypuści, póki jeden z nich nie skopie tyłka drugiemu, ale im nie chce się walczyć. No to sobie siedzą, bezskutecznie próbując naprawić broń. ★★★½

Nie spodziewaliśmy się tak pozytywnej reakcji krytyki na film *Batman kontra Spiderman*. Przyznaję, że recenzentka nie była surowa. Przez cały pokaz bez przerwy się śmiała i nie robiła notatek. Na pewno nie zauważyła beznadziejnego oświetlenia i problemów ze światłocieniem i kostiumami. Na przykład tego, że kiedy zacząłem się pocić, zniknęły uszy Batmana, które zrobiłem, stawiając włosy na piance.

No tak. Czułem się dziwnie, gdy tak siedziałem i oglądałem jeden z naszych filmów w obecności osoby trzeciej. Przez pierwsze dwie–trzy minuty gadałem bez przerwy, wyjaśniając wszystko.

– Okej, to ujęcie przedstawia kilka rysunków, które zrobiliśmy, bo próbowaliśmy odtworzyć typową czołówkę z ekranizacji komiksów, kiedy... zaraz, zaraz obraz robi się ostry... no tak, więc te filmy zaczynają się od kilku obrazków z komiksu, a teraz... no tak, Earl żuje gumę, bo... nie wiem. A teraz panikuje. Okej. No, ten narysowany chłopak po prawej to Batman, a jeśli bliżej mu się przyjrzyysz, to widać, że to spieprzyliśmy, ale jeśli popatrzyysz w odpowiednim momencie, to widać, że ma dorysowany interes. No, interes, genitalia. Okej, po prawej Spiderman je gofra, który później będzie ważny, bo...

W tym momencie Earl kazał mi się przymknąć.

Siedziałem więc i w milczeniu rejestrowałem wszystkie nasze wpadki, a Rachel wylewała z siebie bezustanny strumień chichotów i parsknięć, przerywany pojedynczymi erupcjami gulgotu jak z gorącego błotnego źródła. To było dziwne doświadczenie. Nie wiedziałem, jak mam to rozumieć. Myślę, że potwierdziło się moje podejrzenie, że twórca filmu nie powinien go oglądać ze znajomymi, bo ich opinie i tak będą stronnicze i bezwartościowe. Przyznaję, cieszyłem się, że doprowadziłem kogoś do śmiechu. Ale czy Rachel uważałaby, że nasz film jest taki zabawny, gdyby nas nie znała?

Wątpię.

Przekonałem się zatem, że pokazywanie innym naszych filmów to pomyłka. Zapłaciliśmy za to bardzo wysoką cenę.

*EARL*

Masz jeszcze wołowinę?

*JA*

Nie, zjadłem kilka dni temu.

*EARL*

Cholera.

## ROZDZIAŁ 21

# DWAJ SPEDAŁENI KOLESIE

Następnego dnia Rachel pojechała do szpitala, żeby tam nafaszerowali ją lekami, cząsteczkami radioaktywnymi i nie wiadomo czym jeszcze. Jak mało wiedziałem o tym, co mnie czeka. Już wkrótce miałem wylądować w tym samym szpitalu.

Kurde, właściwie dlaczego piszę „jak mało wiedziałem”? W ogóle nie wiedziałem, że wyląduję w tym samym szpitalu, bo przecież nie potrafię przewidywać przyszłości. Dlaczego niby miałbym to przeczuwać? „Jak mało wiedziałem”. Po prostu żal.

Właściwie możecie na chybił trafił wybrać jakieś zdanie z tej książki, kilka razy je przeczytać i na pewno najdzie was ochota na popełnienie morderstwa.

Rachel pojechała do szpitala, a ja zostałem z Earlem w domu i oglądaliśmy nikomu nieznanym brytyjski film *Withnail i ja*, o dwóch aktorach, którzy przez cały czas są pijani i naćpani. Spędzają szalone wakacje na wsi i prawie umierają z głodu. Potem pojawia się wujek jednego z nich i próbuje zaciągnąć tego drugiego do łóżka. Zabieraliśmy się do nakręcenia nowego filmu, ale jeszcze nie przysłali nam *Mulholland Drive*, więc znaleźliśmy w kolekcji taty *Withnail i ja*. Okazał się na tyle dobry, że uznaliśmy go za potencjalnego kandydata do remake’u.

Właściwie to ten film był fantastyczny. Withnail, wiecznie pijany, co chwila wywoływał jakąś awanturę, dlatego bardzo przypominał nam Klause Kinskiego w *Aguirre*. Strasznie nam się też spodobało to, że postacie mówiły z różnymi akcentami, które mieliśmy ochotę odtworzyć. Muszę przyznać, że Earl jest lepszy ode mnie w naśladowaniu akcentów, ale to wcale nie znaczy, że jest choć trochę dobry.

– Jak on to mówi? Ten Irlandczyk w barze? „Powiedziałem mu, że jest spedziwiony”?

– Nie. On powiedział: „Powiedziałem mu, że jest spedałowany”.

– Ha!

– Spedałowaaanyyy!

– Och, człowieku. Powiedział coś innego, ale twoja wersja śmieszy mnie o wiele bardziej.

W jednej ze scen aktorzy co chwila powtarzali słowo „spedałony”. Nawet nam wydało się to trochę wulgarnie. Ale potem Earl słusznie zauważył, że w Ameryce w co drugim zdaniu rzuca się tak



samo obrzydliwe aluzje do sypiania z własną matką.

- Czuję się tak, jakby mi świenia narebiła mnie na głowę.
- Skond mem wiedzieć, gdzie jezdeśmy? Czuję się tak, jakby mi świania narobiła mi na głowę.
- Teraz powiedziałeś to z innym brytyjskim akcentem.
- Tak mówili w *Fish Tank*.

*Fish Tank* to mało znany, niedawno zrobiony film o szalonej młodej Angielce, która mieszka w slumsach. Bardzo nam się spodobał. Daliśmy mu piątkę za akcenty i piątkę z plusem za przekleństwa.

- Więc w naszym filmie...
- W tytule musi się pojawić „spedalony”.
- O, tak. Świetny pomysł. Nazwijmy go *Spedalony buntownik*.
- Że co?
- To takie nawiązanie do innego filmu, *Roztańczony buntownik*.
- Co ty bredzisz?
- No dobra. Nieważne.
- To nie musi być mądry tytuł. Nazwijmy ten film po prostu *Dwóch spedalonych kolesi*.
- Dobrze!
- *Spedalenii kretyni na wakacjach*. Proste jak cholera.
- Idealnie. Ty będziesz Withnailem.
- Withnearlem.
- Tak. Fabuła też będzie dość prosta. Najpierw pijesz na umór, a potem ci odbija.
- Wdychanie gazu do zapalniczek i te sprawy.
- Tak, ta scena będzie super.
- Ja zagram też tego wujka geja. Narysuję sobie wąsy i będę gruby jak świnia. Będę mówił: „Chłopcze, jestem pedałem pierwsza klasa. Jeszcze cię dopadnę”.

Pod koniec filmu Withnail wyje do wilków w zoo. Z jakiegoś powodu bardzo podobała się nam ta scena, więc postanowiliśmy nakręcić ją na samym początku. Tylko że nie mieliśmy wilków. Postanowiliśmy, że Earl będzie wył do Doopie’ego, przerażającego i wielkiego psa Jacksonów. To oznaczało, że musimy jechać do domu Earla.

- Może kiedy skończymy, odwiedzimy Rachel w szpitalu? – zaproponował Earl, gdy wsiadaliśmy na rowery.
- Dobry pomysł – odparłem. – Nie wiem tylko, czy dziś wolno ją odwiedzać. Nie znam godzin odwiedzin.
- Już dzwoniłem do szpitala – powiedział Earl. – Możemy przyjść, ale nie później niż o siódmej.

Byłem naprawdę zaskoczony i myślałem o tym przez całą drogę do domu Earla. W głębi duszy był o wiele lepszym człowiekiem niż ja. Ale i tak bym go nie podejrzewał, że zadzwoni do szpitala, żeby zapytać o godziny odwiedzin. Oczywiście pięciominutowa rozmowa telefoniczna to żaden wyczyn, ale uświadomiłem sobie, że ja zrobiłbym coś takiego tylko wtedy, gdybym naprawdę musiał.

Potem ze smutkiem zdałem sobie sprawę, że nie stać mnie nawet na to, żeby zadzwonić do szpitala i zapytać, kiedy mogę odwiedzić Rachel. Naprawdę powinienem był się ogarnąć, bo na razie zasługiwałem wyłącznie na miano najgorszego przyjaciela umierającej dziewczyny w całej historii świata.

W myślach dziękowałem Bogu za to, że zesłał mi Earla. Nie kieruję się żadnymi zasadami moralnymi i muszę polegać na nim, w przeciwnym razie mógłbym zostać pustelnikiem albo terrorystą, albo kimś jeszcze gorszym. Jak ja żyję? Czy zasługuję na miano człowieka? Kto, do cholery, może to wiedzieć?

*Wnętrze. Salon w domu Jacksonów. Późne popołudnie.*

*MAXWELL*

Opuść nogawki.

*EARL*

Przyjechałem na rowerze.

*MAXWELL*

Nikt nie ma ochoty oglądać twoich bądziwnych skarpetek.

*EARL*

Wszyscy mają w nosie moje skarpetki.

*MAXWELL*

*zirytowany*

Nikt nie chce oglądać twoich gównianych skarpetek.

Gdy wchodziliśmy do domu, natknęliśmy się na Maxwella, jednego z przyrodnych braci Earla. Podwinięte nogawki spodni wywołały u Maxwella atak wściekłości.

Macie prawo się dziwić, że taki drobiazg wkurzył Maxwella. Ale ja przez lata już się nauczyłem, że w domu Jacksonów zasadniczo wszystko może być powodem do awantury.

**Przyczyna:** Na płycie z grą *Madden '08* pojawiła się rysa.

**Skutek:** Maxwell popycha Brandona na telewizor.

**Przyczyna:** Duchota.

**Skutek:** Felix używa czoła Derricka, żeby okaleczyć nim twarz Devina.

**Przyczyna:** Na zewnątrz śpiewa ptak.

**Skutek:** Brandon chodzi po domu i wali pięścią w co popadnie.

Kiedy wywiązuje się bójka, wszyscy, nawet tłustawy i powolny biały chłopak, biorą w niej udział na tych samych zasadach. W konsekwencji dzięki wizytom w rezydencji Jacksonów poprawił mi się refleks. Gdy ktoś ściąga but, żeby uderzyć nim kogoś w twarz, a ktoś inny wpycha komuś łokieć do ust, ruszam do wyjścia. Jeśli akurat mam daleko do drzwi, próbuję się ukryć za jakimś meblem, choć jeśli ktoś go przesunie, to może wbić mnie w ścianę.

Maxwell złapał Earla za szyję i bił go po głowie, a Earl wierzgał i się wrywał. Zamieszanie zwróciło uwagę pozostałych braci, w tym Brandona, trzynastoletniego psychopaty z tatuażem „100% CZARNUCHA”. Z prędkością torpedy zbiegł ze schodów z zaciśniętymi pięściami. Wyszczrzył zęby i wbił we mnie wzrok. Pisałem cicho i wzięłem nogi za pas.

Maxwell i Earl stali Brandonowi na drodze, więc udało mi się wyjść z domu, nim dosięgły mnie jego ciosy. Problem w tym, że zbyt szybko tracę zimną krew. Gdy dobiegłem do końca werandy, zamiast zeskoczyć, rzuciłem się ze schodów głową w przód.

Zazwyczaj w filmach, gdy ktoś leci w powietrzu, czas zwalnia. Lecący obserwuje szczegóły w swoim otoczeniu, zastanawia się nad tym, co zrobi dalej, a może nawet zadaje sobie pytania o istnienie Boga. Ta konwencja to jedno wielkie kłamstwo. W rzeczywistości czas przyspiesza. Moje stopy oderwały się od werandy i wywaliłem się jak długi na cementowy chodnik, łamiąc rękę. Niemal w tej samej chwili podbiegł do mnie Brandon.

– Tak, czarnuchu – zaskrzeczał głosem trzynastolatka, który jeszcze nie przeszedł mutacji. – Tak, tak, niezdarna łajzo. – Kopnął mnie od niechcenia.

– Auaa – jęknąłem.

To go wkurzyło i kopnął mnie mocniej.

– Zamknij się, do cholery – powiedział, ale jego drugi kopniak bardzo mnie zabolął, więc zacząłem krzyczeć.

Brandon jeszcze kilka razy uderzył mnie w twarz. Na szczęście zjawił się Felix i z siebie tylko wiadomych powodów chwycił Brandona za głowę i pchnął go na drugi koniec podwórka.

Spojrzał na mnie. Patrzyliśmy na siebie. W jego lodowatym spojrzeniu było widać pogardę.

– Spierdalaj stąd – burknął wreszcie i wrócił do domu.

## ROZDZIAŁ 22

# PAJĄK KONTRA SZERSZEŃ

No i wylądowałem w tym samym szpitalu co Rachel, choć trafiłem do innego skrzydła budynku. Ona leżała na oddziale chemioterapii, a ja na oddziale dla osób ze złamaniami kończyn górnych, które jakimś sposobem uległy zakażeniu. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do zakażenia. Wkrótce ja też przestałem o to pytać. Wolałem nie sprawdzać, czy pielęgniarki znają takie podstawowe fakty jak ten, skąd bierze się skóra albo jak się robi operacje.

Koniec końców moje złamane ramię się zainfekowało, dostałem gorączki i musiałem zostać na dłużej w szpitalu. A to oznaczało odwiedziny. Każdy z odwiedzających miał co innego do powiedzenia.

## **Mama**

- Biedne, biedne dziecko.
- Wkrótce cię stąd wyciągniemy.
- Och, mój biedny, dzielny chłopczyk.
- Pewnie strasznie ci się nudzi.
- Przyniosłam ci kilka książek, które wzięłam z twojego pokoju i z biblioteki.
- Położę te książki obok tych, które przyniosłam ostatnim razem.
- Koniecznie musisz odrabiać lekcje.
- Koniecznie powiedz pielęgniarkom, jeśli się źle poczujesz.
- Jeśli choć trochę zaboli cię głowa, to musisz natychmiast zadzwonić po pielęgniarkę, bo to może być zapalenie opon mózgowych.
- Powiedziałam, że to może być zapalenie opon mózgowych.
- Zapalenie opon mózgowych to śmiertelna choroba mózgu, a w szpitalu człowiek często jest na nią narażony...
- Wiesz co, nie chcę cię straszyć.

- Ale jeśli tylko choć trochę zaboli cię głowa, wezwij pielęgniarkę.
- Może trochę przesadzam, ale mówię serio: zawołaj pielęgniarkę.
- Działa ci telefon?
- Sprawdzę, czy działa.

### **Mama w towarzystwie Gretchen**

- Pomyślałyśmy, że wpadniemy, żeby ci dotrzymać towarzystwa.
- Gretchen, chcesz coś powiedzieć bratu?
- Gretchen, możesz przestać się dąsać choć na piętnaście minut?
- Gretchen. To mało zabawne.
- Nie wierzę, że nawet w takiej sytuacji stroisz fochy.
- W takim razie wyjdź. Jesteś naprawdę okropna. Jesteś okropna i bardzo chciałabym wiedzieć dlaczego. Wyjdę za pięć minut.
- Jezu.

### **Mama w towarzystwie Grace**

- Grace namalowała ci obrazek!
- To portret Cata Stevensa!
- Co to jest? Och.
- To niedźwiedź.
- Grace namalowała ci ślicznego niedźwiedzia.

### **Earl**

- co jest, stary
- gadałem z twoimi nauczycielami
- masz napisać jakieś wypracowanie czy coś takiego
- masz wypisać wszystkie problemy z jakiejś książki
- pani harrad mówi, żebyś się nie martwił sprawdzianem w piątek, porozmawiacie o tym, jak wrócisz, poza tym życzy ci zdrowia
- pan cubaly chce, żebyś napisał jakiś sprawdzian w szpitalu, ale nie mam pojęcia, jak niby

miałoby to wyglądać, więc moim zdaniem możesz olać sprawę

- dostałeś *mulholland drive* z netfliksu, więc sobie obejrzałem
- nieźle zakręcony, nie żartuję
- musimy to obejrzeć razem, jak stąd wyjdiesz
- niezła jazda
- lesbijki i takie tam
- spójrz na siebie
- jak stąd wyjdiesz, będziesz małą, słabą suką
- przez cały cholerny dzień leżysz w łóżku
- co jeszcze, co jeszcze
- aha, odwiedziłem jeszcze raz twoją dziewczynę
- ma teraz łysą pałę
- wygląda jak darth vader bez hełmu
- chemia to nie żart, stary
- prosiła mnie o kilka naszych filmów, no to jej dałem
- nie wiem które, wybrałem chyba z dziesięć
- nieźle
- czego się drzesz?
- mówisz serio? naprawdę mówisz teraz serio?
- uspokój się, debilu
- wyluzuj, i to w tej chwili
- chłopie, w jej ciele krąży teraz w chuj chemikaliów, trzeba ją czymś rozbawić, cieszy się z tych filmów jak głupia
- no dobra, nie cieszy się, ale się uśmiecha, a to już dużo, więc nawet nie próbuj mi robić o to awantury
- no właśnie, wrzuć na luz
- chyba cię pogięło, jeśli myślisz, że odmówię dziewczynie, która umiera na raka

- cholera
- papa gains nazwałby to okolicznościami łagodzącymi, prawda?
- cholera
- patrz
- jesteś głupi jak paczka gwoździ, ale cię rozumiem
- przecież wiesz, że nie lubię nikomu pokazywać tego badziewia
- ale jej nie możemy odmówić
- rozumiem cię, ale chodzi o to, że... sam nie wiem, nie rozumiesz, że ona uwielbia nasze kretyńskie filmy, naprawdę się nimi jara
- no to przestań histeryzować
- no dobra, mam dość
- zdrowiej, stary

## **Tata**

- No, no, no.
- Ktoś ma dzisiaj dobry humor!
- Nie, wiem. To był taki mały żarcik.
- Nie, rzeczywiście, nic fajnego się tu nie dzieje.
- Chociaż prowadzisz tu zupełnie fajne życie.
- Stały dostęp do telewizji, jedzenie i stosy książek.
- Nie wszyscy pacjenci żyją w takim luksusie.
- Kiedy leżałem w szpitalu w Amazonii, wszystkich kładli w jednym pomieszczeniu, a zamiast telewizji dla rozrywki mogliśmy oglądać tylko wielkie włochate pająki, które czyhały na swoją zdobycz na suficie ze strzechy jakieś cztery metry nad naszymi głowami.
- Pająk wielkości pięści.
- Z kłami ociekającymi jadem.
- Każdy miał setki małych czarnych oczu, które błyszczały w ciemności.
- Ależ one walczyły z szerszeniami!
- Czasem w ciemności szerszeń atakował pająka, a one w trakcie walki spadały na łóżko i gryzły



się, żądliły, rzucały na siebie...

- Okej, okej.
- Spróbuj to sobie wyobrazić.

### **Earl w towarzystwie Derricka**

- co jest
- co jest, Greg
- derrick się mnie pytał, czy w szpitalu dają cukierki
- a ja mu mówię, że jak mi nie dadzą cukierków, to mnie szlag trafi
- no to kupiliśmy ci skittles i kilka paczek gumy rozpuszczalnej
- trzy, ale jedną już zjedliśmy
- tak
- daj podpisać gips
- jeśli nie lubisz tych smaków, to możesz nam oddać
- no... i... proszę. Ha, ha!
- do cholery, derrick, co to ma być?
- Cycki!!!
- nie wierzę, że narysowałeś gołe cycki na gipsie grega
- nie, nie mów, że nic się nie stało, bo się stało
- Zamknij się!
- cholera
- musimy iść

### **Madison**

- Cześć!
- Przyszłam do twojego pokoju razem ze swoim boskim biustem!!!

Tak. Madison Hartner odwiedziła mnie w szpitalu. Chyba dam sobie spokój z tymi idiotycznymi wyliczeniami i po prostu opiszę wizytę Madison. Na chwilę zmęczyło mnie pisanie w normalny sposób, ale teraz męczy mnie nawet wyliczanie od kropek. Naprawdę znalazłem się między młotem

a kowadłem.

Jeśli po przeczytaniu tej książki przyjdziecie do mnie do domu i mnie zamordujecie, to nie będę miał pretensji.

Oczywiście Madison, kiedy do mnie przysłała, nie powiedziała: „Jestem naprawdę sexy i znajduję się obecnie w tym samym pomieszczeniu co ty”. Ale ja tak to zrozumiałem. Nie spodziewałem się, że w ogóle do mnie przyjdzie, więc gdy stanęła w drzwiach, z seksownie obcięzonymi na krótko włosami, w bluzce na ramiączkach, jak bogini seksu, przez pół minuty nie mogłem wydusić z siebie słowa. Z bólem uświadomiłem sobie, że podczas pobytu w szpitalu moje ciało osiągnęło nowy, rekordowy stopień ciastowatości.

– Cześć, badaczu kosmitów.

– Mhm – odparłem.

– Słyszałam, że w czasie badań terenowych jakiś kosmita złamał ci rękę.

Przez chwilę nie wiedziałem, o co jej chodzi, i zacząłem podejrzewać, że to jakiś rasistowski przytyk do braci Earla. Doznałem chwilowego zamroczenia. Tym samym potwierdziłem ten głupi stereotyp, że przy seksownych dziewczynach człowiek głupieje. Jakby wydzielaly gaz paralizujący mózg. W końcu jednak zajarzyłem, o czym mówi Madison.

– Och, taaaaak.

– Och, tak?

– Już zapomniałem o tym żarcie.

– Zapomniałeś?

– Tak, złamałem rękę w trakcie zbierania wymiocin.

– Tak, właśnie o tym nam opowiadałeś.

– Tak, ten kosmita tak się ucieszył, że może się z kimś podzielić swoimi wymiocinami, że zaczął wymachiwać mackami jak wariat, no i stało się.

– Brzmi groźnie.

– To właśnie jest prawdziwa nauka. Krańcowo niebezpieczna. Ale przynajmniej ten kosmita miał potworne wyrzuty sumienia. Przysłał jednego ze swoich braci kosmitów, żeby mnie odwiedził, a on narysował na moim gipsie ten tajemniczy hieroglif. Popatrz. To znaczy: „Serce mnie boli, bo przepełnia je smutek tysiąca księżyców”, w niezwykle wzruszającym i pięknym języku kosmitów. Niestety nam, ludziom, ten napis przypomina goły biust.

Bądźmy szczerzy: żadnej panny nie zainteresuje ordynarny rysunek piersi. Jak już wspominałem, potrafię się zakręcić tylko wokół mało atrakcyjnych dziewczyn i kobiet, które są ode mnie starsze. W obecności seksownych lasek rozpadam się na kawałki. Ale Madison zachichotała. Może nawet nie zrobiła tego z czystej uprzejmości.

Potem z jej ślicznych uszmiękowanych ust popłynęły słowa, których w pierwszej chwili nie

zrozumiałem:

– Właśnie odwiedziłam Rachel, a ona oglądała jeden z waszych filmów.

Sens tego zdania dotarł do mnie dopiero po jakimś czasie. Nagle poczułem się tak, jakby moje serce zaczęło pożerać samo siebie.

– Och. Uch... Tak. Uch-ch.

– Słucham?

– Nie, chodzi o to, że tak. Taaaaak.

– Greg, co się z tobą dzieje?

– Nic, w porządku. To znaczy wszystko gra.

– Naprawdę jej się podobały.

– A który konkretnie?

Oblał mnie zimny pot. Miałem go nawet w uszach. Poza tym wydawało mi się, że cebulki moich włosów za chwilę się zbuntują i uciekną.

– Nie chciała mi powiedzieć! Nawet mi ich nie pokazała. Gdy weszłam, od razu zamknęła laptop.

Okej. Ale ulga.

– Ochhh.

– Twierdzi, że nikomu nie wolno jej ich pokazać.

Okej. Dzięki Bogu. Choć wcale mnie to nie uspokoiło. Uświadomiłem sobie, że skoro Madison wie o naszych filmach, to prędzej czy później komuś o tym powie i wkrótce wszyscy się dowiedzą. Jednocześnie ulżyło mi, bo Rachel kolejny raz udowodniła, że rozumie, co myślę o tych filmach.

– Podobno z jakiegoś powodu nie chcecie ich nikomu pokazywać.

Rachel naprawdę wszystko pojęła. To było jasne. To zasługiwało na szacunek. Nie była filmowcem, ale nasłuchiwała się tyłu moich monologów, że chyba dotarło do niej, co sędzę o pewnych sprawach. Człowiekowi zawsze jest miło, gdy ktoś go tak dobrze pozna. Postanowiłem, że nie dam się panice.

– Tak – powiedziałem. – Mamy lekkiego świra na tym punkcie. Jesteśmy perfekcjonistami.

Madison nic nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie mówiło mi, żebym się zamknął. Oboje przez chwilę milczeliśmy.

– Jesteś fantastycznym przyjacielem – powiedziała wreszcie Madison. – To wspaniałe, co robisz dla Rachel.

Niestety w tym momencie zaczął działać gaz paraliżujący wydzielany przez każdą seksowną dziewczynę. Dokładnie to włączył mi się tryb „nadmiernej skromności”. Nie ma nic głupszego i żałośniejszego niż „nadmierna skromność”, gdy zaprzeczamy komuś, kto prawi nam komplementy. Zasadniczo polega to na tym, że próbujemy przekonać naszego rozmówcę, że jesteśmy kretynami.

Jestem mistrzem świata w prowadzeniu takich idiotycznych rozmów.

No więc Madison powiedziała:

– Jesteś fantastycznym przyjacielem. To wspaniałe, co robisz dla Rachel.

Oczywiście uznałem, że najlepsza odpowiedź to:

– Ech. Nie sędzę.

– Gdybyś tylko usłyszał, jak o tobie opowiada.

– Na pewno nie jestem aż tak dobrym przyjacielem.

– Greg, bredzisz.

– Nie, naprawdę. Przychodzę do niej i cały czas gadam o sobie. Nie umiem słuchać.

– Ale ją rozweselasz.

– Chyba nie aż tak bardzo.

– Greg, naprawdę, bardzo.

– Wątpię.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Greg, wiem od niej, że jesteś fantastycznym przyjacielem.

– Może kłamie.

– Uważasz, że kłamie? Niby po co?

– Uchhhhh.

– Greg. O Boże. Nie wierzę, że się o to kłócimy. Ona uwielbia twoje filmy, a ty jej je dałeś, choć nikomu innemu nie pozwalasz ich oglądać. Już samo to jest fantastyczne. Więc się zamknij.

– Ja tylko tak mówię.

– Niby po co miałyby kłamać, że jesteś dobrym przyjacielem, Greg? Zwariowałeś?

– Nie wiem. Czasem dziewczyny są dziwne.

– Nie. To ty jesteś dziwny.

– Nie, to ty jesteś dziwna. Ja jestem zupełnie normalny.

Nagle Madison zachichotała.

– O Boże, Greg, naprawdę jesteś dziwny. Właśnie to mi się w tobie tak podoba.

Pamiętacie, co powiedziałem wcześniej? O tym, że dziewczyny takie jak Madison przypominają słonia, który przechadza się po dżungli i czasem niechcący zdeptuje małą małpkę? Jej wizyta to najlepsze potwierdzenie mojej teorii. Szczerze mówiąc, racjonalna część mnie była na sto procent pewna, że nigdy nie zdobędę Madison Hartner. Ale tak myślała tylko racjonalna część mnie. Zawsze w takich sytuacjach odzywa się też nieracjonalna część mnie i nie da się jej zagłuszyć. Nigdy nie da

się zgasić tej absurdalnej iskiej nadziei, że podobasz się tej dziewczynie, choć to wbrew zdrowemu rozsądkowi, choć mogłaby chodzić z każdym facetem ze szkoły, nie wspominając o studentach, i choć ty wyglądasz jak Ciasteczkowy Potwór, który kompulsywnie zajada stres, ma nieustanne zatwardzenie i wygaduje takie głupoty, jakby płaciła mu za nie firma Bzdury i Bzdety.

Więc kiedy ona mówi: „Jesteś naprawdę dziwny. Właśnie to mi się w tobie podoba”, robi ci się miło, a właściwie czujesz się fantastycznie, ale to tylko efekt procesów chemicznych, które zachodzą w twoim mózgu, gdy słoń zdeptuje cię na śmierć.

Madison chyba zauważyła, że mnie sparaliżowało, bo czym prędzej zmieniła temat.

– Chciałam ci tylko życzyć szybkiego powrotu do zdrowia, no i... uważam, że to super, że jesteś takim przyjacielem dla Rachel – dodała. – Nawet jeśli tak nie uważasz, to dzięki tobie poczuła się o wiele lepiej.

– Pewnie lubi dziwaków.

– Greg, wszystkie dziewczyny lubią dziwaków.

Moje małpie wnętrzości oraz mózdzek zostały właśnie rozsmarowane na leśnym poszyciu jak kawałek pizzy i krokietki ziemniaczane. Chyba mnie już do reszty pogrzało, bo poczułem się zajefajnie.

Małpka to najgłupsze zwierzątko na świecie.

## ROZDZIAŁ 23

# GILBERT

Nim wypisali mnie ze szpitala, poszedłem odwiedzić Rachel. Oddział onkologiczny wyglądał podobnie jak mój, tyle że dzieci były tu znacznie smutniejsze. No tak. Tak było. Nie będę ściemniał. Były bledsze, słabsze, chudsze i bardziej schorowane. Jeden chłopiec, który równie dobrze mógłby być dziewczynką, siedział samotnie na wózku inwalidzkim, nikt się nim nie zajmował i musiałem z całych sił zapanować nad nadchodzącym potężnym atakiem paniki, bo pomyślałem, że on może nie żyć. Zostawili trupa na wózku inwalidzkim! Tak jakby chcieli w ten sposób przekazać: „Ach, tak. To Gilbert. Siedzi tu sobie od trzech dni! Uznaliśmy, że będzie nam przypominał o tym, jaki los czeka wszystko, co żyje”.

Rachel wyglądała lepiej od większości pacjentów, ale całkiem wyłysiała. Chwilę mi zajęło, by się z tym oswoić. Co kilka minut zerkałem na jej głowę albo przynajmniej o niej myślałem, próbując na nią nie patrzeć, i nagle robiło mi się gorąco i czułem mrowienie na całej skórze. Tak jak mówił Earl, Rachel przypominała Dartha Vadera, gdy ściągnął hełm z maską. Była niesamowicie biała, jakby ją ugotowano, a jej skórę pokrywały żyłki i wybrzuszenia.

Na szczęście dopisywał jej humor. Była słaba i mówiła ochrypłym głosem, ale uśmiechnęła się na mój widok, a w jej oczach pojawiła się radość. Nie umiem tego opisać. Może radość stanowiła tylko skutek uboczny jakiegoś mocnego leku przeciwbólowego, który jej podawano. W szpitalu nigdy nic nie wiadomo.

– Hej – przywitałem się.

– Najpiękniejsze w tobie jest to, że nie jesteś skarpetkową pacynką – powiedziała.

To była kwestia z *Rzyga się tylko dwa razy*, naszej parodii Jamesa Bonda, gdzie występują tylko pacynki ze skarpetek. Nie wiem czemu, ale Rachel rozbawiła mnie tym powitaniem.

– Ale brednie – rzuciłem.

– Dzięki, że do mnie przyszedłeś.

– Po prostu byłem w sąsiedztwie.

– Tak, słyszałam.

Trochę mnie rozbroiła tym cytatem z *Rzyga się tylko dwa razy*. Zwykle gdy ktoś robi coś takiego, zaczynasz gadać największe bzdety w swoim życiu. Teraz podam wam doskonały przykład.

– Tak, pomyślałem, że wizyta bez powodu może cię zdziwić, więc namówiłem Earla, by mi złamał rękę, żeby mieć dobrą wymówkę. Tak.

Jezu Chryste, miej litość nad kretynami. Na początku tego zdania moje Poczucie Bycia Dupkiem osiągnęło solidny przeciętny pułap 4,0. Przy słowie „powodu”, wzrosło do poziomu 9,4. Pod koniec osiągnąłem wartość maksymalną, czyli 10,0. A może nawet przestałem się mieścić na skali.

Moje wyjaśnienie najwyraźniej nie spodobało się Rachel.

– Następnym razem możesz przyjść bez powodu.

– Tak, właśnie to sobie uświadomiłem.

– Możesz też w ogóle nie przychodzić.

– Nie. O czym ty mówisz?

– O niczym.

– Ja tylko żartowałem.

– Wiem.

– Uchhhh.

Zapadła cisza, więc jeszcze raz wydałem ten sam dźwięk.

– Uchhhhhh.

– Co to za dźwięk?

– Niedźwiedź polarny, który przeprasza.

Parsknięcie.

– Ze wszystkich zwierząt to niedźwiedzie polarne przepraszają najpiękniej. Naukowcy nie ustalili dlaczego. Ale niedźwiedzie w najczystszy sposób wyrażają żal z powodu swojej winy. Posłuchaj, jak pięknie i urzekająco brzmi dźwięk, który wydają: Uchhhhhhhhh.

Parsknięcie, kaszel.

– Nie powinieneś mnie rozśmieszać – powiedziała Rachel.

– Och, przepraszam.

– Lubię niedźwiedzie polarne, ale kiedy się śmieję, wszystko mnie boli.

– Widzisz, teraz żałuję, że udawałem niedźwiedzia polarnego, ale to uczucie sprawia, że mam jeszcze większą ochotę wydać kolejny raz ten dźwięk. Bo niedźwiedź polarny bardzo żałuje.

Ciche parsknięcie.

– Niedźwiedź polarny żałuje za wszystko. Uwielbia ryby i foki. To jego kumple. Nienawidzi tego, że musi je zabijać i zjadać. Ale mieszka na dalekiej Północy i nie ma w pobliżu ekologicznego supermarketu, więc...

Parsknięcie.

– Przepraszam, przepraszam. Już wrzucam na luz.



– Pryyyyych. W porządku.

– Tak.

Cisza. Mimowolnie spojrziałem na jej łysą głowę, która wyglądała jak ugotowana, i po raz czternasty od początku wizyty zrobiło mi się gorąco i przeszły mnie ciarki.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Całkiem dobrze. – Oczywiście kłamała. Najwyraźniej postanowiła też więcej mówić, żebym się o nią mniej martwił. – Jestem tylko trochę osłabiona. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam, gdy powiedziałeś, że potrzebujesz powodu, żeby do mnie przyjść. To wszystko przez moją chorobę.

– Kiedy jestem chory, też się na wszystkich wściekam.

– No widzisz.

– Nieźle wyglądasz – skłamałem.

– Nieprawda – mruknęła Rachel.

Nie wiedziałem, czy w takiej sytuacji należy się upierać przy swoim. Oczywiście nie mogłem jej przekonywać, że rzeczywiście wygląda dobrze po tygodniowym pobycie w szpitalu. Nikt nie wygląda wtedy dobrze. Wreszcie powiedziałem:

– Wyglądasz dobrze jak na kogoś, kto właśnie bierze chemię.

Rachel chyba przyjęła to do wiadomości.

– Dzięki.

Pora odwiedzin dobiegła końca i do sali weszła pielęgniarka, żeby mnie wyprosić. Szczerze mówiąc, trochę żałowałem, bo czułem, że nie najlepiej sprawdziłem się w roli kogoś, kto miał rozweselić Rachel. Chciałem tam jeszcze chwilę posiedzieć. Niech to was nie zmyli, wcale nie jestem taki dobry. Po prostu naprawdę świetnie mi szło rozśmieszanie Rachel, a każdy czuje się lepiej, gdy robi to, co mu świetnie idzie. Chciałem zostać z Rachel z czystego egoizmu.

– Zaraz, co to za rysunek na twoim gipsie? – zapytała mama w samochodzie.

– Ach, to? – odparłem. Gorączkowo próbowałem wymyślić jakąś odpowiedź, ale żadna nie przyszła mi do głowy, więc powiedziałem prawdę: – To piersi.

– Ohyda – pisnęła Gretchen.

Pojechaliśmy do domu, a ja po raz pierwszy od kilku dni zjadłem normalny posiłek, ale mój żołądek odmówił współpracy. Oszczędzę wam dalszych szczegółów.

## ROZDZIAŁ 24

# JEDEN NUDNY DZIEŃ Z ŻYCIA CIASTOWATEGO NASTOLATKA

Złamałem rękę w drugim albo trzecim tygodniu października. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nawet nie chce mi się tego sprawdzać. Mam napisać, dlaczego mi się nie chce? Pewnie powinienem, ale mi się nie chce. Mógłbym na przykład stwierdzić, że to zbyt bolesne wspomnienia, tyle że to bzdura, bo przecież o wiele więcej kosztuje mnie pisanie tej idiotycznej książki. Prawdziwy powód to moje lenistwo. Zamierzałem znaleźć dokumenty ze szpitala, ale cholernie mi się nie chciało. Więc tego nie zrobiłem.

Zresztą gdy się o czymś opowiada i podaje dokładnie wszystkie daty, taka relacja przypomina serwis informacyjny. Jakby o moim życiu pisano w „Post-Gazette” albo w „New York Timesie”.

20 października 2011 roku

CIASTOWATY NASTOLATEK WYPISANY ZE SZPITALA

*Filmowiec może teraz oddać się obżarstwu*

Trzęsący się brzuch prowokuje kota do ataku

No tak. Moje życie opisane w tej książce wydaje się pełne wydarzeń i niezwykle ciekawe, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Tak to jest z książkami. Gdyby każdy mój dzień streścić w formie prasowego nagłówka, dotarłoby do was, jak potwornie nudne życie prowadzę.

21 października 2011 roku

CIASTOWATY NASTOLATEK PO CICHU WRACA DO SZKOŁY

*Gaines „zirytowany” zaległościami w nauce*

Wielu nauczycieli nawet nie zauważyło tygodniowej nieobecności ucznia

22 października 2011 roku

NIE DZIEJE SIĘ NIC CIEKAWEGO

*Nawet na kolację były resztki*

23 października 2011 roku

SFLACZAŁY NASTOLATEK PRÓBUJE WYHODOWAĆ MIĘŚNIE NA SPRAWNEJ RĘCE

*Krótki i koszmary trening z hantlami*

Filmowiec dochodzi do siebie dopiero po kilku godzinach leżenia twarzą do podłogi

24 października 2011 roku

DZIEJE SIĘ BARDZO NIEWIELE

*Trzęsący się brzuch znowu prowokuje kota do ataku*

Uczeń odbywa serię bezsensownych rozmów, których nie warto relacjonować

Może po śmierci każdy trafia do gigantycznego pokoju, w którym zarchiwizowane są wszystkie gazety spisane przez aniołów dziennikarzy. Można wtedy przypomnieć sobie całą swoją biografię w formie nagłówków prasowych. Co za przygnębiająca perspektywa. Mam nadzieję, że nie wszystkie artykuły dotyczyłyby tylko mnie, że znalazłoby się w nich też miejsce dla moich znajomych.

25 października 2011 roku

KUSHNER KUPUJE CZAPKĘ

*Wkurza ją to, że wszyscy gapią się na jej łysą głowę*

Czapka wygląda jeszcze żałośniej niż głowa Dartha Vadera

26 października 2011 roku

PODCZAS LUNCHU SPRAGNIONY NIKOTYNY JACKSON WYGŁASZA TYRADE

*Twierdzi, że wielu ludzi, przedmioty nieożywione oraz koncepcje mogą go cmoknąć w cztery litery*

Pulchny przyjaciel o twarzy chomika: zerwanie z nałogiem to „prawdopodobnie pomyłka”

27 października 2011 roku

RODZICE GAINESA ROZPOCZYNAJĄ NOWĄ TURĘ ROZMÓW O STUDIACH

*„Rozczarowujące” oceny filmowca zapowiedzią ponurej przyszłości*

Na horyzoncie majaczy szkoła pomaturalna dla półgłówków

Najwyraźniej w czasie mojego pobytu w szpitalu mama i tata doszli do wniosku, że najwyższa pora pogadać ze mną o studiach. Oczywiście wcześniej wielokrotnie próbowali przeprowadzić ze mną tę rozmowę. Pierwsza odbyła się gdzieś pod koniec trzeciej klasy. Tata wszedł do mojego pokoju i wyglądał, jakby był trochę rozżalony, a trochę zawstydzony. Zawsze ma taką minę, gdy mama każe mu zrobić coś naprawdę irytującego.

– Cześć, synu.

– Cześć.

– Synu, czy interesowałby cię udział w dniach otwartych na uniwersytecie?

- Yyy, niespecjalnie.
- Och!
- Naprawdę nie chce mi się tam iść.
- Nie. Mówisz „nie” dniom otwartym! Rozumiem.
- Tak, nie.

Tata tak się oburzył, że nie chcę iść na dni otwarte, że natychmiast wyszedł z mojego pokoju i nie wrócił do tematu przez kilka miesięcy. Choć już wtedy zawisło nade mną widmo studiów, radośnie je ignorowałem, o ile nikt mi o nim nie przypominał.

Z jakiegoś powodu nie mogłem się zmusić do myślenia o studiach. Kiedy tylko próbowałem się nad tym zastanowić, zasychało mi w ustach, pachy aż piekły mnie od potu i musiałem przełączyć kanał w mózgu. Zazwyczaj wybierałem program Mózg Przyrodniczy. Mówię tak wtedy, gdy wyobrażam sobie antylopy brykające na sawannie albo rozbawione bobry, które klecą sobie domek z patyków, albo coś jeszcze lepszego, na przykład owady z brazylijskiej dżungli zagryzające się na śmierć. Zasadniczo wszystko mi jedno, byle tylko nie czuć się tak, jakby pod pachami zagnieździły mi się pszczoły.

Nawet nie wiem, dlaczego tak panikowałem na samą myśl o studiach. No dobra, kłamię wam w żywe oczy. Oczywiście, że wiem dlaczego. Ustawienie się w Benson kosztowało mnie wiele zachodu – rozrysowanie mapy relacji towarzyskich i nauka poruszania się po tym krajobrazie przy zachowaniu niewidzialności – i właściwie na tym wyczerpały się moje talenty szpiegowskie. Tymczasem wyższa uczelnia to znacznie rozleglejszy teren niż liceum, jest tam nieskończenie więcej klik, ludzi i zajęć, a to pociąga za sobą mnóstwo komplikacji. Na samą myśl o czekających tam na mnie wyzwaniach ogarniała mnie panika i zaczynałem świrować. Musiałbym zamieszkać w akademiku z kolegami z grupy. Czy udałoby mi się pozostać niewidzialnym? Czy wtopiłbym się w tło tak bardzo, że nie rzuciłbym się w oczy i nie zapadł w pamięć nawet swoim współlokatorom z pokoju? Na dodatek nie można tam spokojnie pierdnąć. Żeby pierdnąć, trzeba wyjść na korytarz. Można też powstrzymać się od pierdzenia, ale kto wie, czym by się to skończyło.

Ze strachu przed studiami odsuwałem od siebie myśli o przyszłości. Ale mama i tata uznali, że Należy się Przygotować, i tydzień po moim wyjściu ze szpitala napadli na mnie jak dwa insekty z brazylijskiej dżungli i zaczęli kąsać jak szaleni. Nie dosłownie. Wiadomo, o co mi chodzi. Sytuacja podbramkowa.

Po chwili namysłu doszedłem do wniosku, że pójdę do Carnegie Mellon, gdzie uczy tata. Ale rodzice podeszli sceptycznie do mojego planu, bo miałem słabe oceny i nie chodziłem na żadne zajęcia pozalekcyjne.

- Możesz pokazać komisji swoje filmy – zaproponowała mama.

To był tak zły pomysł, że padłem na ziemię, udając trupa, a mama i tata zaczęli na mnie wrzeszczeć. Po pięciu minutach im się znudziło i sobie poszli, ale gdy usłyszeli, że znowu się ruszam, wrócili i musieliśmy dalej ciągnąć tę rozmowę.

Uzgodniliśmy, że na wszelki wypadek złożę też papiery na Uniwersytet Pittsburski, tak zwany Pitt, który uważałem za większego i trochę głupawego brata Carnegie Mellon. Mama wymusiła też na mnie obietnicę, że przyjrę się spisowi uniwersytetów, przez chwilę, no może przez godzinę, tylko go przekartkuję, żeby się zorientować, jakie mam możliwości, to nie zabierze dużo czasu, a dobrze się zorientować, bo jest tyle opcji do wyboru, a źle by się stało, gdybym nie znalazł właściwego, i wreszcie musiałem powiedzieć: „Okej, okej, rany, daj już spokój”.

Broszura z ofertą wszystkich uczelni w kraju miała bite tysiąc czterysta stron, więc nie zamierzałem dotrzymać obietnicy. Z jakiegoś powodu nosiłem to tomiszczę w plecaku przez kilka dni, a kiedy tylko na nie spojrzałem, wydawało mi się, że pod pachami żądłą mnie pszczoły.

Podczas jednej ze swoich wizyt w szpitalu u Rachel popełniłem błąd, wspominając o studiach, a to ją tak zainteresowało, że musiałem przeprowadzić z nią krępującą rozmowę.

– Podobno Hugh Jackman zaczął nowy trening mięśni brzucha – powiedziałem wreszcie, żeby zmienić temat. – Dzięki niemu robi dodatkowe cztery mięśnie brzucha.

To niewiarygodne, że Rachel nie zareagowała na tę próbę zmiany tematu, ale tak właśnie się stało.

– Chcesz iść do Carnegie Mellon? – zapytała. Podniosła się na poduszkach i spojrzała na mnie z większą powagą niż zwykle.

– Jeśli już muszę studiować, to najlepiej tam – powiedziałem. – Ale rodzice uważają, że się nie dostanę. Więc pewnie wyląduję w Pitt.

– Niby czemu miałbyś się nie dostać?

– Ach, nie wiem. Trzeba mieć dobre oceny i być przewodniczącym klubu dyskusyjnego albo budować schroniska dla bezdomnych, a ja po lekcjach tylko marnuję czas.

Było po niej widać, że ma ochotę wspomnieć o moich filmach, ale tego nie zrobiła. I bardzo dobrze, bo byłem gotowy znowu udawać trupa. A przecież w szpitalu nie wypada stosować takiej taktyki, żeby zmienić temat rozmowy. W takim miejscu lepiej nie ryzykować. Ktoś mógłby wejść i uznać, że naprawdę nie żyję. Wtedy pewnie by mnie posadził na wózku inwalidzkim i zostawił w poczekalni albo na korytarzu, jak Gilberta, przykutego do wózka i prawdopodobnie martwego chłopaka, o którym wspomniałem dwa tysiące czterysta słów temu.

– Tak naprawdę na studiach będę miał tylko jeden cel: unikać przynależności do bractw – oznajmiłem, rozpoczynając kolejną improwizację. – Bo każde bractwo uwielbia się znęcać nad grubasami, przywiązywać ich do lampy ulicznej albo samochodu wykładowcy. Obawiam się, że spotkałby mnie właśnie taki los. To ulubiona rozrywka studentów. Pewnie złoiliby mi tyłek paskiem.

Tak naprawdę to straszliwie homoerotyczna zabawa, ale kiedy się im to powie, wpadają w szal.

Z jakiegoś powodu Rachel się nie zaśmiała.

– Nie jesteś gruby – powiedziała.

– Jestem dość gruby.

– Nieprawda.

To było głupie, że Rachel się ze mną nie zgadzała. Postanowiłem zrobić coś, czego nigdy wcześniej nie zrobiłem.

– Znam kogoś, kto się z tobą nie zgadza – powiedziałem. – Nazywa się Sadło Brzuchomówca.

– Co? – zdziwiła się Rachel, a ja podciągnąłem koszulkę.

No dobra, istnieje kilka osób grubszych ode mnie, ale i tak jestem tak tęgi, że mogę ścisnąć dwa wałki tłuszczu na brzuchu i ruszać nimi tak, że przypominają gadającego muppeta.

– Wybacz, ale mam odmienne zdanie – krzyczał mój brzuch, z jakiegoś powodu z południowym akcentem. – Jestem przerażony i zaszokowany twoimi oskarżeniami. A tak w ogóle to nie masz przypadkiem pod ręką kopiastego talerza nachosów?

Nigdy wcześniej nie pozwoliłem, żeby mój brzuch mówił do ludzi. Po prostu nigdy wcześniej nie uznałem, że warto się tak poniżać, żeby kogoś rozśmieszyć. Teraz powinniście zrozumieć, jak bardzo zależało mi na tym, żeby rozśmieszyć Rachel. Ale tamtego dnia nie parskała ani nie chichotała.

Poruszanie własnym obwisłym brzuchem jak pacynką i wykrzykiwanie głupot z południowym akcentem to sam w sobie fatalny pomysł. A jest jeszcze gorzej, gdy ten ktoś się nie śmieje.

– Jeśli nie ma nachosów, to w ostateczności zjem stek i ciasto – dodał mój brzuch, ale Rachel nawet się nie uśmiechnęła.

– Co chcesz studiować na Carnegie Mellon?

– A skąd mam to wiedzieć? – odparłem.

Nie opuściłem koszulki, na wypadek gdyby Rachel zdała sobie sprawę, jakiego żalostnego idiotę z siebie robię, żeby ją rozbawić. Ale do niej to nie dotarło. Milczała, więc nawijałem dalej:

– Zresztą na początku studiów zazwyczaj i tak nie wiadomo, czego się człowiek będzie uczył. Zapiszę się na kilka kursów, żeby zobaczyć, gdzie jest najfajniej. No nie?

Musiałem improwizować, bo wiedziałem, że w przeciwnym razie ona zacznie rozmowę o filmach.

– Studia przypominają szwedzki stół na ekskluzywnym przyjęciu. Tylko że trzeba zjeść wszystko, co się wzięło na talerz, bo inaczej cię wywalą. Więc sama koncepcja pozostawia wiele do życzenia. Gdyby tak wyglądały prawdziwe przyjęcia, nikt by na nie nie przychodził. Na przykład mówisz: „Hmm, ta wieprzowina moo shu ma jakiś dziwny kredowy posmak”. A wtedy wielki Chińczyk zaczyna ci grozić: „Jedz to, bo jak nie, to dostaniesz dwóję i wykopiemy cię z naszej restauracji”. Taki model biznesowy by się nie sprawdził.

Cisza. Ani razu nie parsknęła, nawet się nie uśmiechnęła. Totalna porażka. Teraz odsłaniałem swój

brzuch z czystej przekory, bo najwyraźniej nie mogłem w ten sposób wywołać monstualnych salw śmiechu.

– Więc nie wiesz, co chcesz studiować?

Rachel najwyraźniej znowu zmierzała w kierunku moich filmów. Ale ja doszedłem do wniosku, że skoro nie śmieje się z moich dowcipów, mam w nosie całą tę zabawę. Postanowiłem odwrócić kota ogonem.

– Nie – odparłem. – A ty co chcesz studiować?

Rachel tylko się na mnie gapiła.

– Na jakie pójdziesz studia?

Teraz wpatrywała się w ekran wyłączonego telewizora, a ja siedziałem z odsłoniętym brzuchem i wtedy do mnie dotarło, że zachowałem się jak kretyn. Jak ostatni kretyn. Pytałem umierającą dziewczynę o jej plany na przyszłość. Większym kretynem już chyba być nie można. Niech to szlag. Miałem ochotę pacnąć się w twarz albo przytrzasnąć własną głowę drzwiami.

Ale Rachel wcale nie przestała mnie wkurzać tym, że jest smutna, agresywna, dziwna i że przez nią czuję się jak kretyn, kiedy próbuję ją rozbawić. Zasadniczo więc nienawidziłem wszystkich osób znajdujących się w tym pomieszczeniu. Opuściłem koszulkę i próbowałem zakończyć tę rozmowę, żeby przypadkiem nie doszło do rękoczynów.

– Mama dała mi taką grubą jak krowi zad książkę z listą wszystkich uczelni w kraju. Mogę ci zostawić, jeśli chcesz ją przejrzeć. Nawet mam ją przy sobie.

– Nie będę w tym roku zdawała na studia.

– Och.

– Poczekam, aż wyzdrowieję.

– Dobry pomysł.

Nadal wpatrywała się tępo w ekran telewizora, jakby się na mnie wkurzyła.

– To dobrze – dodałem – ta książka to badziewie. Półtora tysiąca stron, a na co drugiej opisują jakąś denną chrześcijańską uczelnię w Teksasie albo na innym zadupiu.

Muszę wam się do czegoś przyznać: improwizowanie przychodziło mi coraz trudniej. Może trzeba było się wyluzować? Ale wydawało mi się, że muszę ją rozśmieszyć, w przeciwnym razie moja wizyta będzie jedną wielką klapą. Jak żeglarz obieżyświat wyruszający w kolejną podróż rozpocząłem jeszcze jedną improwizację:

– Poza tym kiedy czytam ten chłam, dociera do mnie, że nigdzie się nie dostanę. Zacząłem przeglądać to tomiszczce od końca i trafiłem na „Yale”. Pomyślałem sobie: „O tak, Yale, muszę tam złożyć papiery, bo to dobra szkoła”. No dobra. Ale wtedy zobaczyłem, jak wysoką średnią muszą mieć kandydaci, i pomyślałem sobie: „Cholera, moja średnia nawet nie zbliża się do tego poziomu”.

Rachel trochę się rozchmurzyła, ale wydawało mi się, że powodem wcale nie była moja



improvizacja. Postanowiłem jednak nie przerywać, bo przecież miałem mnóstwo czasu do zabicia. Dobra improvizacja nie musi być zabawna, choć zazwyczaj wywołuje śmiech. Najważniejsze, że pozwala zabić czas i odwrócić uwagę od przygnębiających problemów.

– No i wtedy łapię za telefon, dzwonię do szefa komisji rekrutacyjnej i pytam: „Czemu trzeba mieć tak wysoką średnią, żeby zdawać na Yale?”. A on odpowiada: „Gdyby naprawdę zależało panu na studiowaniu u nas, już by pan wiedział o tajnym kursie przygotowującym do studiów na Yale. Odbywa się głęboko w podziemiach zwykłego liceum, a wszyscy nauczyciele to nieumarli geniusze. Tam na pewno poprawiłby pan średnią, a dodatkowo poznał tajniki podróżowania w czasie. No i, yyy, dowiedziałby się pan, jak stworzyć sztuczne życie ze zwykłych sprzętów domowych i ożywić blende-e-e-er! Stanie się on oddanym sługą, który będzie przynosił panu pocztę, choć jeden list czy dwa może podrzeć na drobne kawałki, bo przecież to blender. Yale-e-e-e-e-e!”.

– Wiesz co, Greg, zostaw mi ten informator.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że powiedziała to tylko po to, by się mnie pozbyć, ale to przynajmniej była jakaś odpowiedź, do tego dość pozytywna.

– Naprawdę?

– Chyba że chcesz go zatrzymać.

– Nie. Żartujesz? Nienawidzę tej książki. Świetna decyzja.

– Tak, chcę ją przejrzeć.

Wyciągnąłem informator z plecaka. Naprawdę chciałem się go pozbyć. Poza tym miałem nadzieję, że dzięki niemu Rachel przestanie tak często myśleć o umieraniu.

– Proszę.

– Połóż na stole.

– O, już.

– Okej.

Może trochę się rozchmurzyła, ale nadal się nie śmiała ani nie reagowała na to, co mówię. Trochę wyprowadziła mnie z równowagi, więc powiedziałem:

– Moje towarzystwo wcale nie dodaje ci otuchy. Ale ze mnie idiota.

– Nie jesteś idiotą.

– Tak jakby jestem.

– Nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz.

To nie było miłe. Szczerze mówiąc, wcale nie chciało mi się jej odwiedzać. Dostatecznie się stresowałem, gdy była w dobrym nastroju. A teraz, kiedy bardzo źle się czuła i była cały czas wkurzona, stresowałem się jeszcze bardziej. Dowód? Palpitacje. Siedziałem obok niej i czułem, że serce wali mi coraz szybciej i szybciej. Ale wiedziałem, że jeśli przestanę ją odwiedzać, to poczuję się jeszcze gorzej.

Moje życie legło w gruzach.

– Nie przychodzę tutaj, bo nie chcę. – Gdy usłyszałem własne słowa, uświadomiłem sobie, że nie mają sensu, więc wyjaśniłem: – Przychodzę, bo chcę. Gdybym nie chciał, po co bym przychodził?

– Bo wydaje ci się, że musisz.

Tak naprawdę w tej chwili mogłem tylko i wyłącznie skłamać.

– Wcale nie muszę. Poza tym jestem zupełnie nieracjonalny i głupi. Czasem gdy muszę coś zrobić, nie robię tego. Nie umiem żyć jak normalny człowiek.

Brnąłem w absurd, więc się wycofałem i postanowiłem zacząć od nowa.

– Chcę cię odwiedzać – powiedziałem. – Jesteś moją przyjaciółką. – A potem dodałem: – Lubię cię.

Ta rozmowa była coraz bardziej krępująca. Chyba nigdy wcześniej czegoś takiego nie powiedziałem i chyba już nigdy nie powiem, bo takie wyznania zawsze brzmią debilnie.

W każdym razie Rachel odparła:

– Dzięki.

Nie wiedziałem, czy naprawdę jest mi wdzięczna.

– Nie dziękuj mi.

– Okej.

– To znaczy przepraszam. Głupio mi, że na ciebie nakrzyczałem.

Chciałem się stamtąd jak najszybciej wydostać. Ale wiedziałem, że jeśli wyjdę, poczuję się jak świnia. Chyba to wyczuła.

– Greg, źle się czuję – powiedziała. – Nie jestem w najlepszym nastroju.

– Wiem.

– Możesz już iść.

– Okej, w porządku.

– Lubię, kiedy przychodzisz.

– To dobrze.

– Może następnym razem będę w lepszej formie.

Okazało się, że nie była w lepszej formie.

Jezu Chryste, nienawidzę o tym pisać.

## ROZDZIAŁ 25

# BIĄŁACZKA. PRZEWODNIK DLA PÓŁGŁÓWKA

Chyba powinienem wyjaśnić, co to jest białaczka, bo może nie każdy wie. Sam zainteresowałem się tematem dopiero wtedy, gdy Rachel zachorowała. Zresztą niewiele się dowiedziałem, ale i tak, szczerze mówiąc, wolałbym wiedzieć znacznie mniej.

Niektóre nowotwory rozwijają się w narządach takich jak płuco albo tyłek. Pewnie wam się wydawało, że rak tyłka nie istnieje, ale niestety istnieje. Takie nowotwory niekiedy się wycina podczas operacji. Ale białaczka to rak krwi i szpiku kostnego, więc krąży po całym ciele i nie da się go tak po prostu wykroić skalpelem. Usuwanie kawałków ciała to okropna i obrzydliwa procedura, ale inny sposób leczenia raka polega na naświetlaniu i/lub chemioterapii, a to znacznie gorsze. W przypadku białaczki trzeba to zrobić na całym ciele.

Zdecydowanie to nic zabawnego.

Moja mama, przejęta chorobą Rachel, zapomina, że nie jestem już raczkującym dzidziusiem i porównała chory organizm do miasta, w którym grasują „przestępcy”. A wtedy chemia to jakby bombardowanie całej okolicy, żeby wyeliminować przestępców. Część miasta zostaje zniszczona. Opowiedziałem o tym Rachel, ale odniosła się do tego porównania dość lekceważąco.

– Mam po prostu raka i biorę chemię – powiedziała.

W każdym razie to bombardowanie zabijające przestępców powoduje, że miasto Rachel odnosi poważne szkody, szczególnie w takich dzielnicach jak Włosa i Skóra oraz na Drodze Pokarmowej. Dlatego kupiła czapkę, uroczą, puchatą i różową, jakie zazwyczaj noszą dziewczyny biegające po centrach handlowych, a nie blade dziewczyny leżące cały czas w łóżku.

Gdyby to była normalna książka o dziewczynie chorej na białaczkę, prawdopodobnie streściłbym cholernie dużo wielce mądrych wypowiedzi Rachel, która czuła się coraz gorzej i gorzej. Pewnie byśmy się w sobie zakochali, połączyłby nas głęboki romantyczny związek, a ona umarłaby w moich ramionach. Ale nie zamierzam was okłamywać. Po moim głupim wybuchu już się na mnie nie wkurzała, ale i tak przeważnie była rozdrażniona lub w najlepszym razie przybita.

Przychodziłem do niej, coś tam opowiadałem, ona się uśmiechała, czasem nawet zachichotała, ale

przez większość czasu nic nie mówiła. Tematy do rozmowy kończyły się nam dość szybko, więc włączaliśmy filmy Gainesa i Jacksona i je oglądaliśmy. Najpierw te nowsze, a kiedy nam się znudziły, te starsze.

Te wspólne seanse były dziwnym doświadczeniem, bo Rachel wpatrywała się w ekran jak zaczarowana. Zabrzmi to idiotycznie, ale kiedy obok niej siedziałem, chyba zobaczyłem te filmy jej oczami, z perspektywy bezkrytycznej wielbicielki, która bez wahania akceptuje wszystkie podejmowane przez nas głupie decyzje. Nie twierdzę, że zmieniłem zdanie o tych filmach, ale Rachel chyba nauczyła mnie ignorować wszelkie niedoskonałości i nieudane sekwencje. Z pewnością złe oświetlenie i kiepski dźwięk nie pozwalały się skupić na opowiedanej przez nas historii, a wtedy na pierwszy plan wysuwaliśmy się my jako filmowcy. A jeśli ktoś lubił nas, to lubił też nasze filmy. Może właśnie dlatego podobały się Rachel.

Nigdy nie powiedziała tego otwarcie, więc może to wszystko nadinterpretacja.

Stan Rachel się nie poprawiał i przez kilka dni była w tak podłym nastroju, że wszystkie moje wysiłki spełzły na niczym. Któregoś dnia coś oglądaliśmy, a ona była bardzo cicha i nagle powiedziała:

– Greg, chyba miałeś rację.

– Co?

– Mówiłam, że miałeś rację.

– Och.

Milczała, jakby się spodziewała, że wiem, o co jej chodzi.

– Ja, eee, zazwyczaj mam rację.

– Nie chcesz wiedzieć, co mam na myśli?

– No chcę.

A może jednak uważała, że nie wiem, o co jej chodzi. Kto wie? Dziewczyny mają świra, a umierającym dziewczynom odbija jeszcze bardziej. Ale palnąłem. Wycofuję to.

– No więc w jakiej sprawie miałem rację?

– Gdy mówiłeś, że umieram.

Wiem, że nie mam prawa się skarżyć, ale w tej chwili poczułem się jak ścierwo. Rachel mnie wkurzyła, ale próbowałem zdusić w sobie gniew.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Ale tak pomyślałeś.

– Nieprawda.

Milczała i to mnie jeszcze bardziej wkurzyło.

– Nieprawda – powtórzyłem o wiele za głośno.

Skłamałem i oboje to wiedzieliśmy.

Wreszcie Rachel skwitowała:

– Gdybyś tak pomyślał, miałbyś rację.

Po tym milczeliśmy bardzo długo. Miałem ochotę na nią nawrzeszczyć. Może powinienem.

Jezu Chryste, nie nawiadzę o tym pisać.

## ROZDZIAŁ 26

# LUDZKIE MIĘSO

Ludzkie życie jest jak wielki osobliwy ekosystem i każdy nauczyciel biologii uwielbia opowiadać o tym, jak zmiana w jednej części ekosystemu wpływa na jego pozostałe elementy. Załóżmy, że moje życie to staw. Okej. Teraz załóżmy, że jakaś wariatka (mama) wpuszcza do tego stawu jakąś wyjętą z innego ekosystemu totalnie zdołowaną rybę (Rachel). Okej. Pozostałe organizmy w stawie (filmy, zadania domowe) przywykły już do jedzenia określonej ilości alg (czasu, który poświęcam na te sprawy). Ale teraz chora na raka ryba zjada wszystkie algi. No i w stawie panuje chaos.

(Poprzedni akapit jest tak głupi, że nawet nie chciało mi się go kasować. A tak przy okazji to na każdą lasującą mózg bzdurę, którą czytacie w tej książce, przypadają cztery przeze mnie skasowane. Większość dotyczy jedzenia i zwierząt. Pewnie już sobie myślicie, że mam obsesję na punkcie jedzenia i zwierząt. To dlatego, że to dwie najdziwniejsze rzeczy na świecie. Zastanówcie się nad tym w wolnej chwili. A może lepiej nie, bo jeszcze dopadnie was atak paniki).

Tak właśnie zmieniło się moje życie. Ucierpiały na tym moje wyniki w szkole. Z tego powodu któregoś dnia pan McCarthy postanowił pogadać ze mną w cztery oczy.

– Greg.

– Dzień dobry, panie McCarthy.

– Podaj mi jakiś fakt.

Pan McCarthy zaskoczył mnie na korytarzu, gdy szedłem na lekcję. Stanął przede mną w dziwnej pozie, jakiś taki dziwnie napięty. Przypominał zapaśnika sumo, tylko nie tupał.

– Hmm? Jakiś fakt?

– Jakikolwiek, byle nie dało się go zakwestionować.

Z jakiegoś powodu źle sypiałem, więc nie potrafiłem na poczekaniu podać żadnego faktu.

– Fakt: zmiana w jednej części ekosystemu, yyy, wpływa na jego całość.

Najwyraźniej nie zrobiłem najlepszego wrażenia na panu McCarthy, ale pominął to milczeniem.

– Greg, zatrzymam cię na pięć minut, a potem odeślę na lekcję z pisemnym usprawiedliwieniem.

– W porządku.

– Teraz.

– Okej.



– Gotowy?

– Tak.

– Dobrze.

Poszliśmy do jego gabinetu. Wymiana instalacji w pokoju nauczycielskim ciągnęła się w nieskończoność, więc na stole stała wyrocznia, zapewne jak zwykle doprawiona marihuaną. Na widok talerza z zupą stanąłem jak sparaliżowany, bo się bałem, że pan McCarthy nawrzeszczy na mnie, że spróbowaliśmy z Earlem jego pho. Spanikowałem jeszcze bardziej, gdy pan McCarthy zapytał:

– Greg, wiesz, dlaczego cię tu przyprowadziłem?

Na to pytanie chyba nie było dobrej odpowiedzi. Poza tym nie potrafię działać pod presją, co zapewne was nie dziwi. Próbowałem powiedzieć „nie”, ale ze strachu zaschło mi w gardle i wydałem z siebie tylko jakiś niezrozumiały pisk. Pewnie wyglądałem, jakbym miał zaraz puścić pawia. Szczerze mówiąc, strasznie się stresowałem na samą myśl o tym, co taki szalony, wytatuowany świrus jak pan McCarthy może zrobić, gdy się dowie, że odkryliśmy, że regularnie łamie prawo. Siedząc przed nim, uświadomiłem sobie, że choć bardzo go lubię, to jednocześnie straszliwie się go boję i w głębi duszy podejrzewam, że jest psychopata.

Nie rozwiązał moich podejrzeń, gdy bez ostrzeżenia zaczął ścisnąć mnie w swoich wielkich ramionach pokrytych kolorowymi tatuażami.

Strach tak mnie sparaliżował, że zamiast się wyrwać, zupełnie się poddałem. Otoczył mnie ramionami, jakby chciał mnie zmiażdżyć. W mojej głowie kłębiły się różne myśli. Jedną z nich była taka: właśnie w tak głupi sposób palacze trawy mordują swoje ofiary. Przytulając je na śmierć. Jaracze to świrusy, a narkotyki to najgorsza trucizna.

Dopiero po chwili z zażenowaniem uświadomiłem sobie, że on po prostu mnie przytula.

– Greg, chłopie – powiedział. – Wiem, że jest ci teraz bardzo ciężko, kiedy Rachel leży w szpitalu. Wszyscy to widzimy.

Wtedy mnie puścił. Ponieważ się nie broniłem i rozluźniłem mięśnie, upadłem prosto na podłogę. Pana McCarthy'ego to nie rozbawiło – w przeciwieństwie do przeciętnego licealisty. Raczej był zaniepokojony.

– Greg! – krzyknął. – Spokojnie, kolego. Chcesz iść do domu?

– Nie, nie – odparłem. – Wszystko w porządku.

Wstałem. Usiedliśmy na krzesłach. Pan McCarthy patrzył na mnie z zatroskaną miną. Zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle i to mnie zbiło z tropu. Czasem psy robią zupełnie ludzką minę i w pierwszej chwili człowiek jest zakłopotany i myśli sobie: „O, ten pies odczuwa jednocześnie nostalgiczną melancholię i sympatię do właściciela. Nie wiedziałem, że zwierzę jest zdolne do tak złożonych emocji”.

Tak właśnie sobie pomyślałem, siedząc przed panem McCarthym.

– Wszyscy widzimy, jak głęboko przeżywasz chorobę Rachel – powiedział pan McCarthy. – Wiemy też, jak wiele czasu z nią spędzasz. Jesteś świetnym przyjacielem. Taki przyjaciel to prawdziwy skarb.

– Wcale nie – odparłem, ale pan McCarthy chyba mnie nie usłyszał, i może w sumie dobrze się stało.

– Wiem też, że naukę odsunąłeś teraz na dalszy plan – dodał pan McCarthy, patrząc mi prosto w oczy, tak że naprawdę wpadłem w popłoch. – Rozumiem to. Ja też radziłem sobie w szkole w taki sposób. Byłem inteligentny, ale się nie przykładałem, robiłem tylko tyle, żeby przetrwać. Ostatnio ty też robisz tylko tyle, żeby przetrwać. Ale tak to czasem bywa.

Zbliżył się do mnie. Próbowałem sobie wyobrazić pana McCarthy'ego jako ucznia. Z jakiegoś powodu zobaczyłem go jako ninja. Nocą zakradał się do stołówki, żeby kogoś zamordować.

– Twoje wyniki w nauce kuleją. To fakt. Rozmawiałem z innymi nauczycielami. Wszyscy twierdzą, że łatwo się rozpraszasz, nie bierzesz udziału w lekcji i nie odrabiasz zadań domowych. Z kilku przedmiotów masz ogromne zaległości. Pozwól, że przedstawię ci kolejny fakt: Rachel... nie chce... żebyś oblał końcowe egzaminy.

– No tak – szepnąłem.

Szczerze mówiąc, to się wkurzyłem. Trochę dlatego, że z panem McCarthym łączyła mnie przyjazna relacja, w której nie było miejsca na tego typu szczere i irytujące rozmowy. Teraz najwyraźniej ta relacja się zmieniała. Wkurzyłem się też dlatego, że on miał rację, a ja dobrze o tym wiedziałem. Fakt, nie odrabiałem wszystkich lekcji i nauczyciele to zauważyli. Ich mogłem olewać, ale nie potrafiłem zlekceważyć pana McCarthy'ego, bo choć był wariatem nadużywającym trawy, to jednocześnie uważałem go za jedyne rozsądnego nauczyciela w całym Benson.

– Posłuchaj mnie – mówił dalej pan McCarthy. – To ostatni rok w liceum, potem stąd znikniesz. Uwierz mi, że po liceum życie robi się o wiele fajniejsze. Teraz jesteś w ciemnym tunelu. Ale na jego końcu widać światełko. Musisz podążać w jego kierunku. Liceum to koszmar. Być może to najgorsze lata twojego życia.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Od patrzenia mu prosto w oczy rozbolała mnie głowa.

– Musisz jakoś przetrwać. Nie oblej egzaminów. Masz najlepszą wymówkę na świecie, ale z niej nie korzystaj. Dobra?

– Okej.

– Zrobię dla ciebie, co tylko w mojej mocy, bo jesteś dobrym dzieciakiem. Greg, jesteś cholernie fajny.

Nigdy nie słyszałem przekleństwa z ust pana McCarthy'ego, więc przynajmniej pod tym względem coś miałem z tej rozmowy. Moja patologiczna skromność niezawodnie dała o sobie znać.

– Nie jestem fajny.

– Jesteś totalnie odjazdowy – powiedział pan McCarthy. – Koniec i kropka. Wracaj na lekcję. Masz tu usprawiedliwienie. Wszyscy uważamy, że jesteś totalnie... odjazdowy... na maksa.

Na karteczce napisał: „Musiałem porozmawiać z Gregiem Gainesem przez pięć minut. Proszę usprawiedliwić jego nieobecność. Greg jest odjazdowy. McCarthy. 11.12”.

Tymczasem w domu szaleństwo Gretchen osiągnęło nowy pułap: nie mogła dokończyć żadnego posiłku, jeśli przy stole siedział tata. Powodem było to, że szaleństwo taty też osiągnęło nowy pułap: z uporem maniaka udawał kanibala. Na przykład jadł potrawę z kurczaka, klepał się po brzuchu i ogłaszał:

– Ludzkie mięso-o-o-o. Smakuje jak kurczak.

Wtedy Gretchen wybuchła płaczem i wybiegała z jadalni. Sytuacja stała się jeszcze gorsza, gdy w ślady taty poszła Grace. Myślałem, że umrę ze śmiechu, bo nic nie bawi mnie bardziej niż sześciolatka, która udaje kanibala.

Tylko tyle działo się w domu. To właściwie nieistotne, ale chciałem opowiedzieć o udawaniu kanibali.

Robienie filmów jakoś przestało mnie bawić. Ostatecznie nie nakręciliśmy z Earlem *Dwóch spedalonych kolesi*. Spotkaliśmy się kilka razy, żeby obejrzeć filmy Davida Lyncha, bo wiedzieliśmy, że są genialne, ale jakoś nie potrafiliśmy napisać własnego scenariusza. Siedzieliśmy tylko i gapiliśmy się w ekran. Earl wychodził na papierosa, ja szedłem za nim. Wracaliśmy i znowu gapiliśmy się w ekran.

Pewnie czytacie to i myślicie sobie: „Ojej, choroba Rachel strasznie zdołowała Grega, kompletnie się rozsypał. To bardzo wzruszające”. Szczerze mówiąc, nie tak to wyglądało. Nie siedziałem sam w pokoju, zalewając się łzami, ściskając jedną z poduszek z pokoju Rachel i słuchając na okrągło koncertów harfowych. Nie przechadzałem się po łące wilgotnej od rosy, w milczeniu rozpaczając nad Szcześciem, którego Nigdy Nie Zaznaliśmy. Może już nie pamiętacie, ale w ogóle nie kochałem Rachel. Czy gdyby nie zachorowała na raka, spędzałbym z nią czas? Oczywiście, że nie. Czy przyjaźnilibyśmy się dalej, gdyby w cudowny sposób wyzdrowiała? Tego też nie jestem taki pewien. Wiem, brzmi to okropnie, ale niby po co mam was okłamywać?

Nie było mi smutno, ale byłem wyczerpany. Kiedy akurat nie byłem w szpitalu, czułem się winny, że nie jestem w szpitalu i nie dodaję Rachel otuchy. Kiedy byłem w szpitalu, najczęściej czułem, że nie sprawdzam się jako przyjaciel. Tak czy siak, miałem przesrane. Do tego użalając się nad sobą, czułem się jak kretyn, bo przecież to nie moje życie miało się już wkrótce skończyć.

Przynajmniej Earl znalazł trochę czasu, żeby mnie pocieszyć.

*EARL*

*nagle*

Można być heteroseksualistą albo homoseksualistą i chyba to rozumiem, to jakby być kobietą w ciele mężczyzny albo coś takiego, ale myślałem nad tym, jak to, cholera, możliwe, żeby być biseksualistą.

*GREG*

Uch...

*EARL*

Przecież nikt nie powie: „Kiedy patrzę na tyłek tej laski, to mi staje. A nie, zaraz, zaraz, wróć, kiedy patrzę na tyłek tego kolesia, to mi staje”. To przecież bez sensu.

*GREG*

Czasem też się nad tym zastanawiam.

*EARL*

Cholera, jeśli ktoś sobie myśli: „Jestem naprawdę biseksualny, każdy może mnie podniecić”, to pewnie byle co wystarczy, żeby mu stanął.

*GREG*

Wydaje mi się, że... no, niektórzy naukowcy uważają, że każdy jest trochę homo, a trochę hetero.

*EARL*

Nie. To bez sensu. Chcesz mi wmówić, że kiedy patrzysz na fajne cycki, to się jarasz, i kiedy patrzysz na fajnego fiuta, to też się jarasz? Tego to mi nie wmówisz.

*GREG*

Nie, tak bym tego nie ujął.

*EARL*

*z determinacją*

Pies robiący kupę – jaram się. Podwójny cheeseburger z Burger Kinga – jaram się. Wirus

komputerowy niszczy mi cały twardey dysk – jaram się.

*GREG*

Dział biznesowy w „Wall Street Journal”.

*EARL*

Na widok tego chłamu jaram się jak cholera.

Milczymy w zamyśleniu.

*EARL*

Mam fajny tekst na podryw. Chcesz wyrwać tę laskę z wielkimi cyckami?

*GREG*

Co to za tekst?

*EARL*

Podchodzisz do niej i mówisz: „Słuchaj, może tego nie wiesz, ale jestem trójseksualny”.

*GREG*

*niepewnie*

Okej.

*EARL*

A dziewczyna na to: „Ale o co chodzi?”.

*GREG*

No tak.

*EARL*

A ty na to: „A tak, trójseksualny”.

*GREG*

Okej.

*EARL*

A ona: „Coooo?”. Kumasz?

*GREG*

Kumam.

*EARL*

No i laska jest skołowana. Wtedy zrzucaś bombę i mówisz: „Trójseksualny, dziewczyno, bo zamierzam się z tobą zabawić w trójkącie”.

*GREG*

Ochhhhhh!

*EARL*

Trójseksualny.

*GREG*

Wypróbuję.

*EARL*

Będzie twoja.

ROZDZIAŁ 27

# TY, JA I WYBUCHAJĄCY INDIK TO JUŻ TRÓJKĄT

No dobra. Wielkimi krokami zbliżamy się do tego etapu mojego życia, gdy zacząłem balansować na skraju przepaści. Akurat tym razem odpowiedzialność za moje problemy ponosiła Madison, a nie moja mama! Obie odegrały w moim życiu bardzo podobne role. Próbuje się za często nie zastanawiać nad tym chorym zbiegiem okoliczności, w przeciwnym razie mogę już nigdy nie dostać erekcji.

Był listopad. Szedłem szkolnym korytarzem wzdłuż ściany, na której wisało mnóstwo lekko przerażających rysunków przedstawiających pielgrzymów i indyki. Te malunki wykonały dzieci z podstawówki z okazji Święta Dziękczynienia. Naraz jak spod ziemi wyrosła przede mną Madison i chwyciła mnie za ramię. Nasze skóry weszły ze sobą w kontakt, a konkretnie powierzchnia jej dłoni dotknęła mojego ramienia.

Nagle z przerażeniem wyobraziłem sobie, że bekam na cały regulator.

– Greg – powiedziała Madison. – Muszę cię prosić o przysługę.

Wcale nie chciało mi się bekać. Ale raptem wyobraziłem sobie, jak bekam w obecności Madison. Zobaczyłem tę scenę ze wszystkimi szczegółami. Może nawet trochę by mi się ułało.

– Przysięgam, że nie oglądałam żadnego z waszych filmów – powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem – ale Rachel tak, oczywiście, i naprawdę jej się podobają. Wpadłam na pomysł, że może moglibyście nakręcić film specjalnie dla niej.

Nie za bardzo wiedziałem, o co jej chodzi. Żeby odwrócić uwagę od Nieuniknionego Beknięcia, które już czaiło się w moim przelyku, spojrzałem na obrazek przedstawiający indyka. Nie był zbyt dobrze namalowany. Z jakiegoś powodu ze wszystkich części indyckiego ciała sikała krew. To pewnie miały być jego pióra albo promienie słońca, albo coś w tym stylu.

– Hmm – mruknąłem pod nosem.

Moja mało entuzjastyczna reakcja chyba zbiła Madison z tropu.

– Chodzi mi o to, że... – zaczęła mówić i urwała. – Chybaby się ucieszyła.

– Hmmmmm.

– Greg, na co się tak patrzysz?

– Ach, przepraszam, zagapiłem się.

– Na co?

Nie mogłem się na niczym skupić. Czułem się jak naćpany. Przypomniał mi się ten borsuk, którego sobie wyobraziłem po zjedzeniu zupy pho pana McCarthy’ego.

– Nie wiem, czemu właśnie wyobraziłem sobie borsuka – powiedziałem.

Nie muszę dodawać, że gdy wypowiedziałem te słowa, miałem ochotę zrobić sobie coś złego.

– Borsuka? – powtórzyła Madison. – Takie zwierzę?

– No tak – odparłem ledwie słyszalnym głosem. – Czasem każdy wyobraża sobie borsuka, prawda?

Miałem ochotę połknąć włączoną wiertarkę. Ku mojemu zdumieniu okazało się jednak, że Madison potrafi zignorować moją paplaninę i wrócić do głównego tematu rozmowy.

– Więc pomyślałam, że moglibyście nakręcić coś dla Rachel. Ona uwielbia wasze filmy. Cały czas je ogląda. Rozweselają ją.

Jakby borsuk nie wystarczył, nagle postanowiłem, że nadszedł czas, by palnąć następną głupotę. Rozpoczęła się emisja kolejnego odcinka powszechnie znienawidzonego serialu pod tytułem *Godzina nadmiernej skromności* z Gregiem Gainesem w roli głównej.

– Aż tak bardzo jej nie rozweselają.

– Greg, zamknij się. Wiem, że nie umiesz przyjmować komplementów. Choć raz przyjmij komplement, na który w pełni zasłużyłeś.

Madison zaobserwowała i zapamiętała jedną z cech mojego charakteru. Tak mnie to oszołomiło, że powiedziałem tylko:

– Słowo.

Tym samym wykonałem klasyczny hat trick, który można by opisać formułą: „Wygadywanie bzdur seriami jako główna przeszkoda w rozpoczęciu współżycia seksualnego”.

– Powiedziałeś: „słowo”?

– Tak, „słowo”.

– Hmm?

– Słowo. Słowo daję.

Madison, ta spryziula, postanowiła odwrócić kota ogonem.

– Dajesz słowo? Więc się zgadzasz! Nakręcić film! Dla Rachel!

I co jej miałem odpowiedzieć? Mogłem się tylko zgodzić.

– No tak. Tak! To świetny pomysł.

– Greg – powiedziała z uroczym wielkim uśmiechem. – Na pewno będzie wspaniały.

– Wystarczy, jeśli będzie dobry.

– Na pewno nakręcicie coś genialnego.



Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony najseksowniejsza dziewczyna w całej szkole mówiła mi, że jestem świetny i nakręcę świetny film. To było przyjemne i musiałem trochę się od niej odwrócić, żeby ukryć połowiczny wzwód. Z drugiej strony zgodziłem się na realizację projektu, w którego powodzenie nie za bardzo wierzyłem. Szczerze powiedziawszy, nawet nie wiedziałem, na co się godzę.

Więc odparłem tylko:

– Uch.

Madison myślała chyba, że coś dodam, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

– Ale muszę cię o coś zapytać – oznajmiłem.

– Mmmmm?

– O czym, mmm. Uchmmmm.

– Co?

– Chodzi o to, że, ymmm.

Tego pytania nie dało się tak sformułować, żeby nie wyjść na kretyna.

– Jak sądzisz, o czym powinien być ten film? – zapytałem ostrożnie.

Teraz Madison patrzyła na mnie tak, jakby niczego nie rozumiała.

– Po prostu go nakręć – powiedziała. – Specjalnie dla niej.

– No tak, ale, eee...

– Nakręć taki, jaki chciałbyś dostać, gdybyś był nią.

– Ale niby o czym? Jak myślisz?

– Nie wiem! – odparła radośnie.

– Okej.

– Greg, ty reżyserujesz. To twój film!

– Ja reżyseruję – powtórzyłem.

Z coraz większym trudem utrzymywałem stan koncentracji. Czułem, jak z oddali z łoskotem zmierza w moim kierunku atak paniki.

– Muszę lecieć. Tak się cieszę, że się zgodziłeś! – wykrzyknęła Madison.

– Taaak – odparłem bez przekonania.

– Jesteś super – powiedziała Madison, obejmując mnie. A potem pobiegła dalej.

– Bleee – beknąłem, gdy Madison już się oddaliła na bezpieczną odległość.

Eksplodujący indyk miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Cholera! Znowu eksploduję?”.

## ROZDZIAŁ 28

# FILM O RACHEL. BURZA MÓZGÓW

Earl miał jeszcze mniej pomysłów niż ja na to, jak powinien wyglądać ten projekt. Jednak nie potrafił tego adekwatnie wyrazić.

– Niech to szlag – mamrotał pod nosem, kiedy próbowałem mu przedstawić jakiś zarys pomysłu. – No dobra – powiedział wreszcie. – Zgodziłeś się nakręcić film specjalnie dla kogoś. Co to, do cholery, znaczy?

– Chyba... że... uch.

– No właśnie. Nawet nie wiesz, co to oznacza.

– Wydaje mi się, że wiem.

– No to wyduś to z siebie, stary.

Earl przetrząsał właśnie naszą kuchnię w poszukiwaniu jedzenia, co wprawiało go w co najmniej neutralny, a może wręcz dobry nastrój.

– Gdybyśmy byli malarzami, tobyśmy jej podarowali własnoręcznie namalowany obraz. Tak? Więc zrobmy filmową wersję takiego prezentu.

– Gdzie, do cholery, tata Gaines trzyma salsę?

– Chyba się skończyła. A gdybyśmy zrobili film tylko w jednej kopii i jej ją podarowali? Dobry pomysł?

– Stary, coś takiego, o cholera.

– Co?

– Co to, do cholery, jest?

– To? Muszę spojrzeć.

– To śmierdzi jak zamarynowana ośla kupa.

– A, to? Pasztet z gęsich wątróbek.

– Skoro nie ma salsy, to zjem ten badziew.

Jak już wcześniej wspominałem, Earl uwielbia podjadać ohydne potrawy ze zwierząt kupowane

i przechowywane w lodówce przez doktora Victora Q. Gainesa. Napisałem „kupowane i przechowywane”, bo tata nigdy nie je ich od razu. Lubi potrzymać je trochę w lodówce, żeby cała rodzina dowiedziała się o ich istnieniu. Ten zwyczaj taty budzi krańcową odrazę Gretchen. Jej ekstremalną niechęć równoważy niemal bezwarunkowa aprobatą Earla, który wyraża swój zachwyt, powtarzając, że pochłaniana przez niego potrawa to obrzydlistwo.

– Stary, nadal nie wiemy, o czym ma być ten film.

– Tak, to nie takie proste.

– Tak.

– Uchhh.

– Moglibyśmy nakręcić naszą wersję *Mulholland Drive*, bo i tak to planowaliśmy, a Rachel powiedzieć, że to specjalnie dla niej. Ale tak nie możemy zrobić.

– Nie?

– No pewnie, że nie. To by była totalna żenada. I co jej powiemy? „Hej, Rachel, obejrzyj sobie ten odjechany film o lesbijkach, które gonią jak z piórem, mają halucynacje i świrują. Ten film zrobiliśmy specjalnie dla ciebie”.

– Mhm.

– Może jeszcze na początku damy napis: „Dla Rachel”? Jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Rachel, uwielbiasz Davida Lyncha. Uwielbiasz odjechane lesbijki na totalnym haju. No to nakręciliśmy ci o tym film”. Nie, chory pomysł. A to co takiego?

– Nie, nie, nie jedz tego. To suszona mątwą, tata je uwielbia. Czasem chodzi po domu z macką wystającą z ust.

– Dobra, dawaj, spróbuję.

– Gryza, ale nie więcej.

– Mmm.

– No i jak?

– Człowieku, ale dziwny smak. Jakbym ugryzł... kibel... wyciągnięty z morza.

– Hmm?

– Smakuje jak delfin albo inny szajs.

– Nie smakuje ci?

– Tego nie powiedziałem.

– Och.

– To jakby w siedemdziesięciu pięciu procentach można delfina i w dwudziestu pięciu procentach chemikalia.

– Czyli smakuje ci?

– Ale dziwne żarcie!

Trudno było się nie zgodzić z Earlem. Nie mogliśmy nakręcić remake'u pierwszego lepszego filmu. Nasz prezent powinien się wiązać z życiem Rachel. Ale jak? Usiedliśmy w kuchni i urządziliśmy burzę mózgów, ale każdy nasz pomysł był głupszy od poprzedniego.

Były naprawdę słabe. Zresztą zaraz sami się przekonacie. O Boże.

– Zjadłeś już?

– Co?

– Zostaw trochę dla taty. Na pewno też będzie chciał.

– Akurat.

– Serio.

– To paskudztwo. Stary, straszliwe paskudztwo.

– To czemu chcesz zjeść wszystko?

– Chcę go uratować przed zatruciem.

## ROZDZIAŁ 29

# FILM O RACHEL – WERSJA DO DYSTRYBUCJI

O tym, że nasz pierwotny plan był pomyłką, przekonałem się, gdy na korytarzu podszedł do mnie Jared „Narkus” Krakievich i nazwał mnie Spielbergiem.

- Co robisz, Spielberg!?! – krzyknął, szczerząc zęby w uśmiechu.
- Co? – zapytałem.
- Słyszałem, że kręcisz film.
- Ach, tak.
- Nie wiedziałem, że robisz filmy.
- Tylko jeden – odparłem, chyba za szybko.
- Od teraz będę na ciebie mówił „Spielberg”.
- Świetnie.

Jared nie był jedynym człowiekiem, który tego dnia zwrócił na mnie uwagę. Cała szkoła wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań, a ja przestałem być niewidzialny.

**Pani Green, nauczycielka fizyki:** „Uważam, że to, co robisz, jest... wzruszające... i niezwykle, i naprawdę wzruszające”.

**Kiya Arnold:** „Mój kuzyn umarł na białaczkę. Tyle chciałam powiedzieć. Tak mi przykro z powodu twojej dziewczyny. Od jak dawna ze sobą chodzicie?”.

**Will Carruthers:** „Ej, cioto! Mogę zagrać w twojej szmirze?”.

Plan A wyglądał następująco: Mieliśmy zgromadzić wszystkich znajomych Rachel ze szkoły, synagogi i tak dalej i nagrać, jak życzą jej rychłego powrotu do zdrowia. Proste, eleganckie, ujmujące. Świetny pomysł, prawda? Oczywiście. Zupełnie nas zauroczył. Bo byliśmy idiotami.

**Pierwszy problem: Musieliśmy sami zrobić nagranie, więc cały wrogi świat dowiedział się, że jesteśmy filmowcami.** Najpierw poprosiłem Madison, żeby to ona nagrywała, to znaczy żeby zamiast mnie i Earla pokręciła się przez chwilę po klasie z kamerą. Wtedy musiałem dodać, że nie chcę, by

wszyscy się dowiedzieli, że kręcę film dla Rachel, co bardzo zasmuciło Madison. No to dodałem jeszcze, że nie chcę przed całym światem ujawniać swoich uczuć do Rachel, co również zasmuciło Madison, ale jakoś tak inaczej. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, o co jej chodzi. Uparła się, że to ja mam zrobić nagranie, i jakieś siedemdziesiąt razy westchnęła: „Och, Greg”, aż wreszcie spanikowałem i uciekłem.

Postanowiliśmy więc, że będziemy nagrywać po lekcjach w gabinecie pana McCarthy’ego, i niechętnie powiedzieliśmy o tym kilku nauczycielom. Pozostali natychmiast się o tym dowiedzieli i poinformowali wszystkich uczniów, a jakby tego było mało, przez okrągły tydzień wiadomość tę podawano codziennie rano przez radiowęzeł.

No tak. Ten cios ostatecznie pozbawił mnie niewidzialności, którą w pocie czoła wypracowywałem przez całe liceum, a potem stopniowo traciłem, odkąd zaprzyjaźniłem się z Rachel. Dawniej byłem tylko zwyczajnym Gregiem Gainesem. Potem zostałem Gregiem Gainesem Przyjacielem, a Może Również Chłopakiem Rachel.

Sytuacja już wtedy była krytyczna. Teraz jednak zostałem Gregiem Gainesem Filmowcem. Gregem Gainesem Facetem, który Łazi za Ludźmi z Kamera. Gregiem Gainesem, który Ukradkiem Właśnie Cię Filmuje Bez Twojej Wiedzy i Zgody.

O cholera.

**Drugi problem: Nagranie nie było najlepsze.** Po pierwsze nauczyciele strasznie się rozgadali, ale z ich wypowiedzi niczego nie dało się wyciąć. Najczęściej opowiadali o tragediach, które ich dotknęły. Nie dość, że wygadywali bzdury, których nie dało się użyć w filmie, to jeszcze po każdym takim nagraniu w pomieszczeniu zapadała krępująca cisza.

Natomiast dziewięćdziesiąt dwa procent uczniów układało swoje życzenia z następujących elementów:

- „Wracaj do zdrowia”.
- „Muszę powiedzieć, że nie znamy się zbyt dobrze”.
- „Wiem, że nie spędziliśmy ze sobą wiele czasu”.
- „Chodzimy razem na lekcje, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy”.
- „Właściwie nic o tobie nie wiem”.
- „Ale wiem, że wyzdrowiejesz dzięki swojej wewnętrznej sile”.
- „Masz śliczny uśmiech”
- „Masz śliczny śmiech”.
- „Masz naprawdę śliczne oczy”.



- „Uważam, że masz śliczne włosy”.
- „Wiem, że jesteś żydówką, ale chcę zacytować coś z Biblii”.
- Pozostałe osiem procent próbowało czegoś zabawnego i twórczego, co kończyło się jeszcze gorzej:
  - „Na ósmej lekcji udało mi się napisać piosenkę, którą chcę ci zaśpiewać. Gotowi? Mogę już śpiewać? Okej. Rachel Kushner, fajna laska / Lecz dopadła ją białaczka / Jasne, że się nie uśmiecha / No bo miała megapecha / Serca nasze łączy przyjaźń / Rachel, będziesz długo żyła”.
  - „Dziś przyszło mi do głowy, że nawet gdy człowiek umiera, jego życie wydaje się krótkie albo długie tylko z ograniczonego ludzkiego punktu widzenia, ale z perspektywy wieczności trwa ono niewiarygodnie krótko, więc tak naprawdę nie ma znaczenia, czy dożyjesz siedemnastu, dziewięćdziesięciu czterech czy dwudziestu tysięcy lat, co jest oczywiście niemożliwe. W porównaniu z ultrananochwilą, która jest najmniejszą możliwą do zarejestrowania jednostką czasu, ludzkie życie wydaje się niemal nieskończone, nawet gdy ktoś umiera jako raczkujący niemowlak. Tak czy siak, długość życia nie ma większego znaczenia. Nie wiem, czy teraz poczułaś się lepiej, ale warto się nad tym zastanowić”.
  - „Greg to ciota. Chyba się w tobie zakochał, więc pewnie został biseksem. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej”.

**Trzeci problem: Madison już dała Rachel kilka kartek z życzeniami powrotu do zdrowia.** Jak się okazało, nasz pomysł nie był nowatorski. Robiliśmy kartkę z życzeniami w formacie wideo.

Natomiast dużo później dotarło do nas, że film z życzeniami stylistycznie nie ma nic wspólnego z innymi filmami Gainesa i Jacksona. Każdy mógł coś takiego nakręcić. Czy w takim razie rzeczywiście zdobyliśmy się na wspaniały gest? Nie.

Od siedmiu lat kręciliśmy filmy. Było nas stać na więcej.

## ROZDZIAŁ 30

# FILM O RACHEL – W STYLU KENA BURNSA

Ken Burns nakręcił kilka dokumentów, między innymi o wojnie secesyjnej. Nie był jej naocznym świadkiem, tak jak my nie byliśmy naocznymi świadkami większości wydarzeń w życiu Rachel. To znaczy byliśmy, ale nie zwracaliśmy na nie uwagi. Brzmi strasznie, ale wiecie, co mam na myśli. A może to naprawdę straszne? Sam już nie wiem.

Chodzi mi o to, że nie śledziliśmy Rachel z kamerą przez całe jej życie, żeby na wszelki wypadek zgromadzić materiał na film dokumentalny. Więc proszę się o to na mnie nie wściekać.

Ken Burns w swoich filmach zazwyczaj montował kilka zdjęć i archiwalnych nagrań zrobionych przez innych ludzi i dodawał do nich wywiady i komentarze spoza kadru. Bardzo łatwo skopiować ten styl, co postanowiliśmy zrobić, realizując plan B od razu po nagraniu tego głupiego wideo z życzeniami. Niestety mogliśmy zrobić wywiad tylko z jedną osobą: Denise. A ona akurat przechodziła ciężki okres. Jej jedyne dziecko, Rachel, chorowało na raka i nie mogło nawet liczyć na swojego ojca, który odszedł od rodziny, o czym zapomniałem wcześniej wspomnieć.

Wywiad z nią był jednym z najkoszmarniejszych wydarzeń w moim życiu.

*Wnętrze. Salon w domu Kushnerów. Dzień.*

*GREG*

*spoza kadru*

Denise, opowiedz o narodzinach Rachel.

*DENISE*

*zamyślona*

Ach, narodziny Rachel.

*GREG*

*spoza kadru*

Tak.

*DENISE*

Narodziny Rachel. Cóż to była za męczarnia.

*z niewyjaśnionego powodu mówi głośniej*

Nigdy nie umiała walczyć. Zawsze była cichym dzieckiem, takim uroczym, nie chciała walczyć, a teraz nie wiem, co robić. Nie potrafię jej skłonić, żeby walczyła.

*GREG*

*spoza kadru*

No tak.

*DENISE*

Wychowałam uroczą i... kochaną dziewczynę, która nie umie walczyć.

*GREG*

*spoza kadru*

Jaka była w dzieciństwie? Miała ulubioną zabawkę?

*DENISE*

*zamyślona*

Dużo czytała.

*krępująca pauza*

Greg, jestem dobrą matką. Ale nie wiem, jak jej pomóc. Wiem, że to straszne, ale czasem mi się wydaje, że ona nie chce już żyć.

*GREG*

*spoza kadru*

No więc w dzieciństwie lubiła... czytać.

*DENISE*

*zdecydowanie, ale zarazem mechanicznie*

Jestem dobrą matką. Jestem dla niej dobrą matką.

Próbowaliśmy przez telefon przeprowadzić wywiad z babcią i dziadkiem Rachel, ale to była jeszcze bardziej dobijająca porażka.

– Halo?

– Dzień dobry, panie Lubov. Mówi Greg, przyjaciel Rachel.

– Kto?

– Przyjaciel pańskiej wnuczki Rachel.

– Czyj przyjaciel?

– Pańskiej wnuczki Rachel.

– Chwileczkę. (Janice. To do ciebie. Mówi, że do ciebie. Telefon. Nie wiem, gdzie jest. Telefon,

Janice.

– ...

– Słucham.

– Dzień dobry, mam na imię Greg. Jestem przyjacielem pani wnuczki Rachel.

– Rachel mieszka... Rachel mieszka ze swoją matką.

– Wiem. Kręcę film dokumentalny o Rachel.

– Kręcisz... aha.

– Zastanawiałem się, czy mogę zadać pani kilka pytań.

– Co?

– Czy mogę zadać pani kilka pytań o Rachel?

– Zapytaj jej matkę Denise.

– To do filmu. Ucieszy się.

– Okej, nie wiem, kim jesteś, i nie umiem ci pomóc. Ale jeśli szukasz Rachel, to mieszka ze swoją matką Denise.

– Aha, okej. Dziękuję.

Rozłączyłem się, bo miałem wrażenie, że babcia Rachel za chwilę się rozbeczy. Ale czasem babcie po prostu mówią takim płaczkliwym głosem. Tak czy inaczej, było to dołujące doświadczenie.

Nie udało nam się też znaleźć zbyt wielu nagrań w ich domowym archiwum. Denise pozwoliła nam obejrzeć jeden film z wakacji, ale wahaliśmy się, czy go wykorzystać.

*Plener. Plaża. Wyspa Księcia Edwarda. Dzień.*

Niebo jest szare, a piasek ciemny, jakby przed chwilą padało i zaraz znowu miało padać.

RACHEL siedzi zamyślona na ręczniku i wpatruje się w morze.

*DENISE*

*spoza kadru*

Kochanie!

*RACHEL odwraca się do kamery, ale nic nie mówi. Jej twarz jest pozbawiona wyrazu.*

*DENISE*

*spoza kadru*

Jesteśmy na pięknej Wyspie Księcia Edwarda. To mała Rachel, a to Bill.

*Zbliżenie na BILLA siedzącego pod parasolem na zdobionym leżaku z dwoma pełnymi nosidełkami na piwo.*

*BILL*

*zbyt głośno*

Świetnie się bawimy.

*DENISE*

*spoza kadru, z udawanym rozradowaniem*

Bill ma muchy w nosie z powodu pogody!

*BILL*

Denise, wyłącz to.

*DENISE*

*spoza kadru*

Może przynajmniej spróbuj dobrze się bawić.

*BILL*

Nie widzisz, że właśnie próbuję?

Na miejscu Rachel, gdybym leżał w łóżku i czuł się podle, tej sceny z pewnością nie wpisałbym na listę Scen, które Chce się Obejrzeć.

Właściwie wszystkie materiały, które poddaliśmy obróbce metodą Kena Burnsa, okazały się do kitu. Zasadniczo próbowaliśmy stworzyć biografię dziewczyny, której życie było dosyć krótkie i do tego mało ciekawe. Wiem, że brzmi strasznie, ale to prawda. To, co wyszperaliśmy wśród starych nagrań rodzinnych, w najlepszym razie było nudne, a w najgorszym mogło jej sprawić przykrość.

Zresztą sam pomysł, by kręcić dokument o życiu Rachel, był w sumie nie na miejscu, bo choć nigdy nie powiedzieliśmy sobie tego otwarcie, to jego przekaz był dość jasny: „Teraz, kiedy twoje

życie się kończy, możemy je podsumować. No więc oto podsumowanie twojego życia”. Chyba nie da się powiedzieć nic gorszego.

Potrzebowaliśmy nowej metody. Znacznie lepszej. W przeciwnym razie musielibyśmy popełnić samobójstwo.

Tymczasem stan Rachel pogarszał się z dnia na dzień. Właściwie każde nasze spotkanie wyglądało tak samo.

*Wnętrze. Sala szpitalna. Wieczór.*

*GREG*

Dziś pomyślałem: najbardziej lubię cukierki o smaku truskawkowym. Ale tak naprawdę wcale nie lubię truskawek. I nagle sobie uświadomiłem, że cukierki truskawkowe wcale nie smakują jak prawdziwe truskawki. Więc jaki mają smak? Na pewno da się go do czegoś porównać, prawda? Czy istnieje jakiś pyszny tajemniczy owoc, o którym nigdy nie słyszałem? Chciałbym go spróbować, wiesz? Chciałbym się nim napchać tak, żebym nie mógł się ruszać.

A potem pomyślałem, czy może tak smakuje jakieś zwierzę. Na przykład gdybyś zjadła morsa, to tak fantastycznie by smakował, ale producenci cukierków boją się powiedzieć, że ich cukierki mają smak morsowy.

*RACHEL*

*ledwie słyszalnym głosem*

Tak.

*GREG*

To nowa poduszka? To chyba jakaś pani poduszka. Hej...

*szeptem*

Przedstawisz nas sobie? Całkiem fajna. Jeśli to kłopot, nie musisz.

*RACHEL*

*chyba chce się zaśmiać*

Hhhhhnh...

*GREG*

*w panice*

Cholera, zapomniałem. Która godzina? Po piątej? Muszę zrobić Człowieka Gołębia. Przepraszam,

ale to część mojego nowego programu treningowego.

*robi zeza, kołysze głową, drobi kroki*

Człowiek Gołąb. Człowiek Gołąb. Chodzi jak gołąb. Człowiek Gołąb. Narobi ci na głowę. Jestem największym Człowiekiem Gołębiem pod słońcem.

*RACHEL*

Greg, nie musisz mnie rozśmieszać.

*GREG*

Co?

*RACHEL*

Nie musisz odstawiać szopki.

*GREG*

*czuje się jak śmieć*

Okej.



## ROZDZIAŁ 31

# FILM O RACHEL – WERSJA ZE SKARPETKOWYMI PACYNKAMI

Plan C przewidywał wykorzystanie skarpetkowych pacynek.

Przede wszystkim skarpetkowe pacynki potrafią wyrazić znacznie więcej emocji, niż się powszechnie sądzi. Dłoń można na wiele sposobów wsunąć do skarpetki, która przypomina wtedy ludzką twarz. Jeśli dorysuje się oczy i brwi, to pacynka wygląda zupełnie jak człowiek. Trzeba umieć animować usta, ale jeśli się opanuje tę sztukę, można zdziałać cuda.

Plan C polegał więc na nakręceniu filmu o nowotworze z udziałem skarpetkowych pacynek. Był to zatem pomysł od początku skazany na niepowodzenie.

Kiedy już zdecydowaliśmy się na skarpetkowe pacynki, naszym głównym problemem stała się fabuła. Jeśli to Rachel miała być główną gwiazdą, co miała robić? Komu powinna skopać tyłek? Białaczce?

*Wnętrze. Kartonowy pejzaż w jaskrawych kolorach. Dzień.*

*RACHEL*

La, la, la, la, la.

*STAN*

*ma wąsy, pelerynę i mówi z południowym akcentem*

Hej!

*RACHEL*

*podejrzliwie*

Hmm. Kim jesteś?

*STAN*

Yyy... mam na imię Stan.

RACHEL

A na nazwisko?

STAN

Stan mmmphlmmmp.

RACHEL

Nie słyszę.

STAN

Stan Chorobowy.

RACHEL

Zaraz ci skopię tyłek.

Czy wymyśliliśmy coś lepszego niż Justin Howell z kółka teatralnego, który ułożył piosenkę o Rachel, co się nie uśmiecha, no bo miała megapecha? Nie sądzę.

*Wnętrze. Kartonowy pejzaż w jaskrawych kolorach. Dzień.*

STAN CHOROBOWY

*mówi prosto do kamery*

Co słyszać? Podaję ogłoszenie do wiadomości publicznej. Jestem nowotworem. Lubię się znęcać nad dziećmi i nastolatkami, bo jestem totalnie żaloszny. Oto lista rzeczy, których nienawidzę:

- pyszne jedzenie takie jak pizza,
- urocze małe pandy,
- gdybyście wypełnili basen o olimpijskich rozmiarach ślicznie pachnącymi gumowymi piłeczkami, w których można baraszkować, też bym tego nienawidził.

Niewiele osób o tym wie, ale najbardziej na świecie lubię źle nakręconą reklamę samochodu z muzyką gitarową w tleeeeeee.

*RACHEL trzyma w ustach kij bejsbolowy i tłucze nim STANA, jednocześnie jodłując.*

Jedna wielka prymitywna dziecinada. Ni w pięć, ni w dziesięć. Nasz film przypominał program telewizyjny dla małych dzieci, a co gorsza, przedstawiał zafałszowaną wersję rzeczywistości. Rachel nie walczyła z białaczką. Nie chciało jej się walczyć. Poddała się.

## ROZDZIAŁ 32

# FILM O RACHEL – WERSJA TYPU *WALLACE I GROMIT*

Plan D polegał na przygotowaniu animacji poklatkowej. To taki typ animacji, kiedy robi się pojedyncze zdjęcie, potem nieznacznie zmienia ustawienie figurek, a czasem również kamery, robi się kolejne zdjęcie, przemieszcza figurki i tak w kółko. To żmudna robota, która pochłania mnóstwo czasu. Plus jest taki, że można użyć Dartha Vadera z lego.

Chcieliśmy pokazać Rachel kilku oprychów, którzy rozmawiają o tym, jak bardzo lubią białaczkę. Rachel miała się wkurzyć i nabrać chęci do walki. A wyszedł nam film tak denny, że bardziej dennego nie znajdziecie.

*Wnętrze. Gwiazda Śmierci z lego. Noc, jak to zwykle w kosmosie.*

*Atmosferyczna muzyka. Roboty szturmowe z lego chodzą w tle.*

*DARTH VADER*

*śpiewa do siebie*

Na, na, na! Ale ze mnie ostry koleś. Fiu, fiu. Jestem niezłym draniem.

*patrzy w obiektyw*

Och! Cześć! Nie zauważyłem was. Nazywam się Darth Vader i jestem szefem Gangu Admiratorów Nowotworów i Guzów, w skrócie G A N G -u.

*W lewym dolnym rogu ekranu pojawia się napis:*

Gang

Admiratorów

Nowotworów i

Guzów

*DARTH VADER*

Uważamy, że białaczka to świetna sprawa. Nie chcę być gołosłowny! Oto świadectwa wrednych piratów!

*Plener. Statek piracki z klocków lego. Dzień.*

*KRÓL PIRATÓW*

Aghrrr! To był dzień inny od wszystkich, w poprzek prawej burty Davy Jones we własnej osobie, ze swoją mackowatą brodą!!! Ślepy Bill nie zauważył na horyzoncie ohydnych lepkich odnóży wszechpotężnego Krakena – wszystkie działa ze śródokręcia na rufę, szorować pokład, wybrudne bękarty, brzuchate szczury lądowe i świnie!!!

*Wnętrze. Gwiazda Śmierci. Noc.*

*DARTH VADER*

Aha... no jasne.

*Wnętrze. Biurko Grega. Dzień.*

*PLASTIKOWA FIGURKA SERPENTORA*

*posykuje jak wąż*

Jestem Serpentor, cesarz i przywódca śmiercionośnego oddziału Cobra! Najbardziej na świecie uwielbiam białaczkę! A ponieważ tak bardzo ją kocham, zamierzam się teraz całować ze swoją siostrą baronową Anastazją DeCobray! Wiadomo, że jest zła, bo jej nazwisko zawiera w sobie słowo „Cobra”!

*BARONOWA*

Uwielbiam się całować ze swoim brzydkim jak noc bratem! Bo sama wyglądam ohydnie!!!

*SERPENTOR*

Jak się będziemy całować?

*BARONOWA*

Cholera, usta mi się nie chcą otworzyć.

*SERPENTOR*

Mnie też nie.

*BARONOWA*

No i co teraz?

*Wnętrze. Gwiazda Śmierci. Noc.*

*DARTH VADER*

Oczywiście, że uwielbiamy białaczkę! Jeszcze mi nie wierzycie? Zapytajcie ten przycisk do papieru w kształcie wirującego pająka.

*Wnętrze. Biurko Grega. Dzień.*

Przycisk do papieru to martwa tarantula zatopiona w pleksi. Zaczyna się kręcić dzięki magii animacji poklatkowej.

*WIRUJĄCY PRZYCISK DO PAPIERU Z TARANTULĄ*

*z jakiegoś powodu mówi z niemieckim akcentem*

Najbardziej na świecie cieszy mnie białaczka.

Chryste.

Tak wyglądał plan D. Może wyszedłby z tego dobry film. Nie wiadomo. Ale wątpię. Wiem tylko, że nakręcenie go zajęłoby nam mnóstwo czasu. A kilka dni przed Świętem Dziękczynienia Rachel i Denise postanowiły, że mają dość chemioterapii, szpitala i całego tego leczenia. Postanowiły powierzyć sprawy losowi.

W tym momencie naprawdę nie wiedziałem, co robić.

## ROZDZIAŁ 33



# CO MAM TERAZ ZROBIĆ?

Rachel wróciła do swojego pokoju. Rzecz jasna, wszystko się zmieniło. Przez pierwszych kilka dni była w dobrym nastroju. Wróciła w piątek. Był listopad, ale jeszcze się nie ochłodziło.

– Przestali mnie faszerować chemikaliami – wyjaśniła.

– Skończyłaś leczenie?

– Raczej kiepsko na mnie działały.

Przez chwilę medytowaliśmy w ciszy nad tym ponurym stwierdzeniem. Nie wiem, dlaczego powiedziałem:

– Świetnie działały na twoje włosy.

Chciałem trochę rozładować ciężką atmosferę, przez co oczywiście tylko pogorszyłem sprawę. Ale Rachel się zaśmiała. Jej śmiech zabrzmiał jednak jakoś dziwnie, jakby musiała inaczej ułożyć usta, bo ją rozboleła. Skutecznie odsunąłem od siebie tę myśl.

Po chwili się rozgadałem, ale nie próbowałem za wszelką cenę rozbawić Rachel. Nagle zrobiło się tak jak dawniej, nim poszła do szpitala i wpadła w depresję. Rozsiedliśmy się w jej ciemnym pokoju pełnym poduszek i zdjęć, ja rozwlekłe opowiadałem o swoim życiu, a ona cierpliwie mnie słuchała i wydawało mi się, że wszystko wróciło do normy. Na chwilę zapomniałem, że Rachel postanowiła umrzeć.

A tak na marginesie, gdy ktoś przerywa chemioterapię, a ty mówisz, że podjął decyzję, że umrze, wszyscy wpadają w panikę. Na przykład moja mama. Nawet nie chce mi się o tym pisać.

No tak.

– Gretchen świruje.

– Naprawdę?

– Straszliwie. Dziewczyny w tym wieku są niemożliwe. Ciągle tylko piszczą i tupią. Najczęściej bez powodu. Ty też taka byłaś? Kiedy miałaś czternaście lat?

– Czasem kłóciłam się z mamą.

– Gretchen wkurza się nawet na Cata Stevensa. Głaska go, on nagle się wścieka i ją gryzie, co robi przez całe życie, a ona zaczyna się drzeć: „O Boże, jak ja nienawidzę tego głupiego Cata Stevensa!”.

Twierdzi, że wygląda jak wielki obły ślimak. To prawda, ale właśnie to jest w nim najfajniejsze.

– Że wygląda jak ślimak?

– Tak, ma cętki w takim ślimakowym kolorze. Wśród ślimaków uchodzi za mistrza gryzienia.

Ale chyba nie potrafiłem tak całkiem zapomnieć o tym, że ona postanowiła umrzeć. W trakcie naszej rozmowy myśl, że Rachel już wkrótce nie będzie żyła, czaiła się gdzieś z tyłu mojej głowy i trochę mnie stresowała. A może nie tyle mnie stresowała, ile mi ciążyła i przyprawiała o lekką zadyszkę.

Wreszcie Rachel zapytała:

– Jak wam idzie praca nad nowym filmem?

– Ach, ten nowy będzie świetny.

– Nie mogę się doczekać.

Powiedziała to w taki sposób, że domyśliłem się, że o wszystkim wie. Nie jestem naiwny, podejrzewałem, że wszystko wyszło na jaw.

– Tak, uch... Pewnie już wiesz, że to film dla ciebie. Tak jakby o tobie.

– Wiem.

Próbowałem mówić o tym od niechcienia.

– Dowiedziałaś się?

– Tak, ktoś mi powiedział.

– Tak? Kto? – Mówiłem głośno, prawie piskliwie. Właściwie miałem teraz prawie taki głos jak Denise Kushner.

– Nie wiem. Chyba Madison. Mama o tym wspomniała. Anna. Naomi. Earl. Kilka osób.

– Och. To mi przypomina, że muszę o czymś pogadać z Earlem.

– Okej – odparła.

## ROZDZIAŁ 34

# PODZIEMNY KRAŁG W WERSJI DLA UBOGICH

Nigdy nie pokłóciłem się z Earlem. Głównie dlatego, że jestem tchórzem, ale też dlatego, że dobrze nam się współpracowało i każdy miał jasno określoną rolę. Nigdy się na niego nie zezłościłem, a poza tym strasznie boję się konfliktów. Szczególnie z Earlem, bo umie kopnąć człowieka w głowę z półobrotu.

Ale wkurzyłem się, że powiedział Rachel o filmie. Więc poszedłem do niego, żeby na niego nawrzeszczyć.

Nawet kiedy o tym piszę, czuję pod pachami ostre, bolesne kłucie.

Przez całą drogę mamrotałem do siebie pod nosem. Przede wszystkim przygotowywałem sobie przemówienie.

– Earl – szeptałem – wszelka twórcza współpraca opiera się na wzajemnym zaufaniu. A ja już nie umiem ci zaufać. Gdy powiedziałaś Rachel o naszym filmie, który miał być niespodzianką, zdradziłaś moje zaufanie.

Szedłem ulicą przez nie najpiękniejszą część Homewood, poruszając ustami i wydając jakieś dziwaczne dźwięki. Kiedy ktoś ma nadwagę i idzie tak szybko, brak mu gracji, a do tego pot spływa z niego hektolitrami.

– Nie wiem, czy mogę jeszcze kiedyś z tobą współpracować. Musisz na nowo zdobyć moje zaufanie, jeśli chcesz jeszcze kiedyś kręcić ze mną filmy. Nawet nie wiem, co musiałbyś zrobić.

Dotarłem już do jego przecznicy, a gdy tylko zobaczyłem rozpadający się dom Jacksonów, mój galopujący puls jeszcze przyspieszył.

– Będziesz musiał mnie przekonać, że mogę ci zaufać. – To była kolejna brednia, którą miałem zamiar powiedzieć.

Przeszedłem ścieżką, na której złamałem rękę, i stanąłem. Już nie mamrotałem pod nosem. Bałem się nacisnąć dzwonek. Zamiast tego wysłałem SMS:

hej stoje pod twoim domem

Ale zanim wyszedł Earl, na ganku zjawił się Maxwell.

– Czego, kurwa, chcesz? – zapytał dość łagodnie, jakby od niechcenia.

– Czekam na Earla – odparłem głosem Żydówki w średnim wieku.

W progu stanął Earl.

– Co jest? – zapytał.

– Cześć – odparłem.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Chcesz wejść?

– Nie chcę – odparłem mimowolnie.

Nie przyjąłem uprzejmego zaproszenia, żeby wejść do jego domu. To była oczywista zapowiedź nadchodzącej kłótni.

– O-ho! – zapiął Maxwell.

Earl przestał być wkurzony, zaczął być w takim supernastroju, jakiego nigdy u niego nie widziałem.

– O co ci, kurwa, chodzi? – warknął.

– Rozmawiałem z Rachel i dowiedziałem się, że jej powiedziałaś o, yyy, o filmie.

Earl odparł tylko:

–Tak.

Może udawał, że nie wie, jakie to dla mnie ważne. A naprawdę miał to gdzieś, bo go tak straszliwie wkurzyłem.

– Chodzi o to – zacząłem bełkotać – wiesz, chodzi o to, że najpierw powiedziałaś Rachel o naszych filmach, potem jej je dałaś, nie pytając mnie o zgodę, mówisz jej o wszystkim, jakbyś się nie liczył z tym, czego ja chcę, nie twierdzą, że ona nie powinna o nich wiedzieć czy ich oglądać, tylko chodzi mi o to, że mogłaś mnie zapytać, najpierw, wolałbym...

– Wiesz co? Stul pysk. Po prostu się zamknij, do cholery.

– Ja tylko...

– Mam dość twojego pieprzenia. Zmęczyłem się. Zamknij mordę, bo zaraz mnie coś strzeli.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zrobić Earlowi pogadanki na temat zaufania, ale szybko doszedłem do wniosku, że nic nie wskóram, a może nawet wywołam apokalipsę. Poza tym z coraz większym trudem wypowiadałem kolejne słowa. Stałem tylko i, no cóż, nie da się tego inaczej wyrazić, z całych sił powstrzymywałem się od płaczu.

– Stul, kurwa, ryj. Tak się martwisz, co inni powiedzą, wszystko tajne jak cholera, wszystkim w koło liżesz dupę, udając ich przyjaciela, bo tak się martwisz, co o tobie pomyślą, a ja ci coś powiem: wszyscy mają cię gdzieś. Wszyscy co do jednego. Nie masz przyjaciół. Nikomu na tobie nie

zależy.

– Ok... kej.

– Nikomu. Cała szkoła ma cię głęboko w dupie. Wszyscy, do których się tak przymilasz, mają cię w dupie. Martwisz się tylko tym, co sobie pomyślą, a oni mają cię w dupie. Srają na to, czy żyjesz, czy nie, ty pedale. Mają na ciebie wyjebane. Powtórzę ci to dużymi literami: Mają. Na ciebie. Wyjebane.

– Ok... kej. Jj... ezu.

– Stary, zamknij ryj, bo nie mogę cię słuchać. Tak, powiedziałem Rachel o filmach, dałem jej kilka tych gniotów do obejrzenia, bo tylko jej na nich, kurwa, trochę zależy. Tak. Nie ma cycków jak balony, więc masz ją w dupie, ale ta druga lala ma cię w dupie, Rachel nie, ale ty masz Rachel w dupie, bo jesteś małą, głupią gnidą.

– T... tak.

– Przestań się, kurwa, mazgaić.

– O... ok... kej.

– Przestań, cholera, płakać.

– Okej.

Czy wspomniałem, że Maxwell cały czas nas obserwował? Bawił się w najlepsze. Z pewnością jego obecność sprawiła, że Earl był bardziej agresywny niż zwykle.

– A teraz wypierdalaj mi stąd. Patrzenie mi się na ciebie nie chce, ty żałosna cioto. Idź się mazgaić gdzie indziej.

Nic nie powiedziałem. Nawet się nie ruszyłem. Earl do mnie podszedł.

– Mam cię serdecznie dość. Traktujesz tę dziewczynę jak kulę u nogi, chociaż nie masz bliższej przyjaciółki, a na dodatek ona niedługo umrze. Wiesz o tym, prawda? Ty głupi palancie. Wróciła do domu, bo niedługo umrze. Ona leży na łożu śmierci, a ty przychodzisz do mnie, żeby mi tu skamlać z powodu jakichś pierdół. Mam ochotę... skopać ci dupę. Słyszysz? Mam ochotę... spuścić ci wpierdol, teraz.

– No to już.

– Chcesz?

– Mam to g... gdzieś.

– Chcesz, złamasie?

Właśnie chciałem się zdobyć na odrobinę sarkazmu i ze łzami w oczach powiedzieć: „Tak, Earl, no dalej”, gdy walnął mnie prosto w brzuch.

Po raz drugi w ciągu miesiąca leżałem przed domem Jacksonów i zwijałem się z bólu, a nade mną stał niewysoki chłopak w bojowym nastroju. Przynajmniej tym razem nie był to chłopak

z niepoprawnym politycznie tatuażem na karku. Nie uderzał mnie też raz po raz w twarz, gdy próbowałem sobie przypomnieć, jak się oddycha.

Earl powiedział cicho:

– Wstawaj, przecież nie uderzyłem cię naprawdę.

– Tak! Przywał mu jeszcze raz! Skop mu dupę! – pokrzykiwał Maxwell.

Ale w jego głosie nie było słycać entuzjazmu. Nasza żenująca bijatyka najwyraźniej go rozczarowała. Nic dziwnego. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby się po nas spodziewać spektakularnego starcia na pięści. Równie dobrze można by oczekiwać dobrej walki między rosomakiem a, no nie wiem, żelkowym misiem.

W końcu Maxwell wrócił do domu i zostaliśmy sami. Earl wciąż był wkurzony, ale chyba już nie na mnie.

– Cholera, ale z ciebie dupa wołowa. Dostałeś raz w brzuch, a zachowujesz się, jakbyś umierał. Ja pitolę.

– Unngh.

– No dobra. Weź się w garść.

– Jezu.

– Chodźmy do ciebie. Zabierzemy się do roboty.

– Unnnch... cholera.

– No już. Chodź. Pomogę ci.

## ROZDZIAŁ 35



# JUŻ WIDAĆ KONIEC

Realizując plan E, nawet nie użyliśmy sprzętu taty, tylko znacznie gorszej kamerki z mojego laptopa. Inspiracji dostarczył nam YouTube. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Jak pierwsi lepsi nudziarze bez krzty talentu postanowiliśmy, że najtrafniej wyrazimy nasze intencje, gdy będziemy patrzeć prosto w obiektyw i mówić. Bez scenariusza, bez specjalnego oświetlenia, nie ruszając kamerą. Postanowiliśmy zrezygnować z wszelkich efektów i zobaczyć, co nam z tego wyjdzie.

Czy to był okropny pomysł? Poczekajcie chwilkę, przekażę wasze pytanie do prezydenta Takzanii.

*Wnętrze. Pokój Grega. Dzień.*

*GREG*

No dobra. Rachel.

*EARL*

Hej, Rachel.

*GREG*

Próbowaliśmy na wiele sposobów zrobić dla ciebie film, no i, yyy, nic nie wyszło nam tak, jak chcieliśmy.

Jeśli nie napisze się wcześniej dialogów, to przede wszystkim człowiek co chwila się zacina i z milion razy wtrąca „yyy”. Więc od początku sprawia takie wrażenie, jakby przed chwilą doznał ciężkich obrażeń głowy.

*EARL*

Próbowaliśmy nakręcić film ze skarpetkowymi pacynkami, ale doszliśmy do wniosku, że to trochę, yyy, nie na miejscu.

*GREG*

Nagraliśmy życzenia od całej szkoły, ale, yyy, już dostałaś mnóstwo kartek z życzeniami, no i, yyy, chcieliśmy zrobić coś bardziej osobistego.

*EARL*

Próbowaliśmy nakręcić film dokumentalny o tobie. Yyy.

*GREG*

Yyyyy.

*EARL*

Ale mieliśmy za mało materiału do, yyy, zmontowania.

*GREG*

Chcieliśmy nagrać taką, yyy, skomplikowaną animację poklatkową, yyy, żeby cię zachęcić, byś zaczęła walczyć z rakiem, ale, yyy, wyszło strasznie głupio i zupełnie inaczej niż, yyy, zamierzaliśmy.

*EARL*

No i teraz, yyy, próbujemy tego.

*OBAJ*

*zniekształcone głosy*

*GREG*

Ty pierwszy.

*EARL*

Nie, ty pierwszy.

*GREG*

No dawaj.

*EARL*

*powoli, jakby coś go bolało*

Yyy... No dobra. Yyy. Pewnie nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że mogłem cię poznać. Bo przede wszystkim w innych okolicznościach to pewnie nigdy byśmy się nie spotkali, bo, szczerze mówiąc, nie obracamy się w tych samych kręgach. Więc to, że byłaś w moim życiu przez ostatnie kilka tygodni, uważam za, yyy, dar od losu.

Podziwiam cię za wiele rzeczy. Podziwiam twoją inteligencję, twoją przenikliwość i spostrzegawczość. Ale, yyy. Tak naprawdę największe wrażenie robi na mnie twoja, yyy, nie wiem, jak to określić. Chyba twoja cierpliwość. Ja bym się wściekał, byłbym zdołowany, cierpiałbym i nie można byłoby ze mną wytrzymać. A ty jesteś taka silna i cierpliwa, kiedy nie wszystko idzie po twojej myśli. To robi na mnie wrażenie. Twoja obecność to dla mnie, yyy, błogosławieństwo.

*kończy zachrypniętym głosem*

No, yyy, to tyle.

I co ja miałem, do cholery, powiedzieć po czymś takim?

Podstawowy problem polegał na tym, że Earl powiedział to, co naprawdę myślał, a gdybym ja powiedział to samo, tobym skłamał.

*EARL*

*kontynuuje zduszonym głosem, trochę wkurzony*

Twoja kolej.

Czy Rachel mnie inspirowała? Czy naprawdę uważałem ją za inteligentną, przenikliwą, cierpliwą i tak dalej? Nie. Przykro mi, ale nie. Oczywiście przez to czuję się fatalnie. Wolałbym, żeby spotkanie z nią było dla mnie ważnym, inspirującym i przełomowym wydarzeniem. Naprawdę bym wolał. Wiem, że coś takiego powinno się stać. Ale się nie stało.

*EARL*

*kontynuuje*

Stary, twoja kolej.

No co miałem powiedzieć? Prawdę?

*EARL*

*kontynuuje, uderza GREGA w ramię*

Twoja kolej, głupku.

*GREG*

Dobra. Dobra, dobra. Yyy. Nakręciliśmy ten film, bo, yyy, bo chcemy, żebyś wyzdrowiała. No i,

yyy. Słuchaj, chodzi o to, że naprawdę możesz wyzdrowieć. Jesteś silna i, yyy. Tak, chciałem ci tylko powiedzieć, yyy, że w ciebie wierzę.

*teraz chyba mówi trochę za dużo*

No i, yyy, teraz sobie uświadomiłem, że to dlatego chcieliśmy nakręcić ten film. Żeby ci pokazać, że w ciebie wierzymy.

*teraz już kłamię na całego*

Właśnie dlatego, yyy, nakręciliśmy ten film.

Przez cały weekend słuchałem, jak mówię „wierzymy w ciebie”, i miałem ochotę rąbnąć się pięścią w twarz. To było jawne kłamstwo. Gdybyśmy naprawdę wierzyli w Rachel, nie spieszylibyśmy się, żeby nakręcić ten film przed jej śmiercią. Poza tym niby czemu mieliśmy w nią wierzyć? Nawet ona w siebie nie wierzyła. Bez ogródek powiedziała mi, że wkrótce umrze. Przerwała leczenie i postanowiła wrócić do domu, by tam czekać na to, co nieuniknione. W jaki sposób kolesie tacy jak my mogli temu zapobiec?

Jednocześnie niewiele dało się powiedzieć w takiej sytuacji.

W niedzielę późnym wieczorem mama weszła do mojego pokoju.

– Kochanie.

– O, cześć.

– Wciąż pracujesz nad filmem dla Rachel?

– Tak.

– I jak ci idzie?

– Do przodu.

– Och, kochanie, ciiii.

– Wszystko gra.

– Ciiii.

– Hrrr.

– Utrata przyjaciela to trudna sprawa.

– N... nie aż taka trud... na.

– Trudna, kochanie.

– N... nie, n... n... nie trudna.

– Ciii.

## ROZDZIAŁ 36

# FILM O RACHEL

*Film o Rachel* (reż. G. Gaines i E. Jackson, 2011). Ten nieformalny filmowy hołd dla Rachel Kushner, ofiary białaczki, cechuje się niezwykle eklektycznym stylem. Łączy w sobie materiały dokumentalne, wywiady, animację poklatkową i skarpetkowe pacynki, a całość można opisać jako jeden wielki śmietnik. Film otwiera ziarniste, rozpixselowane nagranie, na którym reżyserzy Gaines i Jackson przepraszają Rachel. Przyznają, że film jest źle skonstruowany i zasadniczo niespójny. Po tym wstępie następuje kolejno pastisz głupawych życzeń od uczniów i nauczycieli z liceum, bijatyka skarpetkowych pacynek, paplanina ludzików z lego mówiących z niezrozumiałym akcentem, seria fatalnie zeskanowanych zdjęć z dzieciństwa Kushner, a także absurdalne komentarze, nazbyt luźno łączące się z głównym tematem filmu. W melodramatycznym, łzawym zakończeniu na ekranie ponownie zjawiają się reżyserzy i po prostu nie da się tego oglądać. To jednak adekwatny finał dla dzieła, które z powodzeniem można określić mianem Najgorszego Filmu Wszech Czasów. ★

Przed moją ostatnią wizytą Rachel zdążyła go już kilka razy obejrzeć, ale nawet nie wiedziałem, od czego zacząć rozmowę na jego temat. Jak zwykle leżała w łóżku, ale nie miała czapki. Mówiła tak jak zawsze, trochę ochrypłym, nosowym głosem, jakby miała katar. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może mój głos brzmi bardzo podobnie.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparła Rachel.

Z jakiegoś powodu chciałem przybić z nią żółwika, ale tego nie zrobiłem.

– Obejrzałam *Film o Rachel* – powiedziała.

– Mmmm.

– Fajny.

– Wiesz, że nie musisz tego mówić.

– Nie, naprawdę mi się podobał.

– Okej, skoro tak mówisz.

– Ale to nie jest mój ulubiony film.

Nie wiem czemu, ale ulżyło mi, że Rachel jest szczerą. Podejrzewam u siebie jakiś rodzaj

zaburzenia emocjonalnego, które polega na tym, że często reaguję nieadekwatnie do sytuacji. Ta choroba powinna się nazywać „debilizm emocjonalny”.

– No tak, gdybyś się nim zachwycała, świadczyłoby to fatalnie o twoim guście, bo to niezbyt dobry film.

– Dobry, ale nie aż tak jak inne wasze produkcje.

– Naprawdę nie wiem, czemu nam nie wyszedł. Pracowaliśmy nad nim tak ciężko, a nie nakręciliśmy ani jednej sensownej sceny.

– Dobrze się spisaliście.

– Nie, wcale nie.

Chciałem jej wytłumaczyć, dlaczego wszystko poszło nie tak, ale oczywiście nie umiałem. Nie jesteśmy jakimiś superdoświadczonymi filmowcami, ale na tym etapie naszej kariery powinniśmy już umieć stworzyć coś lepszego niż ten przyprawiający o mdłości i depresję gniot pod tytułem *Film o Rachel*.

– Jesteś zabawny – powiedziała z tak szerokim uśmiechem, jakiego dawno nie widziałem na jej twarzy.

– Co?

– Jesteś bardzo samokrytyczny. To zabawne.

– Jestem samokrytyczny, nie znam większego głupka od siebie.

– Przestań.

– Mówię serio, jestem totalnym kretynem.

Wprawdzie nie potrafiłem wyjaśnić, jakim cudem nakręciliśmy Najgorszy Film Wszech Czasów, ale nie przegapiłem okazji, żeby obrzucić się błotem! Właśnie do mnie dociera, że to jedna z moich ulubionych czynności.

– Gdybyś zajrzała do mojej głowy, przekonałabyś się, że na każdą kolosalną głupotę, którą mówię albo robię, przypada pięćdziesiąt o wiele gorszych i tylko przypadkowo udaje mi się ich nie powiedzieć i nie zrobić.

– Greg.

– Mówię serio.

– Cieszę się, że się pogodziliśmy.

– Tak? No tak. Ja też.

Potem przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Pewnie liczycie na to, że w tamtej chwili przepełniała mnie miłość i czułość. W takim razie powinniście się przerzucić na inną książkę. Lepsza będzie nawet instrukcja obsługi lodówki. Doda wam więcej otuchy niż moje wypociny.

Przede wszystkim byłem zły i zirytowany. Wkurzyłem się na Rachel za to, że postanowiła umrzeć.

Wiem, że to głupie. Istnieje duża szansa, że nie jestem nawet istotą ludzką. No i co z tego? Po prostu wkurzyłem się, że ona musi umrzeć. A chyba jeszcze bardziej wkurzyłem się na siebie, bo życzyłem Rachel powrotu do zdrowia, choć zupełnie w to nie wierzyłem. Patrząc prosto w obiektyw, mówiłem: „Wiem, że możesz wyzdrowieć” i „Wierzę w ciebie”. A w moich baranich oczach było widać, że nie wierzę w to, co mówię. Nawet najlepszy montaż nie mógłby tego zatuszować. No dobra, to ja zachowałem się jak debil, ale to Rachel postawiła mnie w tej głupiej sytuacji, bo nie dość, że przestała walczyć, to jeszcze zmusiła wszystkich dokoła, by udawali, że tego nie zauważyli.

Rachel chyba wyczuła, że myślę o naszym filmie, bo znowu o nim wspomniała.

– Fajnie, że nakręciliście dla mnie ten film.

– To szmira, ale musieliśmy. Nie umiem wyjaśnić, czemu nie wyszedł nam lepiej.

– Nie musieliście go kręcić! – Rachel patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Tak, musieliśmy.

– Nie.

– Naprawdę jesteś naszą jedyną fanką. Dlatego chcieliśmy nakręcić coś specjalnie dla ciebie.

– A mogę was prosić o jeszcze jedną przysługę?

Tak mnie zaskoczyła, że udało mi się zażartować:

– Przecież nakręciliśmy już dla ciebie film! Czy nie ma końca twoim żądaniom, tyranie?

A właściwie tyranko.

Rozległo się ciche parsknięcie i chichot. Rachel dopiero po chwili nad sobą zapanowała.

– Przejrzałam ten informator z ofertami uczelni.

– Tak?

– Tak. Są tam szkoły filmowe.

Po jakimś czasie dotarło do mnie, o co jej chodzi.

– Znalazłam też kilka dobrych uczelni, na których można studiować reżyserię – dodała.

Mechanicznie kiwałem głową. Przecież nie było się o co spierać.

– Chcę, żebyś złożył tam papiery i pokazał komisji swoje filmy. Earl też.

– Yyy, okej.

– Tylko o to cię proszę.

– Okej.

– Zrobisz to?

– No jasne.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.



## ROZDZIAŁ 37

# TO JUŻ KONIEC

Wreszcie dotarliśmy do momentu, kiedy moja mama rujnuje moje życie i życie Earla. Przynieście sobie popcorn! To będzie zajebiste. Poczekam tu na was.

Mmm. Słony popcorn z roztopionym masłem.

Właściwie też sobie zrobię popcorn. Poczekajcie.

Cholera, znalazłem tylko dietetyczny. Ohyda. Smakuje jak gąbka z kanapy.

Ożeż w mordę.

Kręcąc *Film o Rachel*, narobiłem sobie potężnych zaległości w szkole. Jak już wspominałem, wcześniej też nie szło mi najlepiej, ale w trakcie pracy nad filmem sięgnąłem dna. Miałem takie oceny jak członkowie gangów, a nauczyciele zaczęli wzywać mnie po lekcjach na rozmowę, by ostrzec, że zmierzam prosto w przepaść. Wreszcie dzień po tym, jak dałem Rachel jedyną kopię filmu, pan McCarthy zainterweniował. Spotkał się z moimi rodzicami, którzy zgodzili się, żeby pan McCarthy każdego dnia po lekcjach posiedział ze mną i spróbował uratować mnie przed dwójmami ze wszystkich przedmiotów.

Czy to samo przytrafiło się Earlowi? Nie, dlatego że Earl chodzi na lekcje, z których nie można wylecieć. Nieważne, co na nich robi i jak często je opuszcza. Nie wyleciałby z nich nawet wtedy, gdyby przypiął zszywkami martwe zwierzę do zadania domowego. Nawet wtedy, gdyby któregoś dnia obrzucił nauczyciela torebkami pełnymi narkotyków pomieszanych z psią kupą. Wtedy co najwyżej trafiłby na dywanik do gabinetu wicedyrektora.

Nagle zacząłem odrabiać wszystkie lekcje pod czujnym okiem trochę szalonego pana McCarthy'ego. Właściwie cieszyłem się, że ktoś przejął kontrolę nad moim życiem. Sam nie potrafię nim pokierować, więc ulżyło mi, gdy znalazłem się w dobrych rękach. Cieszyłem się też, że codziennie mam do wykonania konkretne zadania, które tak mnie absorbowały, że zapominałem o upływie czasu. To odciągało mnie od myślenia o wszystkich przygnębiających rzeczach, które właśnie się działy.

Niestety nie zauważyłem też, że mama zaczęła się dziwnie zachowywać.

Zazwyczaj kiedy jestem w domu, uwielbia grać mi na nerwach, co godzinę sprawdzając, co robię.

Każda matka potrafi znaleźć milion powodów, żeby skontrolować swoje dziecko.

- Tylko sprawdza, co się dzieje.
- Tylko sprawdza, czy nie potrzebujesz pomocy.
- Chciała tylko powiedzieć, że jest piękna pogoda i może powinieneś trochę poćwiczyć.
- Chce ci tylko powiedzieć, że idzie na fitness.
- Chce ci tylko powiedzieć, że wróciła z fitnessu.
- Chce ci tylko powiedzieć, że Gretchen jest Ostatnio Trochę Trudna, więc lepiej jej nie denerwować.
- Zastanawia się, czy chcesz na kolację kotleciki wołowe, czy może wolisz jagnięcinę, bo właśnie idzie do supermarketu i nie pamięta, czy lubisz jagnięcinę.
- Właśnie chciała cię o coś zapytać, ale zapomniała, więc zapyta później, chyba że wiesz, o co chciała zapytać, ale to mało prawdopodobne, więc wróci później, a przy okazji: wszystko w porządku? Okej? Tak? Kochanie, włącz światło, bo sobie zepsujesz wzrok.

Tymczasem od kilku dni mama mnie nie nękała. Nigdy w życiu mi się coś takiego nie przydarzyło. Co prawda, rzadziej bywałem w domu, ale kiedy się zjawiałem, i tak mnie nie sprawdzała. Dziś sam się sobie dziwię, że tego nie zauważyłem. Ale wtedy miałem mnóstwo spraw na głowie i pewnie podświadomie cieszyłem się z tymczasowego braku nadzoru, choć jednocześnie bałem się, że kontrole w każdej chwili mogą zostać wznowione.

Bomba wybuchła w czasie przerwy po ósmej lekcji.

W naszej szkole wszelkie apele odbywają się zazwyczaj po ósmej lekcji, kiedy wypada akurat nasza przerwa obiadowa, dlatego z radością opuszczamy je z Earlem. Ale teoretycznie apel jest obowiązkowy dla wszystkich uczniów i z jakiegoś powodu pan McCarthy uparł się, żebyśmy tym razem wzięli w nim udział.

– Przykro mi, chłopaki – powiedział, stając w drzwiach do swojego gabinetu, przed którym już czekała na niego grupa uczniów o twarzach zdezorientowanych niemowląt. – Wpadłbym w tarapaty, gdyby któryś z was zastał tu w czasie apelu.

No więc zostawiliśmy nasze żarcie na jego biurku i powlekliśmy się z wszystkimi do auli.

Przed każdym apelem na scenę wchodzi sekcja perkusyjna szkolnej orkiestry i wybija jakiś dynamiczny rytm, a co odważniejsi sportowcy chwytają za mikrofon i próbują rapować. Wicedyrektor przegania ich jednak ze sceny, kiedy recytują swoje rymowanki o seksie albo wyrwie im się słowo na „k” lub na „p”. Tym razem zamiast bębniarzy na scenie już czekał wielki ekran, a obok niego stał dyrektor Stewart. Przyszliśmy jako jedna z ostatnich klas, więc kiedy zajęliśmy miejsca, dyrektor

Stewart wziął mikrofon i przemówił.

Dyrektor Stewart, potężnie zbudowany czarnoskóry mężczyzna, budzi powszechny postrach. Trudno go inaczej opisać. Jest bardzo apodyktyczny, a jego dyżurny wyraz twarzy to „wkurz”, podobnie jak u Earla. Nigdy nie przemówił do mnie bezpośrednio i miałem nadzieję, że coś takiego nie przytrafi mi się aż do matury.

Trudno opisać głos dyrektora Stewarta. W jego słowach zawsze pobrzmiewa gniew, nawet jeśli pozornie się nie denerwuje, a do tego często robi pauzy. W czasie apelu zawsze wygląda na mocno poirytowanego.

– Uczniowie i nauczyciele. Liceum Benson. Witam na apelu. Przyszliśmy tu. Żeby kibicować Trojanom. Gdy pewnie zatriumfują nad Allderdice. Dziś wieczorem na szkolnym boisku.

Rozległy się okrzyki i wiwaty, które dyrektor Stewart uciszył jednym lodowatym spojrzeniem.

– Naszemu dzisiejszemu spotkaniu. Przyświeca jednak. Inny, równie szczytny cel. Będę mówił krótko. I na ten temat. – Długa pauza. – Członkini rodziny Benson. Walczy. Z rakiem. Może znacie ją osobiście. A jeśli jej nie znacie, to z pewnością o niej słyszeliście. Nazywa się Rachel Kushner. Każdy z nas. W którymś momencie. Modlił się. Za nią i jej rodzinę. Bardzo potrzebują. Naszego wsparcia.

Gniew w jego głosie sprawił, że jego słowa zabrzmiały ironicznie, co mnie rozśmieszyło. Zachichotałem cicho, a wtedy dyrektor Stewart spojrzał na mnie i z pewnością zobaczył mój głupawy uśmiech. Żadne słowa nie opiszą mojego przerażenia w tamtej chwili.

– Ale dwóch naszych uczniów. Poszło dalej. O wiele dalej. Poświęcili wiele godzin. By nakręcić film.

Usłyszałem, jak siedzący obok mnie Earl wydaje z siebie jakiś zduszony odgłos.

– Film, który miał podnieść Rachel na duchu. Sprawić, by nie czuła się samotna. Dać jej nadzieję. I miłość. Rozbawić ją. By wiedziała, jak bardzo nam na niej zależy.

Po każdym słowie wypowiedzianym przez dyrektora Stewarta miałem ochotę walnąć się pięścią w twarz.

– Nie chcieli. Żeby ktoś poza Rachel. Obejrzał ten film. Nakręcili go dla niej. I tylko dla niej. Ale tak wspaniale. Gesty. Z pewnością warto zauważyć. Docenić. I nagrodzić oklaskami.

Teraz towarzyszyło mi już inne uczucie. Miałem ochotę kopnąć się w brzuch.

– Gregory Gaines. Earl Jackson. Zapraszam was na scenę.

Nogi się pode mną ugięły. Nie mogłem wstać. Poczułem w gardle kwaśny smak wymiocin. Earl zrobił się trupio błydy. Miałem nadzieję, że zdołam stracić przytomność na zawołanie, ale mi się nie udało.

Jak się okazało, film wpadł w ręce Denise. Rachel go włączyła i zasnęła. Denise weszła do jej pokoju i obejrzała nasze dzieło. Potem pokazała je mojej mamie. Potem moja mama powiedziała

Denise, że nikomu nie pozwalamy oglądać naszych produkcji. Wtedy razem postanowiły, że wszyscy powinni obejrzeć ten film. Bez naszej wiedzy spotkały się z naszymi nauczycielami. Oni obejrzeli film. Obejrzał go też dyrektor Stewart. A teraz miała go obejrzeć cała szkoła.

Kiedy wyszliśmy na scenę, rozległy się niemrawe oklaski, a dyrektor Stewart położył swoje gigantyczne dłonie na naszych ramionach, wbił w nas tak gniewny wzrok, jakby zamierzał nas pożreć żywcem, i powiedział cicho:

– Jestem do głębi poruszony. Tym, co zrobiliście. Jesteście dumą naszej szkoły.

Potem we trzech usiedliśmy na krzesłach ustawionych nieco z boku, na ekranie pojawiła się gigantyczna głowa Earla, i moja, jeszcze większa, i przez dwadzieścia osiem minut całe Benson oglądało *Film o Rachel*.

## ROZDZIAŁ 38

# KONSEKWENCJE

Gdyby to była normalna powieść dla nastolatków, teraz przeszlibyśmy do wspaniałego finału, w którym całe liceum zgotowało nam owację na stojąco, Earl i ja znaleźlibyśmy Prawdziwą Akceptację i zaczęlibyśmy Wierzyć w Siebie, Rachel w cudowny sposób by ozdrowiała, a nawet gdyby umarła, to Zawsze Bylibyśmy Jej Wdzięczni Za To, Że Dzięki Niej Odkryliśmy Nasz Talent, zacząłbym chodzić z Madison i kiedy tylko przyszłaby mi na to ochota, wtulałbym twarz w jej biust jak rozanielona panda.

Właśnie dlatego nienawidzę powieści dla nastolatków. Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Tego, co się wydarzyło, nie przewidziałby jednak nawet najczarniejszy scenariusz.

**1. Naszym kolegom z klasy *Film o Rachel* niespecjalnie się spodobał.** Nienawidzili go. Uważali, że jest dziwny i niezrozumiały. Uznali też, że to my ich zmusiliśmy, żeby go obejrzeć, mimo wstępu dyrektora Stewarta, którego większość uczniów nie słuchała. Przyszli do auli, ale spojrzeli w kierunku sceny dopiero wtedy, gdy zgasły światła, dlatego doszli do wniosku, że to my wpadliśmy na pomysł pokazania wszystkim tego głupiego filmu. A ponieważ to potworna szmira, znienawidzili go z całego serca. A Earl i ja musieliśmy ze sceny oglądać ich reakcje. Wiele osób niecierpliwie się wierciło, z nudów rozmawiało, nauczyciele próbowali ich uciszyć, a koledzy posyłali nam mordercze spojrzenia. Sytuacja zrobiła się krytyczna.

Ale najgorsze były rozlegające się raz po raz okrzyki oburzenia. Na przykład wirująca tarantula doprowadziła kilka osób do ostateczności.

- Tak nie można!
- Okropne.
- Po co to oglądamy?

Ale najbardziej przeraziły mnie reakcje Anny i Naomi, dwóch najbliższych przyjaciółek Rachel. Obu film się bardzo nie spodobał. Naomi co kilka sekund dawała wyraz swoim emocjom, krzywiąc się z obrzydzeniem i przewracając oczami. Co gorsza, nie mogłem mieć jej tego za złe. Anna wyglądała jeszcze gorzej, bo zupełnie się rozkleiła. Pocieszał ją Scott Mayhew, którego kiedyś przedstawiłem dziewczynom jako wymiotującego kosmitę. W międzyczasie zaczął chodzić z Anną. Najwyraźniej

uważał, że zawiodłem jego zaufanie, o czym informowało mnie jego groźne, ponure spojrzenie. Dobrze, że nie nosił ze sobą miecza.

Nauczyciele głośno wyrażali swój zachwyt, co po pierwsze dowodziło ich fatalnego gustu filmowego, a po drugie sprawiło, że koledzy znienawidzili nas jeszcze bardziej, bo na każdym kroku przypominano im o tym głupim filmie. Najwyraźniej uznali, że nakręciliśmy go, bo szukaliśmy taniego poklasku. Na samą myśl o tym mam ochotę włożyć głowę do słoja pełnego jadowitych owadów.

Wcale nie poczułem się lepiej, gdy filmem zachwyciło się kilku jaraczy trawy. Dave Smeggers zatrzymał mnie w korytarzu, żeby mi powiedzieć, że według niego nasz film jest „głęboki”.

– I bardzo zabawny – dodał. – Potraktowaliście śmierć prawdziwej osoby jako coś zabawnego. Zabawnego na maksa! Odjechałem.

Nawet nie chciało mi się tłumaczyć, że mieliśmy zupełnie inny cel.

Madison próbowała być uprzejma i twierdziła, że film jej się podobał, choć nie za bardzo wiedziała, o co w nim chodzi. Tym ostatnim stwierdzeniem ostatecznie nas dobiła.

– Jesteście tacy kreatywni – powiedziała takim tonem, jakbyśmy z tego tytułu mieli prawo do kręcenia bzdurnych, budzących odrazę gniotów i zmuszania innych do ich oglądania.

Wszyscy widzieli nasz film i prawie wszyscy uznali go za totalne badziewie. Mówiąc słowami Straszego Syryjczyka Nizara: „Jak się chcesz bić, to się bij ze mną. Szlag cholera kurwa mać”.

**2. Moi koledzy z klasy mieli teraz znakomity powód, by mnie nie lubić.** W ciągu kilku dni po projekcji *Filmu o Rachel* moja pozycja w ekosystemie Benson zmieniła się ponownie, i to na gorsze. Na początku roku szkolnego byłem Gregiem Gainesem, chłopakiem, który utrzymuje ze wszystkimi przyjazne, choć niezbyt bliskie relacje. Potem stałem się Gregiem Gainesem Przypuszczalnie Chłopakiem Nudnej Dziewczyny. Nie czułem się z tym dobrze, podobnie jak z etykietką Grega Gainesa Filmowca. Ale teraz zostałem Gregiem Gainesem Filmowcem, który Kręci Żalodne Filmy Eksperymentalne i Zmusza Wszystkich, żeby Je Oglądali. Zostałem samotnym szympansem, który bezradnie skacze po leśnym poszyciu, a na karku ma wielką tarczę z napisem: „Założę się, że nie trafisz w moją głowę kupą!”.

Nie potrafiłem nawet zmusić się, żeby porozmawiać o tym z kimkolwiek ze szkoły. Zresztą i tak nie potrafiłem rozmawiać o niczym innymi niż filmy. Czasem na korytarzu szkolnym ktoś do mnie krzyczał, najczęściej coś o wirującej tarantuli, która, jak się domyśliłem, symbolizowała bezdenną gniotowatość naszego filmu. Nie potrafiłem też wymyślić adekwatnej riposty. Tylko przyspieszałem kroku. Czułem się okropnie.

A moje relacje ze szkolnymi grupami? Kujony traktowały mnie z nieskrywaną pogardą. Dziani nagle zaczęli się zachowywać tak, jakby mnie nie znali. Sportowcy co chwila pytali, kiedy zacznę kręcić porno dla pedałów. A co najgorsze, aktorzy uznali, że próbowałem zawłaszczyć aulę, którą



uważali za swój teren, i że rozgorzała między nami jakaś zajadła artystyczna rywalizacja. Pozostali traktowali mnie z mieszanką rezerwy i niechęci.

No cóż, to nie było fajne.

**3. Earl i ja bardzo, ale to bardzo się od siebie oddaliliśmy.** Nie interesowało nas już wspólne spędzanie czasu. Ani trochę.

**4. Zupełnie się rozsypałem i zostałem pustelnikiem.** Prawdę mówiąc, nie zareagowałem zbyt dobrze na to, co się stało. Projekcja odbyła się w grudniu, więc chodziłem do szkoły jeszcze przez tydzień, a potem, na tydzień przed przerwą świąteczną, po prostu przestałem. Pojechałem na rowerze do marketu budowlanego, kupiłem zamek do drzwi, zainstalowałem go byle jak za pomocą domowych narzędzi i zamknąłem się w pokoju.

Od czasu projekcji utrzymywałem kontakt tylko z tatą, choć właściwie się do niego nie odzywałem, tylko wysyłałiśmy sobie SMS-y. To było trochę dziwne.

Synu, idziesz dziś do szkoły?

nie

Czemu?

źle się czuję

Zawieźć cię do lekarza?

nie po prostu chcę być sam

Nie złamałeś sobie przypadkiem ręki?

niby czemu miałbym sobie złamać rękę

Przecież nie potrafisz się posługiwać narzędziami!

nie złamałem

Jeśli chcesz, to zrób sobie coś do jedzenia. Gdybyś mnie potrzebował, jestem w gabinecie.

Później dowiedziałem się, że mama, zdołowana moim fiaskiem, uległa sugestiom taty i na jakiś czas się ode mnie odczepiła. Oczywiście było mi to na rękę. Wydaje mi się, że gdyby mi nie odpuściła, to nawiałbym pieszo do Buenos Aires.

Przez tydzień siedziałem w pokoju i oglądałem filmy. Najpierw tylko dobre, bo liczyłem na to, że poprawią mi nastrój, ale przypomniały mi jedynie, jakim jestem beznadziejnym filmowcem. Potem puściłem sobie kilka złych, ale to wcale nie poprawiło mi nastroju. Od czasu do czasu próbowałem rzucić okiem na któryś z gniotów Gainesa i Jacksona, ale po pięciu minutach musiałem go wyłączyć. Nasze filmy były koszmarnie. Po prostu. Nie mieliśmy sprzętu ani aktorów. Stać nas było co najwyżej na żenujące dziecinne wygłupy. Nawet te, które wydawały mi się najlepsze, teraz okazały się badziewne. *Gwiazdne pokoje. 2002. Kota-blanca. Dno. Chłam. Nuda* nie do wytrzymania.

Trzeciego dnia wpadłem w szal, wszystkie nasze płyty porysowałem nożyczkami i wyrzuciłem do śmieci. Choć już wtedy wiedziałem, że nie poczuję się dzięki temu lepiej, i tak to zrobiłem, bo niby czemu nie?

Gdy już byłem na samym dnie depresji, pewnego popołudnia tata zadzwonił na moją komórkę i powiedział mi, że Rachel znowu wylądowała w szpitalu.

## ROZDZIAŁ 39

## KONSEKWENCJE II

W sali szpitalnej zastałem Denise. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, więc tylko siedzieliśmy przez chwilę w krępującej ciszy. Wydawało mi się, że powinienem wyjść, ale wiedziałem, że wtedy Denise poczuje się jeszcze gorzej. Rachel się nie obudziła. Dowiedziałem się, że dostała zapalenia płuc.

Kiedy dziś wspominam tamten dzień, naprawdę nie wiem, czemu tak bardzo chciałem, żeby się obudziła. Nie miałem jej nic do powiedzenia, ale i tak chciałem z nią jeszcze przez chwilę pogadać. Siedziałem i gapiłem się na nią przez godzinę. Jej kręcone włosy zniknęły. Miała zamknięte usta, więc nie widziałem jej dużych zębów. Miała zamknięte oczy, więc ich też nie widziałem. Gdy tak leżała, jej charakterystyczne cechy gdzieś zniknęły, ale i tak wciąż przypominała siebie.

Przez cały czas płakałem, bo z jakiegoś powodu dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że Rachel umiera, a ja patrzę na jej śmierć. Spojrzałem na to z zupełnie innej strony.

Wcześniej wiedziałem, że ona odchodzi, tylko nie do końca to do mnie docierało. Chyba nie wyrażam się dość jasno. Na poziomie intelektualnym przyjąłem do wiadomości, że Rachel umiera. Ale związane z tym emocje dopadły mnie o wiele później i wtedy poczułem się cholernie źle.

Wiem, jestem idiotą, dlatego zrozumiałem powagę sytuacji dopiero wówczas, gdy siedziałem w sali szpitalnej i patrzyłem, jak ciało Rachel powoli umiera, ale wtedy było już za późno, by coś powiedzieć lub zrobić. Dlaczego wcześniej nie potrafiłem tego zrozumieć? Nie mam pojęcia. Teraz leżała przede mną umierająca istota ludzka, ktoś wyjątkowy i niepowtarzalny. Tylko jeden jedyny raz istniała osoba, która miała te, a nie inne oczy i uszy i w charakterystyczny sposób oddychała przez usta. Tylko u Rachel lekko uniesione brwi i drgające nozdrza zapowiadały monstrualny wybuch śmiechu. Ktoś taki tylko jeden raz pojawił się na świecie. Teraz życie Rachel nieomal dobiegło końca, a ja nie potrafiłem sobie z tym poradzić.

Pomyślałem też, że nakręciliśmy film o śmierci, chociaż nie mieliśmy o tym pojęcia. Być może Earl miał coś do powiedzenia na ten temat, ale ja nie wiedziałem zupełnie nic. Poza tym nakręciliśmy film o dziewczynie, której nigdy dobrze nie poznaliśmy. Właściwie wcale nie nakręciliśmy filmu o niej. Ona umierała, a my kręciliśmy sobie film o nas samych. Wykorzystaliśmy Rachel, żeby nakręcić film o sobie, i to wydało mi się tak złe i głupie, że nie mogłem przestać płakać. *Film*

o Rachel wcale nie opowiadał o Rachel. Opowiadał o tym, jak niewiele o niej wiedzieliśmy. Kręcąc go, udowodniliśmy jedynie naszą gigantyczną ignorancję.

Kiedy tak obok niej siedziałem, modliłem się w duchu, żeby się obudziła i opowiedziała mi o sobie absolutnie wszystko, a ja uwieczniłbym to na nagraniu. Nagle nasza mnie straszna myśl, że może ona przestała myśleć, że jej mózg już nie produkuje świadomych myśli, i wtedy zupełnie się rozkleiłem i zacząłem ohydnie chlipać jak słoń morski: hurnk, hurngk, hrunnn.

Denise siedziała obok mnie jak skamieniała.

Byłem na siebie wściekły, że dopiero teraz, gdy było już za późno, zrozumiałem, jak należało nakręcić ten film. Powinien się skupiać na Rachel i przedstawić ją jak najpełniej, a najlepiej, gdybyśmy towarzyszyli jej z kamerą przez całe życie, a drugą zainstalowali w jej głowie. Byłem rozgoryczony i zły, nie mogłem uwierzyć, że stracę Rachel. Nikt nie dowiedziałby się o tym, co mówiła, o tym, że śmiała się z ludzi, że miała swoje ulubione słowa, których często używała, że kiedy się denerwowała, strzelała palcami, że kiedy jadła jakąś potrawę albo czuła jakiś zapach, przez głowę przemykały jej różne wspomnienia, a może na przykład, że wiciokrzew przywodził jej na myśl jakiś letni dzień, kiedy bawiła się z przyjaciółmi, albo coś w tym stylu, że deszcz płynący po szybie w samochodzie jej mamy przypominał jej palce kosmity, że, być może, fantazjowała o głupim Hugh Jackmanie i wyobrażała sobie swoje życie na studiach i że pewnie w wyjątkowy sposób patrzyła na świat, choć nie wszystkimi przemyśleniami dzieliła się z otoczeniem. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiła i pomyślała, teraz miało przepaść na zawsze.

*Film o Rachel* powinien uświadomić ludziom, że jej śmierć to cholernie wielka strata i gdyby nie choroba, Rachel żyłaby długo i szczęśliwie, tymczasem ją straciliśmy, straciliśmy, do cholery, straciliśmy, straciliśmy, straciliśmy ją, do cholery, a najgorsze, że jej śmierć była głupia i bezcelowa, pozbawiona znaczenia, nic dobrego z niej nie wyniknęło, więc siedziałem i myślałem o tym filmie, i wiedziałem, że powinna znaleźć się w nim scena w szpitalu, kiedy się rozklejam, a obok mnie siedzi jej mama, nieruchomo jak kamienny posąg, i milczy, z martwym wzrokiem wbitym w podłogę, i nienawidzę siebie za to, że jakaś część mnie potrafi mimo wszystko chłodno i z dystansu zastanawiać się nad tym wszystkim, ale nic nie mogę na to poradzić.

W pewnym momencie do sali weszła moja mama i jeśli wam się wydaje, że zalewając się łzami, przeprowadziliśmy wzruszającą rozmowę, to chyba was pocięło.

W końcu musieliśmy wyjść na korytarz, ale najpierw mama zrobiła coś bardzo dziwnego. Przytuliła milcząco i znieruchomiła Denise i powiedziała do niej coś, co wydawało mi się kompletnie bez sensu.

Siedziałem z mamą na dwóch twardych szpitalnych krzesłach w korytarzu i próbowałem wypłakać do końca wszystkie łzy, żeby wreszcie móc wydusić z siebie jakieś strzępy słów.

– Chcę tylko, żeby się obu... obudziła.

- Och, kochanie.
- Masakra.
- Uszczęśliwiłeś ją.
- Skoro ją usz... uszczęśliwiłem, to czemu nie pró... próbuje walczyć? Bardziej?
- To za trudne. Kochanie. Z niektórymi rzeczami nie da się wygrać.
- Masakra.
- Śmierć czeka każdego.
- Hurrnnnrnnngk.

Siedzieliśmy tak godzinę. Oszczędzę wam dalszych szczegółów. W końcu przestaliśmy rozmawiać, zapadła cisza, na wózkach przewożono ludzi podobnych do Gilberta, a lekarze i pielęgniarki mijali ich szybkim krokiem.

Potem mama powiedziała:

- Przepraszam.

Wydawało mi się, że wiem, o co jej chodzi.

- Szkoda, że mnie najpierw nie zapytałaś.
- Zapytałam, ale chyba nie dałam ci wyboru.
- Mamo, o czym ty mówisz? Nie zapytałaś mnie.
- A o czym my w ogóle rozmawiamy?
- Ja mówię o tej głupiej projekcji w czasie apelu.
- Och.
- A ty o czym?
- Ja mówię o tym, że zmusiałam cię do spędzania czasu z Rachel.
- To pikuś w porównaniu z apelem.
- Akurat z tego powodu nie mam wyrzutów sumienia. Czuję się winna, bo kazałam ci się zмагаć z tak trudn...
- Nie masz wyrzutów sumienia z powodu apelu?
- Nie, ale mam w związku z...
- Ten apel to był koszmar. Dosłownie koszmar.
- Jeśli żałujesz, że twoi koledzy ze szkoły obejrżeli wasz piękny film, to doprawdy brak mi słów.
- Nie do wiary. Upierasz się, że to był dobry pomysł? Przede wszystkim...
- Są sprawy...
- Mogę dokończyć?
- Po pierwsze są sprawy...

– Mogę dokończyć, mam? Mam, daj mi dokończyć. Mam!

Oboje zastosowaliśmy ulubioną strategię mamy, która polegała na zalaniu rozmówcy nieprzerwanym potokiem słów. Chyba tak ją zaskoczyłem, że dopuściła mnie do głosu.

– No dobrze. Słucham.

– Mam. Cała klasa szydzi z tego filmu. Mnie i Earlowi też się nie podoba. Uważamy, że wcale nie jest dobry. To totalna chała.

– Gdybyś...

– Mam, daj mi skończyć.

– No dobrze.

– To nie jest piękny film, okej? Tak naprawdę to gniot. Bo, mam, nie przerywaj, pomimo dobrych intencji nie nakręciliśmy dobrego filmu, okej? On wcale nie opowiada o Rachel. To jedna wielka żenada, która dowodzi, że nic o niej nie wiemy. Poza tym jako moja mama nie jesteś obiektywna i dlatego nie widzisz, że nasz film to chaotyczna i bezsensowna szmira.

– Kochanie, jesteście tacy kreatywni. To...

– Nakręciliśmy niezrozumiały, bełkotliwy film, ale to jeszcze nie dowodzi naszej kreatywności. Na tym polega cały problem. A słowa „kreatywny” używa się wtedy, gdy nie chce się powiedzieć wprost, że coś jest do bani. Nasz film jest do bani. Całej klasie strasznie się nie podobał.

– Po prostu go nie zrozumieli.

– Nie zrozumieli go, bo zrobiliśmy beznadziejny film.

– Kochanie.

– Gdyby był dobry, toby się im spodobał. Zrozumieliby go. Gdyby był dobry, może by jej pomógł.

Znowu zamilkliśmy. W którejś z sal nieco w głębi korytarza ktoś umierał, głośno krzycząc. To nie poprawiło nam nastroju.

– No dobrze, może masz rację.

– Pewnie, że mam.

– Cóż, przepraszam.

– Okej.

– Nie rozumiesz, jak trudno wychowywać dorastające dzieci – powiedziała mama i po chwili znowu się rozplakała, o wiele bardziej niż przed chwilą, a ja musiałem ją uspokajać.

Próbowaliśmy się objąć, ale nie za bardzo nam to wyszło, bo siedzieliśmy do siebie bokiem.

Pomimo histerycznego płaczu mama przekazała mi kilka swoich przemyśleń:

- Twoja przyjaciółka umiera.
- Tak trudno patrzeć na umierające dziecko.

- A jeszcze trudniej patrzeć na umierające dziecko przyjaciółki.
- Ale najtrudniej patrzeć na własnego syna, który patrzy na śmierć swojej przyjaciółki.
- Teraz musisz sam podejmować decyzje.
- Tak trudno mi się pogodzić z tym, że sam podejmujesz decyzje.
- Ale muszę ci pozwolić podejmować samodzielne decyzje.
- Jestem z ciebie taka dumna.
- Twoja przyjaciółka umiera, a ty jesteś taki silny.

Korciło mnie, żeby w kilku kwestiach się z nią nie zgodzić. Wcale nie byłem silny i z pewnością nie dawałem powodów do dumy. Ale jednocześnie czułem, że to nie najlepszy moment na Godzinę Nadmiernej Skromności.

Wyszliśmy. Wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę Rachel. Czułem się pusty i wyczerpany. Mama kupiła mi lody o smaku kahlúa z papryczkami habanero i pyłkiem pszczelim. Były w porządku.

Wtedy już wiedziałem, że jakoś to wszystko przetrwam.



## ROZDZIAŁ 40

# KONSEKWENCJE III

Przerwa zimowa dobiegała końca. Jeszcze nie było śniegu. Siedzieliśmy z Earlem w restauracji Smaki Sajgonu Thuyena. Widzieliśmy się po raz pierwszy, odkąd zostałem pustelnikiem. Smaki Sajgonu to ta wietnamska restauracja w Lawrenceville, którą polecił nam pan McCarthy tego dnia, gdy przez przypadek się zjaraliśmy i wyjawiliśmy Rachel, że kręcimy filmy. Pomyślałem, że Earl prędzej zgodzi się ze mną spotkać w miejscu, gdzie podają dziwne i najprawdopodobniej niejadalne potrawy.

Gdy się zjawiłem, Earl już na mnie czekał. Pociłem się potwornie pod zimową kurtką, bo przyjechałem z domu na rowerze. Poza tym okulary mi zaparowały, więc je zdjąłem i mrużyłem oczy jak szczurokret. Earl do mnie nie zamachał, więc błdziłem po restauracji, próbując go zlokalizować. Z ponurą miną siedział nad talerzem zupy, mieszając ją miarowo.

– Witam, witam! – zakrzyknął jakiś rozmazany kształt, najprawdopodobniej Thuyen.

Potwornie mnie wystraszył.

– Cześć – przywitałem się z Earlem.

– Co jest, stary?

– Jesz pho?

– Tak.

– Dobra?

– Pływają w niej jakieś ścięgna i inne ochłapy.

– Mhm.

– Co mogę podać? – zapytał Thuyen. Był mniej więcej mojego wzrostu i postury i wydawał się aż za bardzo rozradowany z powodu naszej wizyty.

– Pho – powiedziałem.

– Pho raz! – huknął Thuyen i odszedł.

– Tylko żeby tym razem nie było w niej dragów – szepnął Earl.

Z głośników sączyła się spokojna, choć trochę za głośna muzyka R&B.

„Jesteś moją seksowną laleczką – zawodził wokalista. – S-e—e-eksowną lale-e-e-eczka”.

– Nie wiem, czy już słyszałeś, że Rachel nie żyje.

– Tak, słyszałem.

– Zdążyłeś odebrać od niej swoje DVD?

– Tak – odparł Earl, nadal mieszając zupę.

– Zrobimy kilka kopii?

Earl uniósł brwi.

– Trochę mnie poniosło – powiedziałem. – Coś mi odbiło i porysowałem nożyczkami wszystkie swoje kopie. Więc już ich nie ma.

Earl spojrział na mnie, wytrzeszczając oczy.

– Ja swoje spaliłem – powiedział.

– Och – westchnąłem.

Z jakiegoś powodu w ogóle mnie to nie zdziwiło. Choć pewnie ta informacja powinna mnie wyprowadzić z równowagi.

– Tak – dodał. – Spaliłem w śmietniku.

– No to nie została nam ani jedna kopia – oznajmiłem.

– Zniszczyłeś wszystkie? Nie da się ich odtworzyć?

– Nie.

– Cholera!

„Ooo, dziewczyno! – jęczał z głośników jakiś koleś. – Przy tobie mówię tylko: Ooo, ooo, ooo”.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem Earl powiedział:

– Nie podejrzewałem, że zniszczysz swoje kopie.

– Po prostu coś mi odbiło – odparłem. – Sam nie wiem, czemu to zrobiłem.

– W życiu bym nie pomyślał, że zrobisz... coś takiego.

– Niepotrzebnie je zniszczyłem – stwierdziłem, choć Earl chyba nie oczekiwał ode mnie skruchy.

Po prostu się zdziwił.

– Pho raz – ogłosił Thuyen, stawiając talerz na stole.

Zupa pachniała jednocześnie bardzo apetycznie i obrzydliwie. Kiedy ją powąchałem, poczułem cudowny aromat – połączenie wołowiny i słodkiej lukrecji, ale nagle pojawiła się w nim jakaś inna nuta, coś jakby smród spoconego tyłka. Talerz był misternie ozdobiony w liście, owoce i strączki fasoli, które przypominały plamy spermy.

Zastanawiałem się, od czego zacząć jedzenie, gdy Earl nagle powiedział:

– To dobrze, stary, bo nie zamierzam kręcić więcej filmów. Muszę znaleźć robotę. Zarobić i wyrwać się z tego cholernego domu.

– Serio? – zapytałem.

– Tak – odparł Earl. – Czas na zmiany. Koniec zabawy.

– A jaką pracę chciałbyś znaleźć?

– Nie wiem. Może w McDonalddie.

Skosztowaliśmy zupy. Bulion mi smakował, ale tłuste i pokryte guzkowatymi naroślami kawałki mięsa z bliżej mi nieznanym zwierzęt wyglądały podejrzanie. W zupie pływały też „bycze jądra”. Nie miałem zamiaru ich tknąć.

– Chyba dostanę na semestr kilka pał. – Sam nie wiem, czemu poruszyłem ten temat.

– Tak?

– Tak. Właściwie przestałem chodzić do szkoły.

– Wiem, McCarthy się wkurzył.

– Może mnie cmoknąć w tyłek – warknąłem i natychmiast tego pożałowałem.

– Gadasz głupoty – powiedział Earl.

Nic nie odpowiedziałem, więc kontynuowałem:

– Nie bądź głupi, musisz zdać egzaminy. – W jego głosie nie słyszałem jednak gniewu. Mówił rzeczowo i chłodno. – Stary, masz łeb na karku. Skończysz studia. Dostaniesz dobrą pracę.

– Zastanawiałem się, czy chcę iść na zwykłą uczelnię, czy do szkoły filmowej – mruknąłem.

– Co? Z powodu Rachel?

– Nie. A mówiła ci coś o szkole filmowej?

– Kazała mi zdawać do filmówki. Pewnie ciebie też o to męczyła. A ja jej na to: „Dziewczyno, chyba cię pokopało. Nie mam kasy na studiowanie w filmówce”.

– Mógłbyś dostać stypendium.

– Nikt mi nie da żadnego stypendium – rzucił Earl i wreszcie zjadł trochę makaronu.

– Niby czemu? – zapytałem.

– No bo nie – odparł z pełnymi ustami, trochę groźnym tonem.

Jedliśmy dalej. Facet śpiewający R&B radośnie zawodził o dziewczynie, na której „punkcie miał świra”. Thuyen wtórował mu po cichu, stojąc za brudną ladą chłodniczą. Z jakiegoś powodu nie mogłem porzucić tematu szkoły filmowej.

– Ale ja chyba i tak złożę papiery do filmówki – oznajmiłem. – Więc będę musiał nakręcić jakiś materiał.

Earl przeżuwał.

– Może chcesz mi pomóc – zaproponowałem.

Earl nawet na mnie nie spojrzał. Po chwili odparł ze smutkiem:

– Już nie mogę się tym zajmować.

W tym momencie jakiś zły i/lub głupi obcy z kosmosu przejął kontrolę nad moim mózgiem i kazał

mi powiedzieć coś niewyobrażalnie idiotycznego.

– Rachel by się ucieszyła – palnąłem. – Gdybyśmy dalej współpracowali.

Earl patrzył na mnie przez chwilę.

– Gówno wiesz, stary – powiedział wreszcie. Był trochę zły i smutny. – Nie chcę ci truć. Naprawdę nie chcę ci truć, ale posłuchaj mnie uważnie. Po raz pierwszy w twoim życiu wydarzyło się coś... złego. Nie możesz tracić głowy i pod wpływem emocji podejmować cholernie ważnych decyzji. Tak bywa. Jedni ludzie umierają, inni ładują się w tarapaty. Na przykład moja rodzina ładuje się w jakieś tarapaty. Myślałem, że uda mi się im pomóc. Nadal tak uważam. Ale trzeba też żyć swoim życiem. Trzeba się najpierw zatroszczyć o swój tyłek, zanim zaczniesz się pomagać wszystkim dokoła.

Zamurowało mnie, bo Earl nigdy wcześniej nie poczęstował mnie takim monologiem. To znaczy nigdy wcześniej nie powiedział mi czegoś tak osobistego. A może nie o to chodziło? Sam nie wiem. Zapomniałem języka w gębie, a on mówił dalej.

– Nie chcę zostawiać swojej mamy na lodzie – przyznał takim samym tonem jak wcześniej. – W tym domu. Żeby piła od rana do nocy i wisiała na czacie internetowym. Nie chcę zostawiać tych dwóch idiotów Derricka i Devina. Jeden głupszy od drugiego. Kiedy rozglądam się wokół, okazuje się, że nikt nie ma tak porąbanej rodziny jak moja. Nikt nie mieszka w takiej zaplutej norze jak ja. Dlatego muszę się zatroszczyć o własny tyłek – powiedział, bardziej do siebie niż do mnie. Jakby się tłumaczył, a jednocześnie prosił o zrozumienie. – Zanim im pomogę, oni też muszą się zająć własnymi tyłkami. Kocham mamę, ale ona ma problemy, których za nią nie rozwiążę. Kocham braci, ale sami muszą się zatroszczyć o własne tyłki, zanim im pomogę. W przeciwnym razie pociągną mnie za sobą na dno.

Czasem na całe miesiące zapomniałem, że Earl w ogóle ma mamę. Jego słowa zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić pani Jackson. Była małą, wyblakłą kobietą z wielkimi oczami i wiecznie przyklejonym do twarzy rozmarzonym uśmiechem.

Earl się trochę rozchmurzył, gdy mi to wszystko powiedział. Spojrzał na mnie tak, jakby dopiero teraz zauważył, że przed nim siedzę.

– To samo dotyczy ciebie i Rachel, tylko że ona nie żyje, więc to, co dla niej zrobisz, nie ma najmniejszego znaczenia. Zastanów się, co jest dobre dla ciebie. Musisz zdać maturę, stary. Matura, studia, dobra praca. Nie możemy się bawić w nieskończoność.

Jednocześnie podniósł mnie na duchu i zdołował. Jemu samemu wrócił dobry nastrój.

– Co tym Wietnamczykom strzeliło do łba, żeby wrzucać do zupy taki syf? – powiedział. – Popatrz na to cholerstwo. Wygląda jak moszna.

Earl niespodziewanie wszedł w Tryb Obrzydliwca. Nie czułem się na siłach, żeby mu wtórować, ale robiłem, co w mojej mocy.

– To moszna? A nie dziura w dupie?

– Ten pomarszczony ochłap? Wydaje mi się, że moszna. Sprawdź w menu.

– A te farfocle?

– To może być dziura z tyłka. Zamówiłeś dużą porcję? W dużej pływają dziura z tyłka, moszna, obgotowany ośli kutas i pewnie jeszcze włochate kozie cycki.

– Tak, wziąłem dużą.

– Kozie cycki są bogate w antyoksydanty.

– Szukam oślego kutasa. Nie widzę tu żadnych oślich kutasów.

– Chyba nie dostałeś.

– Skandal. W mojej zupie nie ma oślego kutasa. No coś takiego.

– Mnie na pewno trafiło się kilka solidnych kawałków porządnie obgotowanego oślego kutasa.

Skończyła mi się inwencja i nie potrafiłem już nic więcej z siebie wykrzesać.

– Nie wkurzaj się, ale mnie się dostały lepsze kąski – powiedział triumfalnie Earl.

# EPILOG

Jest czerwiec i właśnie skończyłem pisać. Przede wszystkim dziękuję siłom w niebiosach, że to już koniec tej książki. Zresztą na tej stronie mogę napisać byle co, bo nie wierzę, żeby ktoś z was dotarł aż tutaj. Ta książka to obraza dla języka literackiego. Dla wszystkich języków. Powinno mi się odebrać zdolność posługiwania się piśmem. Ale na razie mogę napisać, co tylko chcę. Na przykład: Will Carruthers ma małego fiutka. Już mi się nie chce udawać twojego kumpla, więc wal się.

Jak się pewnie domyślacie, złożyłem papiery na Uniwersytet Pittsburski, ale mnie nie przyjęto, bo po pierwszym semestrze czwartej klasy dostałem pały z literatury, matematyki, biologii i WF-u. Tata myślał, że komisja rekrutacyjna zmieni zdanie, jeśli wyjaśnię, dlaczego dostałem złe oceny z tych przedmiotów. Wciąż powtarzał, że „odbywałem żałobę”, tak jakbym odbywał praktyki albo kurację. Mama uważała, że powinienem wam pokazać *Film o Rachel*, a ja na te słowa nie udawałem trupa nawet przez pięć sekund, co zapewne należy uznać za oznakę mojej dojrzałości. Potem rodzice zasugerowali, żebym nakręcił coś specjalnie dla was, ale po *Filmie o Rachel* i po tym, jak Earl oznajmił, że nie zamierza już ze mną współpracować, zrezygnowałem z bycia filmowcem na zawsze.

Ale po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że może powinienem się jakoś ze wszystkiego wytłumaczyć. Nie miałem też nic lepszego do roboty przez całe lato, poza chodzeniem na dodatkowe zajęcia, żeby nadrobić zaległości w szkole. Pomyślałem sobie, że pisać potrafi każdy głupi. Więc napisałem tę książkę dla was, uczelnianej komisji rekrutacyjnej. Może w ten sposób uda mi się dowieść, że jednak nie każdy głupi może napisać książkę, chyba że mówimy o wyjątkowo idiotycznej książce. Przynajmniej taki będzie pożytek z mojej pisaniny.

Ale teraz, gdy kończę te moje wypociny, dobrze wiem, że nie zmienicie zdania po ich przeczytaniu. To znaczy jeśli zmienicie zdanie i jednak przyjmiecie mnie na studia, to powinni was wszystkich wylać z pracy, bo opowiedziana tu historia naprawdę dowodzi, że jestem wyzutym z emocji dupkiem, niezdolnym do normalnego życia.

Poza tym chyba w którymś momencie obraziłem waszą uczelnię, nazywając ją większym i głępszym bratem Carnegie Mellon.

Teraz dotarło do mnie, że chciałbym jednak wrócić do kręcenia filmów. Jeśli nadal chcecie mnie przyjąć, to super. Ale musicie wiedzieć, że za rok pewnie was opuszczę, bo zamierzam zdawać do

szkoły filmowej. Teraz zabiorę się do kręcenia filmów. Może nawet wystąpią w nich jacyś aktorzy.

Poza tym dowiedziałem się czegoś o sobie i mogę się tym z wami podzielić, bo i tak nikt tego nie czyta. Moją książkę można pewnie odebrać jako dowód na to, że nienawidzę siebie i wszystkiego, co robię. Ale to nie do końca prawda. Ja tylko nienawidzę siebie z przeszłości. Za to lubię siebie takiego, jaki jestem teraz. Wydaje mi się, że mam duże szanse na nakręcenie naprawdę dobrego filmu. Za jakiś czas. Pewnie za pół roku zmienię zdanie, ale to nie ma znaczenia. Są inne, równie ważne sprawy w życiu Grega S. Gainesa, które przypominają pełną ostrych zakrętów przejażdżkę górską kolejką w wesołym miasteczku.

(Aha, jeszcze jedno: wróciłem do reżyserii, ale nie zamierzam filmować tej książki. Nie ma mowy. Przenoszenie na ekran dobrej książki to droga przez pole minowe, więc nawet nie chcę myśleć, jaką katastrofą skończyłoby się filmowanie tego steku bzdur, które tu spisałem. W sprawę włączyłoby się FBI, a mnie uznano by za terrorystę).

Teraz pozwolę sobie na krótki, historyczny akapit na temat Madison Hartner. Jak się okazało, nie chodzi o futbolistę z Pittsburgh Steelers ani ze studentem. Na dwa tygodnie przed końcem szkoły zaczęła chodzić z Allanem McCormickiem. To ten wychudły got z cerą gorszą niż moja, niepokojąco krótkimi rękami i nogami oraz wymizerowaną twarzą, która nie pasuje do reszty jego ciała. Chyba już nie jest gotem. W lutym przestał grywać każdego ranka w karty magiczne ze Scottem Mayhew i przeszedł do obozu kujonów. Takie buty. Jak się okazuje, Madison Hartner ma fatalny gust, jeśli chodzi o facetów.

Pewnie bym ją poderwał, gdybym tylko spędzał więcej czasu z nią w stołówce, a mniej w gabinecie pana McCarthy'ego.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że nigdy by mi się to nie udało.

A jeśli już mowa o panu McCarthym, to okazało się, że wcale nie jest ćpunem i nie doprawia sobie zupy marihuaną. Odlecieliśmy, bo zjedliśmy ciasteczka, które Earl przyniósł do szkoły na drugie śniadanie. Upiekła je ówczesna dziewczyna Maxwella, dodawszy do nich potężne ilości zioła. Earl dowiedział się o tym miesiąc po fakcie, w czasie jednej z wielu bójek z Maxwellem, które wszczynali z braku lepszych zajęć.

Trochę mnie to pokrzepiło. Bo tak naprawdę nauczyciel, który jest przez cały czas na haju, nie byłby interesujący, nieprzewidywalny i tak zafascynowany faktami jak pan McCarthy. Cały czas by jadł i nie potrafiłby sklecić pełnego zdania.

Z Earlem widziałem się kilka razy od czasu naszego obiadu w Smakach Sajgonu. Pracuje teraz w McDonalddie. Jest za niski, żeby stać za ladą, co strasznie go wkurza. Wciąż mieszka w domu, ale



oszczędza, żeby wynająć coś własnego.

To dziwne, że kiedy się spotykamy, nie kręcimy filmów, tylko gadamy o życiu. W ciągu ostatnich miesięcy poznałem go lepiej niż przez wszystkie lata wspólnego kręcenia filmów Gainesa i Jacksona i musicie wiedzieć jedno: Earl to totalny świr.

W głębi duszy mam nadzieję, że gdy tylko skończę szkołę filmową, nakręcę jakiś fantastyczny film, zgarnę za niego mnóstwo nagród, a potem założę własne studio i zatrudnię Earla jako wicedyrektora. Wiem, że to mrzonki. Tak naprawdę jeśli jeszcze kiedyś będziemy razem pracować, to chyba w McDonaldzie. Nie wierzę, że właśnie to napisałem. To najbardziej dołujące zdanie, jakie skleciłem w całym swoim życiu. Ale chyba jedno z prawdziwszych.

Chciałbym też dodać coś jeszcze o Rachel. Umarła dziesięć godzin po naszym wyjściu ze szpitala. Miała dziwny żydowski pogrzeb w naszej synagodze i dzięki Bogu, nikt mnie nie poprosił o wygłoszenie mowy ani nie pokazał naszego filmu. Rachel skremowano, a jej prochy rozsypano w parku Frick, gdzie, jak się okazało, uwielbiała chodzić jako dziecko. Gdy miała siedem lat, pobiegła tam, ale nie próbowała uciec z domu, tylko chciała zamieszkać wśród drzew jako wiewiórka.

Dziwnie się poczułem, gdy dowiedziałem się o niej czegoś nowego już po jej śmierci. A jednak ta historia mnie pokrzepiła. Sam nie wiem dlaczego.

Może powinienem umieścić ją w swoim nowym filmie? Jeszcze nie wiem.

Co ja właściwie wygaduję?

FIN

# PODZIĘKOWANIA

Przy narodzinach tej książeczki asystowało wiele położnych, zbyt wiele, by wszystkie je wymienić. Dziękuję z całego serca nieocenionej Maggie Lehrman, mojej redaktor prowadzącej i przyjaciółce, która wspaniale i z ogromnym wyczuciem przeprowadziła mnie od etapu koncepcji do fazy jej realizacji i bez której ta książka nigdy by nie powstała. Dziękuję także Mattowi Hudsonowi, mojemu ówczesnemu agentowi i przyjacielowi, który jakimś cudem zainteresował ważnych ludzi manuskrytem dość ryzykownej książki o dwóch chłopcach składających hołd Wernerowi Herzogowi i dziewczynie chorej na raka. Chcę też z góry podziękować rodzicom, siostrze i babci za to, że w przyszłości będą cierpliwie odpowiadali na pytanie: „To ktoś z twojej rodziny?” (Nie). Wreszcie jestem wdzięczny Tamarze, która kocha tę książkę i którą ja kocham.

# Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Słowo wstępne Grega Gainesa, autora tej książki](#)

[Rozdział 1. Czy w tak beznadziejnym miejscu da się w ogóle żyć?](#)

[Rozdział 2. Pierwszy dzień czwartej klasy w zwięzłej formie scenariusza](#)

[Rozdział 3. Żenujący rozdział, który jak najszybciej chcę mieć z głowy](#)

[Rozdział 4. Co one teraz porabiają?](#)

[Rozdział 5. Umierająca dziewczyna](#)

[Rozdział 6. Sekstelefon](#)

[Rozdział 7. Rodzina Gainesów. Szkic do portretu zbiorowego](#)

[Rozdział 8. Sekstelefon II](#)

[Rozdział 9. Mniej więcej typowa rozmowa z Earlem](#)

[Rozdział 10. Miał być Casanova, a wyszła Kaszana Nowa](#)

[Rozdział 11. Ja, gniew boży, poślubię własną córkę i razem zapoczątkujemy dynastię najczystszej krwi, jakiej świat jeszcze nie widział](#)

[Rozdział 12. Najlepsze wyjście to wyjście na debila](#)

[Rozdział 13. Kolejna dawka informacji o mojej przyjaźni z Earlem](#)

[Rozdział 14. W szkolnej stołówce najesz się tylko wstydu](#)

[Rozdział 15. Gaines i Jackson, Dzieła zebrane](#)

[Rozdział 16. Mam nadzieję, że to już ostatni z licznych i bezsensownych wątków opowieści o Earlu](#)

[Rozdział 17. W gabinecie pana McCarthy'ego](#)

[Rozdział 18. Nie ma nic gorszego niż narkotyki](#)

[Rozdział 19. Earl zdradza zasady naszego twórczego partnerstwa, kiedy moją uwagę odwracają słodycze](#)

[Rozdział 20. Batman kontra Spiderman](#)

[Rozdział 21. Dwaj spedaleni kolesie](#)

[Rozdział 22. Pająk kontra szerszeń](#)

[Rozdział 23. Gilbert](#)

[Rozdział 24. Jeden nudny dzień z życia ciastowatego nastolatka](#)

[Rozdział 25. Białaczką. Przewodnik dla półgłówka](#)

[Rozdział 26. Ludzkie mięso](#)

[Rozdział 27. Ty, ja i wybuchający indyk to już trójką](#)

[Rozdział 28. Film o Rachel. Burza mózgów](#)

[Rozdział 29. Film o Rachel – wersja do dystrybucji](#)

[Rozdział 30. Film o Rachel – w stylu Kena Burnsa](#)

[Rozdział 31. Film o Rachel – wersja ze skarpetkowymi pacynkami](#)

[Rozdział 32. Film o Rachel – wersja typu Wallace i Gromit](#)

[Rozdział 33. Co mam teraz zrobić?](#)

[Rozdział 34. Podziemny krąg w wersji dla ubogich](#)

[Rozdział 35. Już widać koniec](#)

[Rozdział 36. Film o Rachel](#)

[Rozdział 37. To już koniec](#)

[Rozdział 38. Konsekwencje](#)

[Rozdział 39. Konsekwencje II](#)

[Rozdział 40. Konsekwencje III](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Me & Earl & the Dying Girl*

Copyright © 2012 Jesse Andrews

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Jacket design by Ben Wiseman

Adaptacja okładki na potrzeby wydania polskiego: Andrzej Sierak

Opracowanie typograficzne książki: Robert Oleś

Redakcja językowa: Marta Höffner

Adiustacja: Anna Brynkus / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,

Małgorzata Poździk / d2d.pl

ISBN: 978-83-7515-734-5



[www.moondrive.pl](http://www.moondrive.pl)

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. [\(12\) 61 99 569](tel:126199569)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki

Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)